MIESIĘCZNIK

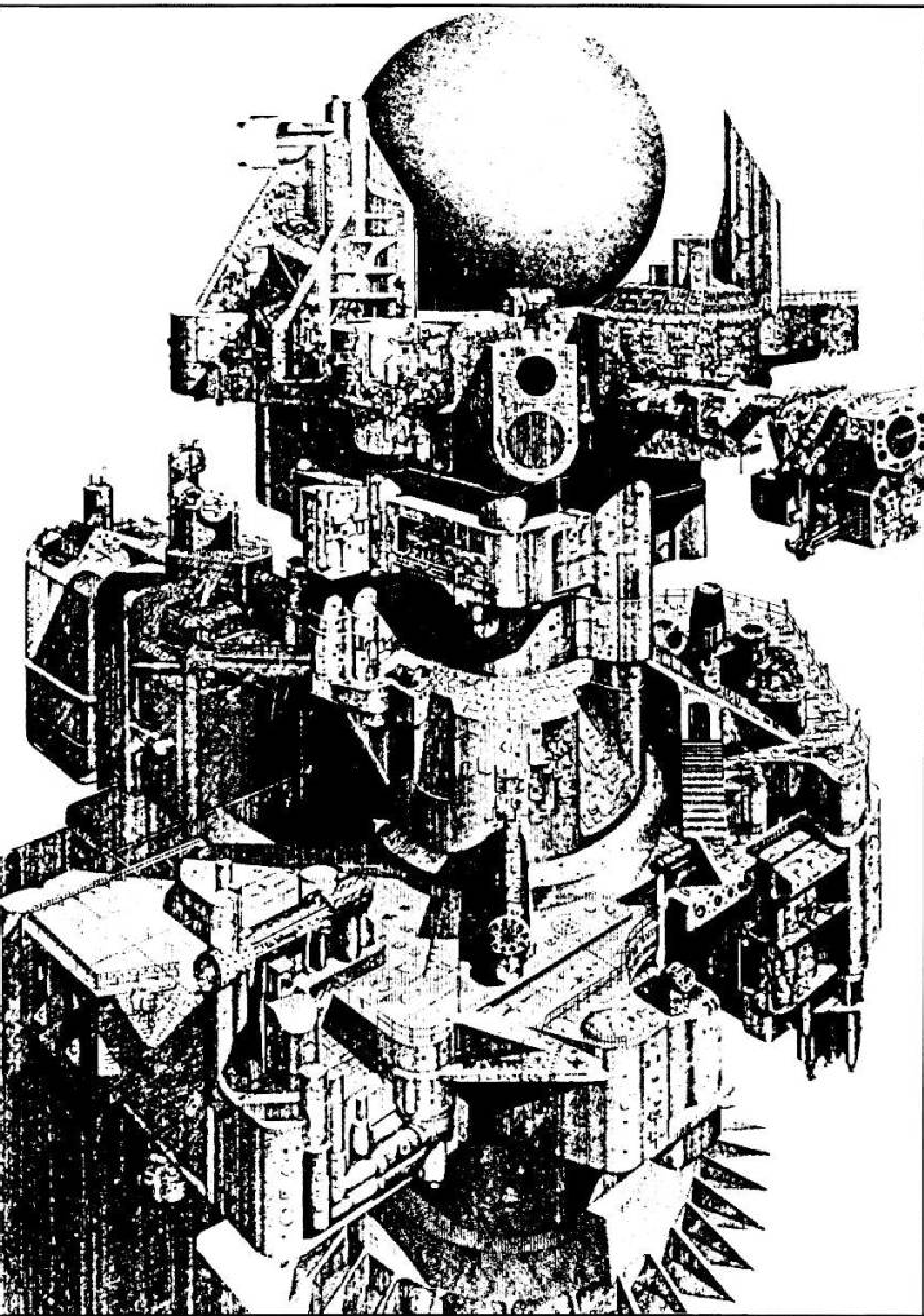
6(81) CZERWIEC 1989 CENA 300 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209–1631
NR INDEKSU 35839

Chris
Foss





Chris Foss

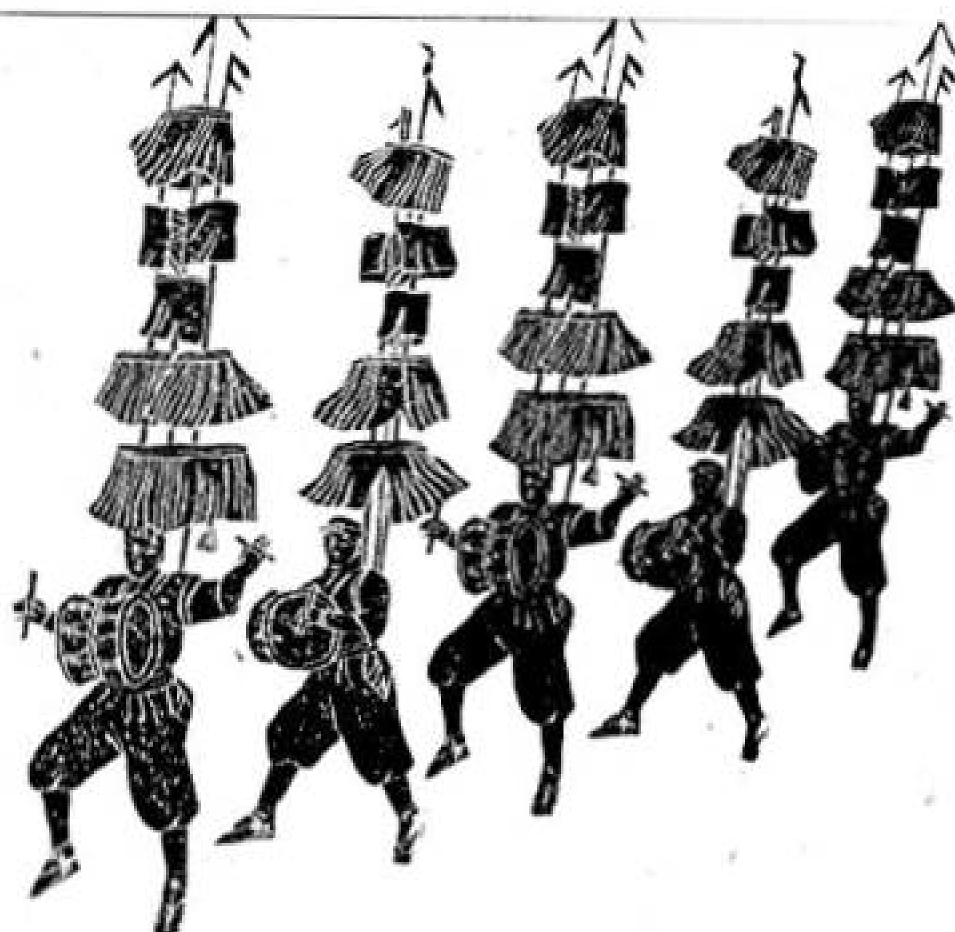
Chris Foss urodził się w 1946 r. w Devonie, w Wielkiej Brytanii. Jak sam twierdzi, decydujący dla jego życia był fakt, że w dzieciństwie mieszkał na terenie stacji kolejowej. Tam z bliska był świadkiem „rewolucji przemysłowej". Od najmłodszych lat rysował różnego rodzaju maszyny, sprzęt wojskowy oraz swoje pierwsze wizje przyszłości.

Jego rysunki w uniwersyteckim piśmie „Autocar" (studiował architekturę na Uniwersytecie Cambidge) zwróciły uwagę ówczesnego naczelnego grafika pisma **„Penthouse"**, Boba Guccione. Zaproponował on Fossowi współpracę ze swoim miesięcznikiem. W tym samym czasie Foss rozpoczął też współpracę z innymi czasopismami oraz wydawnictwami książkowymi, dla których wykonywał ilustracje i projekty okładek o tematyce wojennej.

Znając zamiłowanie Fossa do maszyn, wydawcy zaczęli proponować mu wykonanie projektów okładek do książek SF. Ostatecznie do poświęcenia się tej tematyce przekonały go podziękowania, jakie otrzymał od Isaaca Asimova za projekt serii okładek do **„Fundacji"**. Paradoksem chyba jest fakt, że zaproszenie do współpracy przy realizacji filmów SF (pierwszy film, do którego projektował scenografię to **„Dune"**) zawdzięcza nie ilustracjom o tej tematyce, lecz rysunkom do książek **„The Joy of Sex"** i **„More Joy of Sex"**.

Prace graficzne Chrisa Fossa są już kanonem, jeśli chodzi o twórczość fantastyczną. Statki kosmiczne o kanciastych kształtach, pomalowane w charakterystyczne pasy stały się inspiracją i wzorem do naśladowania dla wielu grafików. Wielu ludzi patrząc na wizje Fossa stawia sobie pytanie, czy tak będzie wyglądało nasze otoczenie w przyszłości. I dla wielu jedyna odpowiedź brzmi – tak!

Andrzej Brzezicki



...3...2...1...



U nas, kto jest niby chory,
Zwołuje zaraz doktory,
Lecz czując się bardzo słaby
Prosi chłopa albo baby.
Ci ze swego aptekarstwa
Potrafiają i podagrze,
I chiragrze i głuchotom,
I suchotom, i głupotom
Radzić.

Właśnie, jaki aktualny jest ten wierszyk naszego wieszcza polskiego Adama Mickiewicza. Jak pasuje do współczesnego świata, który zatrwożony klęskami, w dużej mierze spowodowanymi przez postęp nauki i techniki, postęp zwłaszcza w dziedzinie wytwórczości środków do niszczenia przyrody a także jej pana nad pany – człowieka, chroni się przed swą mądrością w fantastyczne baśnie. Szuka ratunku przed śmiercią nie w medycynie lecz u znachorów! Walczy z wszelkimi wariantami platońskiej idei państwa, opartego na idealnym porządku, mającym uszczęśliwiać obywateli na siłę. Gdy niedawno napisałem, za statystykami naszej epoki, naszego XX wieku, że ostatnia wojna przyniosła najkrwawsze w historii żniwo śmierci, pochłonęła bowiem najwięcej ofiar, któryś ze skrupulatnych Czytelników polemizował z moją argumentacją, twierdząc, że w stosunku do ogromnej liczby mieszkańców naszej planety, w tych naszych wspaniałych czasach wojna ta nie zebrała wcale najwięcej ofiar, nie mniej bowiem było ich – proporcjonalnie do liczby mieszkańców – w dawnych epokach, w dawnych wojnach. Chociaż dziś liczbowo wygląda to groźniej, niż wtedy. A jednak będę się upierał, iż te miliony zamęczonych, pomordowanych w najokrutniejszy sposób świadczą jednak o wyraźnej, tragicznej eskalacji ludzkiego okrucieństwa i agresji. Przecież morderstwa na masową skalę uprawiano ostatnio przede wszystkim w małej Europie i w jej pobliżu. Jeśli każda epoka przeżywa jakieś własne okresy nawrotu tego, co się potocznie określa jako średniowiecze, takiego średniowiecza jak niedawno, bo w latach trzydziestych i czterdziestych, nie było dotąd na tym globie.

Właśnie średniowiecze. Zawsze wszelkie najgorsze czasy porównuje się do tej historycznej epoki, która wydała trubadurów z ich cudownymi pieśniami miłosnymi, samobiczowników, karzących własne ciała za grzechy, która lansowała wspólne kąpiele obu płci w publicznych łaźniach, a także obfitowała w diabły („nie patrz do zwierciadła, bo zobaczysz diabła"), zaprzedawała piekłu duszę, wpadała w szały miłosne Tristana i Izoldy, i w okropne bitewne rzezie. Po grunwaldzkim zwycięstwie król polski, Władysław Jagiełło, płakał, patrząc na sterty ciał ofiar bitewnych zmagań, strasznych i bezlitosnych. Średniowiecze stało się w późniejszych epokach synonimem nie tylko wszelkich bezeceństw i rzezi, lecz także i ciemnoty, głupoty ludzkiej.

Dopiero znacznie później poczęły się odzywać głosy w jego obronie, ale nigdy obraz tego historycznego okresu nie zmienił się w świadomości ludzkiej i dotychczas pojęcie średniowiecza ma w sobie coś mocno pejoratywnego. Ciekawe, że jednak na średniowiecznych, okrutnych baśniach, na kanwie opowieści gotyckiej, operującej horrorem i duchami, powstały pierwsze romanse fantastyczne Walpole'a czy później Mary Shelley – tajemniczością, drastycznymi pomysłami i romantyzmem zapładniające wyobraźnię i mobilizujące silne uczucia. W czasach wielkich przemian społecznych, w czasach zagrożeń ludzkości i wietrzących te zagrożenia wybitnych jednostek ludzkich, często mocno skłóconych ze swą rzeczywistością, nadchodziła i rosła fala romantyzmu ze swym średniowiecznym wiewem antyracjonalizmu.

Największy polski romantyk, Adam Mickiewicz, swój triumfalny, poetycki pochód po Polsce, Rosji, a potem Europie, reprezentowanej przez Paryż, zaczął od ballad, od swego rodzaju fantastyki, właśnie typu gotyckiego – z duchami, z tragediami dusz, ze zbrodniami z zazdrości, nienawiści, zawiści. Nie kto inny też, jak on właśnie, napisał w swoich zmaganiach z Bogiem, w Wielkiej Improwizacji: *Daj mi rząd dusz – tak gardzę tą martwą budową, którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić,/ żem nie próbował dotąd, czyli moje słowo/ nie mogło by jej zwalić./ ... chcę czuciem rządzić, które jest we mnie:/rządzić jak Ty wszystkimi zawsze i tajemnie/...*

Od pół-baśni, pół science fiction „Na srebrnym globie" zaczynał następną epokę romantyzmu, w okresie zagrożeń wojennych, w Europie dziewiętnastowiecznego fin de siecle'u, poeta i prozaik Jerzy Żuławski, nieznany, w każdym razie bardzo mało znany w Europie, znakomity pisarz – trochę mistyk, trochę buntownik religijny, po trosze też typowy dla tej epoki Stacha Przybyszewskiego – erotoman. O ileż był głębszy, o ile bardziej humanistyczny od uznawanego ówcześnie i po dziś dzień jako wielkość (w pojęciu Zachodu) Wellsa. To on, Żuławski, jest prawdziwym ojcem polskiej romantycznej fantastyki współczesnej – to dzięki niemu był możliwy późniejszy geniusz intelektualny Lema, czy jeszcze późniejszy buntowniczy romantyzm Zajdla, walczącego przeciwko: tyranii rozumu, szczęściu typu platońskiego – czyli na siłę, a więc przeciw stalinizmowi w jego przeróżnych totalitarnych postaciach. Właściwie cała polska fantastyka wypływa z tego samego źródła. Jest to nurt, którego Polacy nie czerpali – jak to się niestety nieraz wcześniej zdarzało – od obcych. Oryginalny, polski nurt! I pomyśleć, że można go wywodzić od średniowiecza, od inspiracji średniowiecznym okresem historii ludzkości, w którym – jak w każdym romantyzmie – emocje górowały nad rozumem.

Pragnę tu natychmiast zaryzykować twierdzenie, że w moim kraju niełatwo przyjmowali fanowie narodziny i triumfy literatury typu fantasy, ponieważ ich romantyczne spojrzenie było i jest inne od optyki zachodniej. Bardziej swojskie, partykularne, może prowincjonalne, nagięte do rodzimych politycznych i społecznych potrzeb. Natomiast fantasy to odrodzony i modny na Zachodzie postmodernistyczny sposób przemieszania nowoczesności z naszych dni, średniowiecza czy starożytności. Pół legenda – pół mit – pół bajka. Dla sztuki postmodernistycznej przemieszanie epok i motywów jest bowiem niezwykle charakterystyczne. Buduje się na przykład nowoczesne wille z wieżami średniowiecznych kościołów, w powieściach miesza czasy, wykorzystuje najnowsze i najstarsze techniki pisarskie obok siebie, sporządza kolaż jakby robiło się wycinanki i montaże z różnorodnych elementów, stylów, różnych epok oraz różnych form.

W ten sposób w znakomitym technicznie filmie Rona Howarda „Willow", pokazanym na konfrontacjach tegorocznych średniowieczna baśń, ale z jakiej naprawdę epoki, bo proszę mi powiedzieć kiedy właściwie żyły na tym świecie prawdziwe krasnoludki, a może żyją, odradza się w niezwykłej, doskonałej, rzekłbym, formie. Role są takie same – król, królewna, księżniczka, rycerze, ale zachowania całkiem współczesne, całkiem nasze i język nowoczesny. Ta fantasy rodem ze średniowiecza zrywa z twardym podziałem na białych i czarnych, na dobrych i złych, miesza, jak to bywa teraz modne – charaktery i pasje, ale mimo to nadal pozostaje utworem moralizatorskim. Czy w ten sposób usiłujemy złamać złą, tradycyjną średniowieczną passę naszej epoki? Być może.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka
Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., literatury polskiej), 25-59-48 (z-cy red. nacz., dział krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel. 28-23-09. Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Nakład 167 000 egz. Zam. 1087/89 A-99

NR INDEKSU 35839 | PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 31 marca 1989 r.

Lądowanie LXXVI

Konkurs na recenzję

Ostatni okres, to znaczy początek roku 1989, dla wielu miłośników fantastyki był czasem dopustu Bożego. Ogromnie podskoczyły ceny książek. Uderzyło to szczególnie ludzi młodych, których po prostu nie stać na to,co oferują księgarnie. W ten sposób literatura, z samej swej natury predestynowana do kształcenia i rozwijania młodych umysłów, staje się dla nich z dnia na dzień coraz bardziej niedostępna. Dopełnieniem klęski z początków roku było dla fantastów opóźnienie w wydaniu dużej „Fantastyki". Stanęła maszyna w Łodzi, należało ją zreperować. Styczniowy numer dotarł więc do niektórych Czytelników dopiero z początkiem marca! Piszą o tym do nas z goryczą, ale dopiero teraz. Albowiem nasi Czytelnicy zawsze wypowiadają swoje opinie o najnowszych numerach pisma; spóźnienie druku wywołało nagłą przerwę w wysyłaniu listów do redakcji. Takiego ubogiego w listy miesiąca jak luty jeszcze u nas nie było.

Debatując o tym na naszych redakcyjnych zebraniach doszliśmy do wniosku, że warto byłoby wykorzystać zainteresowania czytelnicze i rozpisać nowy konkurs. W ten sposób zyskałaby także i nasza krytyka oraz nasze zawsze żywe zainteresowanie tym, kto, jak, co i dlaczego czyta na łamach „Fantastyki". Stąd koncepcja konkursu, który właśnie ogłaszam.

Jest to konkurs na recenzję z dowolnie wybranych utworów, które ukazały się na stronicach naszego pisma. Mogą być to zarówno utwory (literackie) krajowe, jak i zagraniczne. Można zrobić recenzję z jednego utworu, a także z kilku jednocześnie. Prosimy, aby te recenzje były przede wszystkim szczere. Nie krępujcie się państwo niczym, piszcie otwarcie co się Wam w danym utworze czy danych utworach naprawdę podoba, a co się nie podoba, i uzasadniajcie swoje opinie. Wskazujcie na to co uważacie za potknięcia czy błędy utworów recenzowanych. Zastanówcie się, który utwór w danym numerze „Fantastyki" wybija się na czoło, a który wydaje się Wam najgorszy i spróbujcie to uzasadnić. To znaczy odpowiedzcie na pytanie dlaczego tak sądzicie? Recenzjom mogą także podlegać ilustracje, poszczególne oraz całe galerie. Na kopercie piszcie, proszę, słówko „Lądowanie" i jeszcze drugie – „recenzja".

Za najlepsze recenzje przyznawać będziemy nagrody książkowe. Nagrodą będzie również wydrukowanie recenzji, według nas najlepszej, na łamach pisma, w naszym „Lądowaniu". Zobaczymy kto z Państwa najlepiej potrafi lądować.

Proszę tylko, żeby te „Lądowania" recenzyjne nie były dłuższe niż jedna, maksimum półtorej strony maszynopisu (potrójna interlinia). Czekamy i to czekamy niecierpliwie.

A teraz trochę korespondencji bieżącej.

Fantastyczne awanse

Z oglądania komiksów zrodziło się moje zainteresowanie nowelami i opowiadaniami, a później powieściami „Fantastyki" i książkami fantastycznymi. Traktuję w ogóle Wasze pismo jako doradcę w sprawie doboru książek i filmów o tematyce fantastycznej. Recenzje są bardzo ciekawe i często bardzo dowcipne. Tak więc „Fantastyka" pozwoliła mi znaleźć dla siebie prawdziwą pasję...

Małgorzata Głos *z II klasy LO*

Odkąd pamiętam jestem czytelniczką i oglądaczką Waszego pisma. Lubię bardzo czytać opowiadania i powieści drukowane w „Fantastyce", może sama spróbuję napisać opowiadanko... Spróbowałam jakiś czas temu zrobić kilka rysunków, oczywiście nie pierwszych w życiu, ponieważ rysowaniem i malowaniem interesuję się i zajmuję od dziecka. Rysunki te wysłałam na ogłoszony w „Fantastyce" konkurs dotyczący ilustracji, z zastosowaniem „figur niemożliwych". Z koleżanką zrobiłyśmy prace na ten konkurs i w czerwcowym numerze z 1987 roku zostały one zaprezentowane w „niemożliwej" Galerii. Sprawiło nam to ogromną radość. Wpłynęło także na nasze dalsze zainteresowanie sprawami plastycznymi. Chciałabym poinformować grono redakcyjne, a w szczególności pana Andrzeja Brzezickiego, kierownika działu graficznego, że moja najserdeczniejsza przyjaciółka Urszula Głudycz realizuje teraz swoje wspaniałe pomysły, projektując biżuterię w Bremen (RFN), a ja studiuję w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, we Wrocławiu, na wydziale malarstwa, grafiki i rzeźby. Jestem studentką II roku katedry grafiki, którą kieruje docent Jan Jaromir Aleksiun. Właśnie jest po sesji egzaminacyjnej – przebiegła pomyślnie, z projektowania graficznego mam piątkę.

Katarzyna Heinricht

Niedawno otrzymałem komplet „Fantastyk" za rok 1988. Przeczytałem już większość. Trzymacie się świetnie. Nie przejmujcie się bredzeniem malkontentów. Zmartwiła mnie tylko jedna rzecz. Całkowity prawie brak fantastyki radzieckiej. Odkąd mam swobodny dostęp do literatury zachodniej, utwierdzam się coraz bardziej w przekonaniu, że Silverberg, Zelazny, Heinlein są dobrzy, lecz nie zastąpią oni Strugackich czy Bułyczowa.

Szczególnie poruszył mnie artykuł Strugackich „Będziemy czekać i mieć nadzieję" (sierpień 88) oraz pompatyczna, wroga odpowiedź redakcji „Młodej Gwardii". Oskarżanie Strugackich o destrukcyjne, nihilistyczne tendencje jest wyczerpującym dowodem zwapnienia... Uważam, że w Polsce powinno ukazać się więcej książek tych świetnych autorów. Nie wierzę jednak w polskie wydawnictwa i dlatego chciałbym zaapelować do Was o publikacje tytułów, które dotychczas się w Polsce nie ukazały. Mam nadzieję, że zaprezentujecie nam resztę dorobku Braci Strugackich.

Arthur Rozum *z Long Island City (USA)*

Myślę, że w ostatnich numerach spełniliśmy już częściowo Pana dezyderaty. Mieliśmy zresztą już sporo listów chwalących powieść Strugackich, którą drukowaliśmy w „Fantastyce" nr **1-4**/89

Kto najlepszy

Dorogoj Pan Adam! Omska Wojewódzka Biblioteka Młodzieżowa i Omski Klub Fantastyki Alkor przeprowadziły sondaż u miłośników fantastyki kraju w celu wyłonienia najlepszych, ich zdaniem, utworów fantastycznych, opublikowanych w ZSRR w roku 1987. Oto wyniki: ***Większe formy*** *(powieść, nowela): Strugaccy – „Czas deszczu" („Daugawa" numery 1-7), Bułhakow – „Psie serce" („Znamia" nr 6), Strugaccy – „Bajka o trojce" („Smiena" numery 11-14).* ***Małe formy*** *(opowiadania): Sztern – „Opowiadanie produkcyjne" („Chemia i żyzń" nr 1), Szałamow – „Ziemianie" (zbiorek „Poisk 87", Perm), Brajder i Czadowicz – „Broń telepatyczna" („Raboczaja smiena" nr 1).* ***Przekłady:*** *– Lem – „Kongres futurologiczny" („Inostrannaja Literatura" nr 7), Wyndham – „The Chrysalids" („Smiena" nr 4-7), Sheckley – „Meeting of the Minds" („Inostrannaja Literatura" nr 7).*

Z poważaniem
W. Borysow
członek Wszechzwiązkowej Rady Klubów Fantastyki

I to wszystko na dziś.

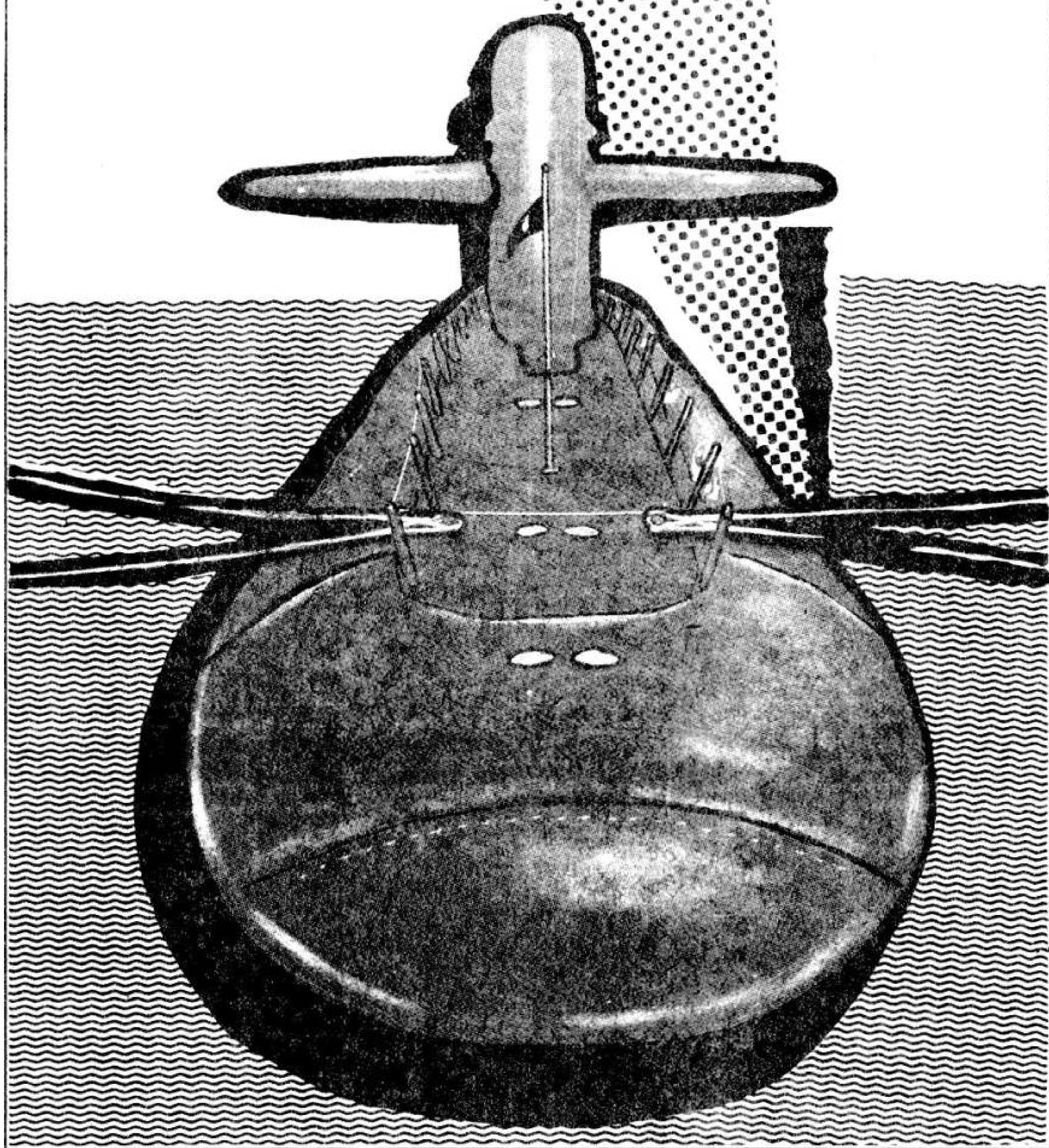
Redaktor



Thor spotyka Kapitana Amerykę

Dawid Brin

(Thor Meets Captain America)



1. Karzeł Lokego przewrócił oczami i żałośnie jęknął kiedy łódź wynurzyła się na głębokość peryskopową. Zdeformowana, pozbawiona szyi postać szarpała swymi serdelkowatymi palcami ufarbowaną na żółto brodę wpatrując się w skrzypiące rury.

Stworzenie z ciemnych, leśnych głębi, pomyślał Chris Turing przyglądając się karłowi. Nie pasuje do tego miejsca.

Tylko człowiek mógł wybrać taki sposób umierania, w nieszczelnej, metalowej trumnie, beznadziejnie usiłując zniszczyć Walhallę.

Ale też nic nie wskazywało na to, żeby karzeł Lokego sam wybrał pobyt tutaj.

Dlaczego, zastanowiło nagle Chrisa, nie po raz pierwszy zresztą. Dlaczego istnieją takie stworzenia? Czy zło nie radziło sobie zupełnie dobrze na świecie zanim pojawiły się, żeby mu pomagać? Zadudniły silniki łodzi podwodnej i Chris odsunął od siebie tę myśl. Niepodobna już było wyobrazić sobie świata bez Asów i tych, którzy im służyli, tak jak i nie można było przypomnieć sobie czasów, kiedy nie było wojny.

Chris siedział przyczepiony do fotela, za cienką, płócienną przegrodą słyszał świst lodowatej wody Bałtyku i patrzył jak gnom wdrapuje się na szczyt paki z częściami do bomb wodorowych. Podciągnął swoje szpotawe stopy z pokrytego morską wodą pokładu, przykucając wysoko na czarnym pudle. Gdy peryskop poszedł w górę i kolejna partia wody bulgocząc dostała się do środka w wyniku obniżenia ciśnienia, karłowi wyrwał się kolejny jęk.

Major Marlowe spojrzał w górę znad działka, które składał po raz trzydziesty z kolei.

– O co znowu chodzi temu cholernemu karłowi? – zapytał oficer.

Chris pokręcił głową.

– Zabij mnie, ale nie wiem. Może nie czuje się tu u siebie. Ostatecznie starożytni Norwegowie myśleli o głębinach jako o miejscu należącym do zatopionych łodzi i do ryb.

– Myślałem, że jesteś jakimś ekspertem od Asów. A ty nawet nie jesteś pewien, dlaczego to stworzenie jęczy.

Chris mógł tylko wzruszyć ramionami i powtórzyć.

– Powiedziałem, że nie wiem. Dlaczego sam go o to nie spytasz?

Marlowe rzucił Chrisowi gorzkie spojrzenie, jakby chciał powiedzieć, że nie uważa tego za najlepszy dowcip.

– Wleźć na tę kupę smrodu i poprosić cholernego k a r ł a Lokego, żeby wytłumaczył swoje u c z u c i a? Hmmm. Wolałbym raczej plunąć Asowi w twarz.

Z lewej strony wychylił się pomocnik Chrisa, Zap O'Leary, uśmiechając się szeroko.

– No, to dawaj, ojczulku – O'Leary powiedział do oficera. – Tam obok peryskopu widać jednego. Zapraszam. Napisz mu runy na spluwaczce. – Ekscentryczny technik wskazał w stronę marynarzy tłoczących się wokół peryskopu. Tuż za kapitanem stała potężna postać odziana w skóry i futra, górująca nad resztą marynarzy.

Marlowe odmrugnął O'Leary'emu w zakłopotaniu. Wydawał się nie tyle obrażony co zmieszany.

– Co on mówi? – zapytał Chris.

Chris pomyślał, że wolałby nie siedzieć między tymi dwoma.

– Zap sugeruje, że mógłbyś się sprawdzić celując w oko Lokego.

Marlowe wykrzywił się. O'Leary równie dobrze mógł zaproponować, żeby włożył rękę do silnika odrzutowego. W tym momencie jeden z marynarzy wpychając się do tylnego przejścia, popełnił błąd upuszczając nabój do śmierdzących ścieków. Marlowe dał upust złości wylewając na biedaka obfity strumień soczystych przekleństw.

Karzeł znowu jęknął podciągając kolana do pasów przypinających go w hermetycznie zespawanej klatce.

Skądkolwiek są, nie przywykli do łodzi podwodnych, pomyślał Chris. I te tak zwane karły na pewno nie lubią wody.

Chris zastanawiał się, jak udało się Lokemu namówić tego tu na wzięcie udziału w takiej samobójczej misji.

Prawdopodobnie zagroził, że zamieni go w żabę, spekulował. Ja bym się nie sprzeczał z Lokem.

To, w czym brali udział, było desperacką próbą. Pod koniec 1962 roku bardzo niewiele czasu zostało resztkom Aliantów, walczących przeciwko nazistom. Wszystko, co można było zrobić tej jesieni, żeby powstrzymać nadejście nieuniknionego, było warte próby.

Nawet Loki, podobny niedźwiedziowi, prawie nie do zranienia i zawsze huczący śmiechem wywołującym dreszcz w krzyżach, stracił nerwy, kiedy „Razorfin" wypadł z brzucha huczącego bombowca zwijając im żołądki w kłębki, podczas gdy łódź wpadała jak wielki kamień w lodowate objęcia Neptuna.

Chris musiał przyznać, że i on pochorowałby się, gdyby ten krótki, a wydawałoby się nieskończony spadek trwał jeszcze chwilę dłużej. Łoskot i pisk torturowanego metalu w momencie uderzenia był po tym niemal ulgą.

A wszystko wydawało się lepsze od długiej, męczącej podróży nad biegunem, omijania chwiejnymi zygzakami nazistowskich rakiet i skał na szarych wodach, beznadziejnego nasłuchiwania i przyczajania się, podczas gdy wrodzy lotnicy spadali w swoich latających trumnach to tu, to tam i... od modlitwy, żeby władcy Asów patrolowali w tym czasie inny sektor północy.

Z dwudziestu transportowców niosących łodzie podwodne, wysłanych razem z Wyspy Baffina, tylko sześciu udało się dotrzeć do wód pomiędzy Szwecją i Finlandią. A z tych dwa, „Cetus" i „Tigerfish", pękło uderzając w morze, rozrywając się jak pudełka sardynek i wyrzucając bezradną załogę w ramiona lodowatej śmierci.

Zostały tylko cztery, pomyślał Chris.

Mimo tego jednak, przypomniał sam sobie, że nasze szanse mogą być niewielkie, ci biedni piloci są prawdziwymi bohaterami. Wątpił czy choć jednej załodze uda się bezpiecznie przebyć przez ciemną, martwą Europę do Teheranu.

– Kapitan Turing!

Chris podniósł wzrok na dźwięk swego nazwiska, wymówionego przez kapitana. Komandor Lewis opuścił peryskop i pochylił się nad stołem pokrytym mapami.

– Idę do pana, komandorze. – Chris odczepił się i stąpnął w słoną wodę.

– Powiedz im, że naszą gorzałkę zachowamy dla siebie – poradził mu cichym głosem O'Leary. – Dobra buteleczka to zbyt rzadka rzecz, żeby się nią dzielić.

– Zamknij się, głupcze – warknął Marlowe. Chris zignorował ich obu brnąc dalej do przodu. Kapitan czekał na niego stojąc obok „przyjacielskiego doradcy", obcego stworzenia, nazywającego siebie Loki.

Znam Lokego od lat, pomyślał Chris. Walczyłem z nim ramię w ramię przeciw jego braciom, Asom... i nadal ogarnia mnie przerażenie za każdym razem kiedy na niego patrzę.

Górujący nad wszystkimi pozostałymi Loki spoglądał na Chrisa nieodgadnionymi, dzikimi, czarnymi oczami. Ten „przewrotny bóg" bardzo przypominał człowieka, chociaż nienaturalnie wielkiego i silnego. Ale jego oczy zaprzeczały wrażeniu człowieczeństwa. Chris spędził wystarczająco dużo czasu z Lokem, od chwili gdy ten zdradził Asów, żeby stanąć po stronie Aliantów, by nauczyć się unikania w miarę możliwości patrzenia w te oczy.

– Panowie – odezwał się, skłaniając głowę przed komandorem Lewisem i brodatym Asem. – Rozumiem, że zbliżamy się do punktu Y?

– Zgadza się – powiedział kapitan. – Będziemy tam za dwadzieścia minut, jeżeli nie wydarzy się coś nieprzewidzianego.

Wydawało się, że Lewis postarzał się o całe wieki w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Młody dowódca łodzi podwodnej wiedział, że jego eskadra nie była jedyną stawką w tej operacji. Kilka tysięcy mil na zachód, większa część z tego co pozostało z okrętów marynarki Stanów Zjednoczonych było związanych beznadziejnie tylko w jednym celu, żeby trzymać Kriegsmarine i SS, a szczególnie pewnego „boga mórz" z dala od Bałtyku i operacji Ragnarök. Kuzyn Lokego, Tyr nie miał wielkiej władzy nad łodziami podwodnymi, ale gdyby jego uwaga nie była zaprzęgnięta gdzie indziej, mógł sprawić im niezłe piekło, gdyby chcieli wylądować.

Tej nocy robił je dla marynarzy amerykańskich, kanadyjskich i meksykańskich, daleko stąd.

Chris przestał o tym myśleć. Zbyt wielu chłopców miało zginąć, tylko dlatego żeby zająć jednego obcego stwora, podczas gdy cztery łodzie podwodne będą się starały wśliznąć tylnymi drzwiami.

– Dziękuję. Lepiej powiem to Marlowe'owi i mojej drużynie saperskiej... – Odwrócił się, żeby odejść, ale zatrzymała go ogromna ręka ujmując go łagodnie, ale ze stalową nieugiętością za ramię.

– Musisz wiedzieć jeszcze coś – powiedziało niskim, donośnym głosem stworzenie zwane Loki. Niemożliwie białe zęby lśniły w uśmiechu nad Chrisem. – Będziesz musiał zabrać na brzeg pasażera.

Chris zdziwił się. Plan przewidywał tylko jego grupę i eskortę komandosów... Potem zobaczył, że twarz komandora Lewisa robi się blada z przerażenia. Wyglądał gorzej niż gdyby zobaczył śmierć.

Chris odwrócił się, żeby spojrzeć na pokrytego futrem giganta.

– Ty... – wyrwało mu się.

Loki kiwnął potakująco głową.

– Zgadza się. Drobna zmiana w planach. Nie będę towarzyszył podwodnym statkom w ich próbie przedarcia się przez Skagerrak. Za to wyjdę z tobą na brzeg w Gotlandii.

Twarz Chrisa nie wyrażała nic. Prawdę mówiąc nie było żadnego sposobu po tej stronie niebios, żeby on albo Lewis czy ktokolwiek inny mógł powstrzymać to stworzenie przed zrobieniem tego, na co miało ochotę. W ten czy w inny sposób Alianci musieli stracić swego jedynego przyjaciela Asa, podczas długiej wojny przeciwko nazistowskiej pladze.

Jeżeli słowo „przyjaciel" rzeczywiście pasowało do Lokego – który pojawił się pewnego dnia na pasie startowym lotniska w Szkocji podczas ostatecznej ewakuacji z Anglii, w towarzystwie ośmiu małych, brodatych stworzeń dźwigających jakieś pudła. Poprowadził ich do najbliżej stojącego, zdziwionego oficera i władczo zażądał osobistego samolotu premiera, którym miałby polecieć na odpoczynek do Ameryki.

Być może uzbrojony batalion mógł go zatrzymać. Raporty z bitew dowodziły, że Asa można zabić, jeżeli się miało bardzo dużo szczęścia i trafiło któregoś z nich wystarczająco mocno i szybko. Ale kiedy tamten dowódca zdał sobie sprawę co się dzieje, zdecydował się zaryzykować.

Loki, od tego dnia dziesięć lat temu, dowiódł ogromną ilość razy ile jest wart.

To znaczy do chwili obecnej.

– Jeżeli nalegasz – powiedział Asowi.

– Tak. Taka jest moja wola.

– Idę więc wytłumaczyć to majorowi Marlowe'owi. Proszę mi wybaczyć.

Najpierw przez parę metrów cofał się tyłem, potem odwrócił się. Przenikliwe spojrzenie zdawało się mu towarzyszyć, kiedy brnął w słonej wodzie mijając jęczącego karła, wiecznie sardonicznie uśmiechniętego O'Leary'ego, a potem schodząc w dół wąskim, ociekającym wilgocią przejściem, gdzie siedzieli marynarze, przez całą drogę do wyrzutni torpedowych.

Rozmawiali ściszonymi głosami. Byli to młodzi ludzie, wszyscy mówili po angielsku, ale tylko połowa z nich używała północnoamerykańskiego. Oznaczenia narodowości na ramionach – Wolna Francja, Wolna Rosja, Wolna Irlandia, Niemcy Chrześcijańskie – nikły w półmroku, ale mieszanina akcentów nie budziła wątpliwości, tak samo jak sposób w jaki potrząsali swoją bronią i jak błyszczały ich oczy.

To był typ ochotników zgłaszających się do samobójczej misji, rodzaj ludzi dość powszechny po trzynastu latach okropnej wojny – mających niewiele, albo wręcz nic do stracenia.

Major Marlowe przyszedł nadzorować przygotowanie łodzi do lądowania. Nie przyjął dobrze nowin Chrisa.

– Loki chce zejść? Na G o t l a n d i ę? – wrzasnął. – Ten skurwiel jest szpiegiem. Wiedziałem to przez cały czas.

Chris pokręcił głową.

– John, on pomagał nam na setki sposobów. Chociażby wtedy, gdy towarzyszył Ike'owi do Tokio i przekonał Japończyków...

– Wielkie coś. Japończycy byli już wtedy pokonani! – potężny marynarz zacisnął pięść z całej siły. – I tak samo załatwilibyśmy Hitlera, gdyby nie wiadomo skąd nie pojawiły się, jak przekleństwo Szatana, te potwory.

I żyje pomiędzy nami od dziesięciu lat, obserwując nasze metody, naszą taktykę, naszą technologię, jedyną prawdziwą przewagę jaka nam pozostała!

Chris skrzywił się. Jak mógł to wytłumaczyć Marlowe'owi, który nigdy nie był w Teheranie, tak jak Chris w poprzednim roku. Marlowe nigdy nie widział stolicy Izraela-Iranu, największego i najsilniejszego sprzymierzeńca Ameryki, bastionu Wschodu.

Istniało tam dziesiątki uzbrojonych miasteczek wzdłuż wschodniego brzegu Eufratu, gdzie Chris spotkał zawziętych mężczyzn i kobiety, noszących na ramionach wytatuowane numery z Treblinki, Dachau i Oświęcimia. I usłyszał ich opowieść, jak pewnej beznadziejnej nocy pod drutami kolczastymi i smrodem walącym z kominów, zagłodzeni, skazani na zagładę ludzie zobaczyli dziwną mgłę spływającą z nieba. Niewierzące, prawie martwe już oczy wpatrywały się w zadziwieniu jak mgła zbiera się i łączy w coś co wydawało się prawie ciałem stałym.

Z tej dziwnej mgły uformował się wielobarwny most... łuk tęczy, wznoszący się bez końca, z miejsc koszmaru w bezksiężycową noc. A na wysokości ujrzeli ciemnooką postać zjeżdżającą w dół na uskrzydlonym koniu. Usłyszeli jak szepce wewnątrz ich umysłów.

Chodźcie, dzieci, póki wasi oprawcy oślepli w pajęczynie mojego umysłu. Chodźcie wszyscy po moim moście w bezpieczne miejsce, zanim moi kuzyni odkryją, że ich zdradziłem.

Kiedy padli na kolana i zaczęli kłaniać się w dziękczynnej modlitwie, postać roześmiała się drwiąco. Jej głos szeptał w ich głowach.

Nie bierzcie mnie za swego Boga, który zostawił was tu na śmierć. Nie umiem wyjaśnić jego nieobecności, ani jego planów. Ojciec Wszechrzeczy jest tajemnicą nawet dla Wielkiego Odyna!

Wiem tylko, że zabiorę was teraz w bezpieczne miejsce, jeżeli takie w ogóle jest w tym świecie. Ale tylko jeżeli się pospieszycie! Chodźcie, a wyrazy wdzięczności zostawcie na później!

Do obozów, gett, oblężonych miast tej jednej nocy spłynęły mosty, a ze świtem zniknęły jak mgła lub sen. Weszło na nie dwa miliony ludzi, starych, słabych, kobiet, dzieci, niewolników hitlerowskich fabryk zbrojeniowych – ponieważ nie było innego wyjścia – i znaleźli się na pustynnej ziemi nad brzegiem starożytnej rzeki.

Pojawili się dokładnie na czas, żeby chwycić pospiesznie za broń i uratować z pogromu angielskie wojsko w Egipcie i Palestynie. Połączyli się z zadziwionymi Persami i uciekinierami z kalekiej Rosji i razem z chaosu zbudowali nowy naród.

Dlatego Loki pojawił się na pasie startowym lotniska w Szkocji tuż po nocy cudu. Nie mógł powrócić do Europy, ponieważ furia jego kuzynów Asów była straszna. Powracając dzisiaj do Gotlandii był w nie mniejszym niebezpieczeństwie niż komandosi.

– Nie, Marlowe. Loki nie jest szpiegiem. Nie mam pojęcia czym na Boga Zielonej Ziemi on jest. Ale założę się o własne życie, że nie jest szpiegiem.

2.

Łodzie gulgotały i kołysały się, wystrzelone z łodzi podwodnej podskakiwały jak korki w zimnej, morskiej wodzie. Zewnętrzne pokrywy odpadły i żeglarze zabrali się za wiosła. Ludzie wciągnęli pierwszy od wielu dni haust świeżego powietrza.

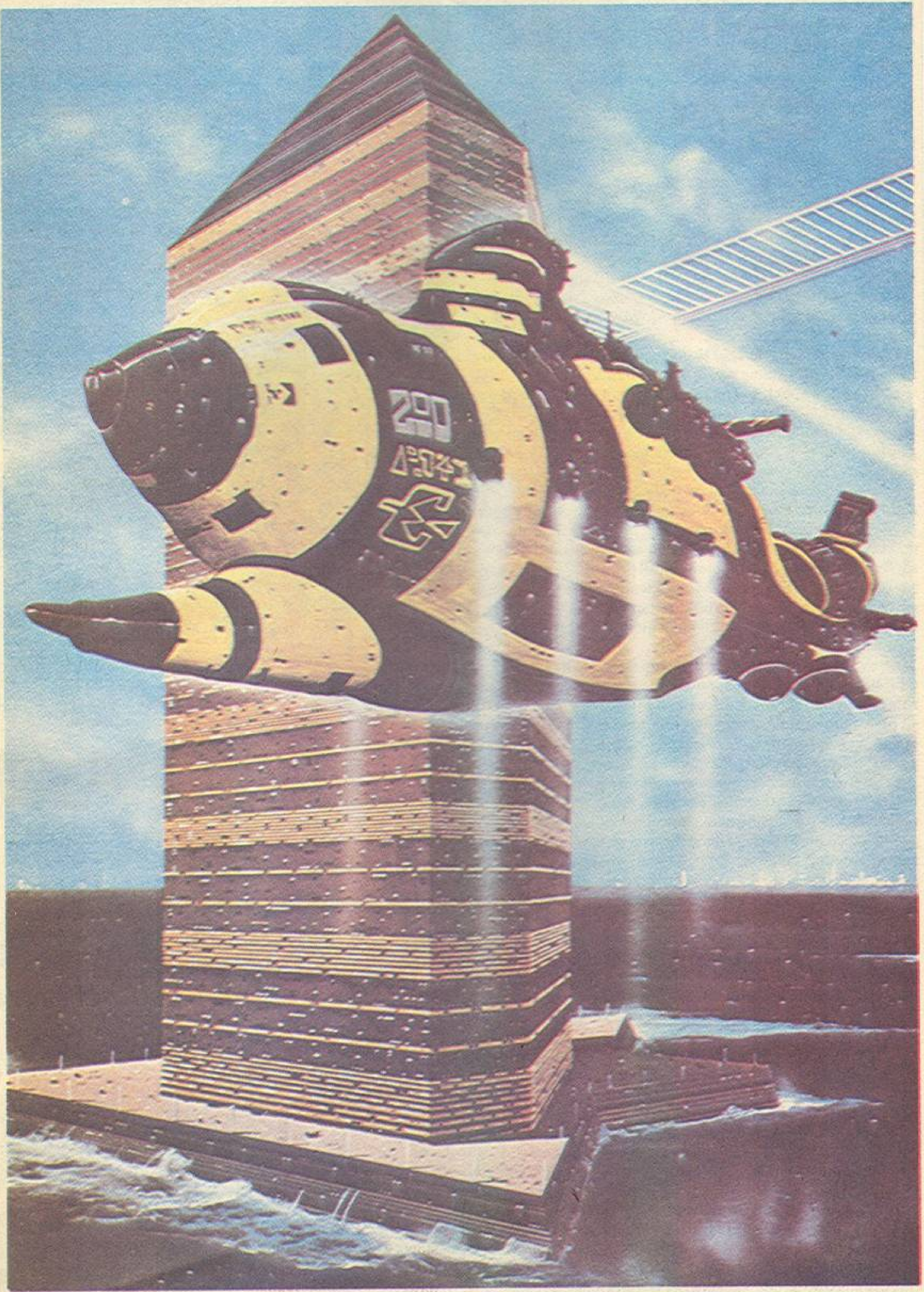
Karzeł Lokego wyglądał trochę lepiej. Patrzył ponad ciemną wodą na zachód, gdzie cienka czerwona linia znikającego słońca znaczyła wzgórza wielkiej wyspy na Bałtyku i mruczał coś gardłowo w języku nie przypominającym żadnego ziemskiego.

Co było zupełnie naturalne. Chris, jak większość Amerykanów był równie przekonany o tym, że te stworzenia są tak stare jak norwescy bogowie – i zostali wezwani do nowoczesnego świata – jak i o tym, że on był Sandym Koufaxem, i że nie grali w baseball w Brooklynie.

O b c y – tak się ich nazywało oficjalnie... we wszystkich opowieściach nadawanych przez Radio Alianckie na całą Amerykę, Japonię i to, co pozostawało jako Wolna Azja pojawiali się jako stworzenia z gwiazd, jak w historiach Chestera Nimitza, słynnego autora science fiction.

Nie było trudno wyobrazić sobie, dlaczego chcieli wyglądać jak bogowie. I to tłumaczyło, czemu stanęli po stronie nazistów. Pomimo wszystko, pułapka nie zadziałałaby na zachodzie, gdzie euro-amerykańscy uczeni zaczęliby ich badać i zadawać im pytania, podobnie zresztą jak zwykli ludzie.

Chris Foss





Ale szaleństwo, które ogarnęło nazistów stworzyło dla „Asów" sprzyjający grunt.

Chris czytał dokumenty znalezione przy złapanych niemieckich SS-manach. Jeszcze nawet w latach trzydziestych i wczesnych czterdziestych, zanim zjawili się Asowie, pełno tam było pseudoreligijnego mistycyzmu i tych rzeczy – o lodowych księżycach spadających z nieba a także romantycznej naturze i supremacji Aryjczyków.

Podbity przez nazistów świat należał do Asów, kimkolwiek byli i skądkolwiek się wzięli. Naprawdę stali się bogami. Podobnie jak mógł pojąć logikę, którą kieruje się szczur czy hiena, Chris rozumiał też powody jakie skłoniły obcych, żeby wybrać tę stronę, którą wybrali, niech ich zaraza.

Sylwetki sosen na szczytach wzgórz odcinały się wyraźnie na wciąż jasnym zachodnim niebie. Dwie pierwsze łodzie były zapchane żołnierzami, mającymi zdobyć przyczółek i udać się w głąb lądu na zwiady. Zadaniem marynarzy na flankach było przygotowanie łodzi do wycieczki... tak jakby ktokolwiek wierzył, że to się może udać.

Ostatnie dwa zespoły stanowiła grupa saperska Chrisa. Loki klęczał na jednym kolanie na dziobie łodzi i wpatrywał się przed siebie czarnymi, lśniącymi oczami. Mimo że ciemny, wyglądał w tym momencie jak przeniesiony prosto z sagi o Wikingach.

Świetny pozór, pomyślał Chris. A może te stworzenia naprawdę wierzyły, że są tym, czym – jak twierdziły – były. Kto to wie?

Chris był pewien jednego, że muszą zostać pokonane, albo z ludzkości nie pozostanie nic, tylko ciemność.

Sprawdził zegarek i spojrzał na niebo, uważnie oglądając szerokie i pełne gwiazd otwarcie w chmurach.

Tak, był tam. Satelita. Okrążający na skrzydłach Newtona ziemski glob w dziewięćdziesiąt minut, w odległości dwustu mil.

Kiedy pojawił się, naziści wpadli w histerię, ogłaszając astrologiczny cud. Z jakichś nieznanych, biurokratycznych powodów Pentagon potraktował sprawę jako tajną, do momentu kiedy już pół świata uwierzyło w propagandę Goebbelsa. Wtedy wreszcie Waszyngton ogłosił prawdę. Że amerykańscy Kosmiczni Argonauci okrążają Ziemię. Przez dwa miesiące świat oszalał. Wielu myślało, że ten nowy technologiczny cud może być ważniejszy niż bomba atomowa.

Wtedy zaczęła się inwazja Kanady.

Chris starał się nie myśleć, co działo się teraz na Atlantyku. Chciałby mieć jeden z tych nowych laserowych komunikatorów i móc opowiedzieć ludziom tam w satelicie, jak rozwijają się sprawy tu na dole. Ale urządzenia ze wzmocnieniem światła były jeszcze tak tajne, że Szefowie zakazali, by jakiekolwiek znalazło się na terenie wroga.

Przypuśćmy, że naziści opracowali technikę zestrzelenia satelity. Nadal było tajemnicą dlaczego, mając pomoc obcych, przodownictwo w technice rakietowej wymknęło im się z rąk.

Chris zastanawiał się, czemu Asowie pozwolili amerykańskiemu satelicie tak długo latać.

Być może nie mogli już działać w przestrzeni kosmicznej... tak jak nie byli w stanie zniszczyć naszych sił podwodnych.

Chris potrząsnął głową.

Co prawda nie ma to większego znaczenia, pomyślał. Dzisiaj flota atlantycka umiera. Tej zimy będziemy najprawdopodobniej zmuszeni użyć dużych bomb, żeby utrzymać front w Kanadzie... niszcząc kontynent, żeby ich choć trochę opóźnić.

Spojrzał na postać na dziobie statku. Jak spryt, pomysłowość czy odwaga mogą zatryumfować nad taką siłą?

W tym momencie przykryte skórami ramiona są bierne. Ale Chris widział jak Loki gołymi rękami burzy budynki. A Loki przyznawał, że jest jednym z najsłabszych „bogów".

– Loki – odezwał się cicho.

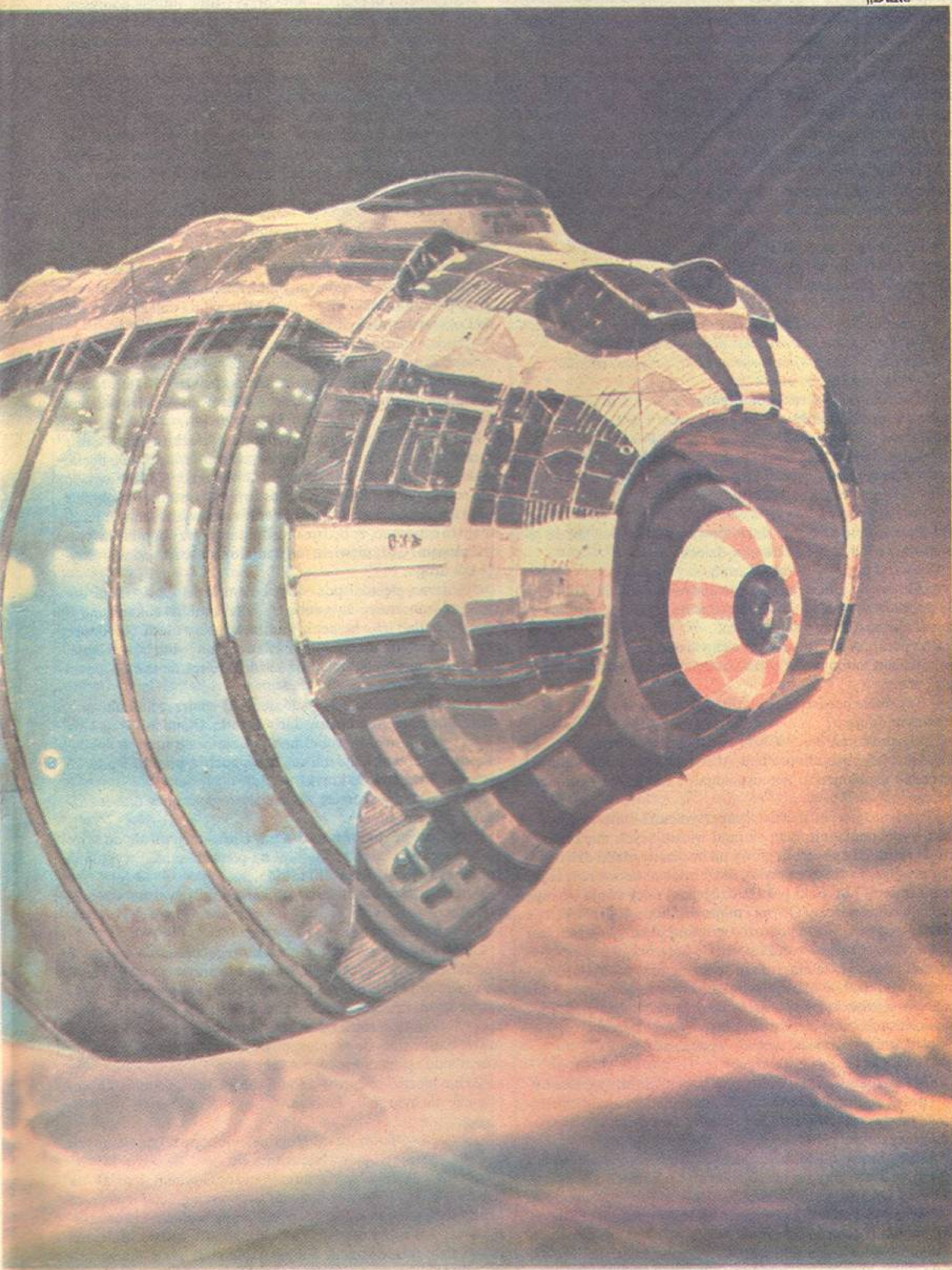
As zazwyczaj ignorował każdego, kto odezwał się do niego bez pozwolenia. Ale tym razem ciemnowłosa postać odwróciła się i Loki spojrzał na Chrisa. Choć jego twarz nie była łagodna, jednak uśmiechał się.

– Coś cię męczy, młody człowieku. Czytam to w twoim sercu. – Wydawało się, że zagląda w duszę Chrisa. – Widzę z zadowoleniem, że to nie strach, tylko wielkie zakłopotanie.

Dopasowując się do przyjętej roli panów Walhalli, Asowie traktowali odwagę jako najbardziej godną szacunku cechę.

Chris Foss

„Dune"



– Dziękuję, Loki – Chris skłonił głowę z szacunkiem. Nie oszukasz mnie. Wiem, że jestem przerażony do szpiku kości!

Oczy Lokiego były jak jeziora odbijające światło gwiazd.

– W ten rozstrzygający wieczór wypada pochwalić odważnego robaka. Nagrodzę cię więc, śmiertelniku. Możesz zadać trzy pytania, Loki powie ci prawdę.

Chris patrzył oszołomiony, przez moment nie mógł powiedzieć ani słowa. Nie był przygotowany na nic takiego! Wszyscy, od prezydenta Marshalla i admirała Heinleina po najniższego w hierarchii brazylijskiego pomocnika marzyli o tym. Władczy i zawsze zachowujący rezerwę jedyny ich sprzymierzeniec spośród Asów rzucał sugestie i napomknienia, pomagał walczyć z nazistami i opóźniać stały postęp wroga, ale nigdy nie poczynił podobnej obietnicy!

Chris wyczuwał napięcie znajdującego się za nim O'Leary'ego starającego się być niewidocznym, byle tylko zostać i móc słuchać. Chociaż raz jego usta były mocno zaciśnięte.

Gdy łódź wypływała na mieliznę zamajaczył nad nimi sosnowy las kołysany wieczornym wiatrem. Czuli jego zapach. Było tak mało czasu! Chris szukał na oślep pytań.

– Ja... kim jesteś i skąd przybyłeś?

Loki zamknął oczy. Kiedy otworzył je, ciemne źrenice wypełnione były czarnym smutkiem.

– *Z ciała Ymira, zabitego przez Odyna, wyrzuconego przez morze.*

Trzymając się ciała Ymira, Yggdrasila, wielkiego drzewa.

Wyrzucony z soli i mrozu, As, drżenie Ziemi.

Zrodzony z Giganta i człowieka, Loki, przynosi radość

Stworzenie patrzyło na Chrisa.

– Tutaj zawsze był mój dom – powiedział. A Chris wiedział, że ma na myśli Ziemię. – Pamiętam wieki i wszystko co było zapisane w Eddach – od zakucia w kajdany Fnera po kłamstwa Skymnira. I nawet... – Głos Lokego był z lekka zdziwiony, nawet wyciszony. – A jednak jest coś z tymi wspomnieniami... jakby przerwane, jakby pokryte mrozem.

Potrząsnął głową.

– Prawdę mówiąc, nie mogę powiedzieć na pewno, że jestem starszy od ciebie człowieku-dziecko.

Wzruszył potężnymi ramionami.

– Ale pospiesz się ze swoim następnym pytaniem. Zbliżamy się do Miejsca Spotkania. Tam będą Oni i musimy im przeszkodzić, jeżeli już nie jest za późno.

Przypomniawszy sobie nagle o chwili obecnej, Chris spojrzał wokół na wyłaniający się zza zaciemnionego wzgórza dziki krajobraz.

– Czy jesteś pewien tego planu – wyzwanie tak wielu Asów w jednym miejscu?

Loki uśmiechnął się. A Chris w jednej chwili zorientował się dlaczego. Jak jakiś idiota z bajki roztrwonił pytanie, w głupiej potrzebie uspokojenia. Ale uspokajanie nie leżało w naturze Lokego.

– Nie, nie jestem pewien, impertynencki śmiertelniku! – Loki wybuchnął śmiechem aż rząd wiosłujących marzynarzy stracił rytm, gdy podnieśli głowy na ironiczny, dziki dźwięk. – Czy myślisz, że tylko człowiek może zdobyć honor narażając się na śmierć? Oto Loki pokaże dzisiejszej nocy swoją odwagę stając przeciw włóczni Odyna i młotowi Thora, jeśli tak będzie trzeba! – odwrócił się i pogroził ogromną pięścią w stronę zachodu. Karzeł zaskowyczał i skulił się koło swego pana.

Chris zobaczył, że marynarze są już na brzegu. Major Marlowe wykonywał szybkie gesty rękami wysyłając pierwsze oddziały strzelców w stronę lasu. W następnych łodziach składano wiosła, pęd niósł je w stronę piaszczystego brzegu.

Pospiesznie skorzystał z pozostałego czasu.

– Loki. Co się dzieje w Afryce?

Od 1949 roku Czarny Kontynent naprawdę stał się czarny. Od Tunisu do Przylądka Dobrej Nadziei płonęły ognie i słuchy mówiły o strasznych rzeczach, które się tam działy.

Loki wyszeptał cicho.

– Surt potrzebuje domu, zanim przyjdzie czas wściekłości. Tam, w męce krzyczą ludzie, błagając o koniec.

Gigant pokręcił swoją wielką głową.

– W Afryce i na wielkich obszarach Rosji ma miejsce straszliwa magia, potworne cierpienia.

Będąc jeszcze w Izrael-Iranie Chris spotykał uchodźców – Murzynów i Słowian – szczęściarzy, którym udało się umknąć przed tymi ogniami na czas. Nawet oni nie byli w stanie powiedzieć, co działo się w głębi lądu. Jedynie ci, którzy widzieli wcześniejsze okropności z pierwszej fali obozów zagłady – poznaczeni na ramionach numerami – mogli wyobrazić sobie co działo się na cichym kontynencie. A ci milczeli.

Chrisa uderzyło, że Loki nie mówi z żalem, ale jakby zdając rzeczową relację, jakby myślał, że popełniono błąd, ale nie jakieś szczególne zło.

– Straszliwa magia... – powtórzył Chris. I nagle pomyślał. – Chodzi ci o to, że celem nie jest tylko rzeź ludzi? Tam dzieje się coś jeszcze? Dlatego uratowałeś tych z pierwszych obozów. Co im robiono?

Chris miał wrażenie, że to jest ważne. Ostatecznie rozstrzygające. Ale Loki uśmiechnął się pokazując trzy palce.

– Żadnych pytań więcej. Już czas.

Szorowali dnem. Żeglarze wyskoczyli do lodowato zimnej wody, żeby wyciągnąć łódź na skalisty brzeg. Po chwili Chris był zajęty pilnowaniem wyładunku zapasów, ale w głowie miał zamęt.

Loki ukrywał coś, śmiejąc się z niego, że podszedł tak blisko, a jednak ominął cel. Tej nocy stawka była większa niż próba zabicia kilku obcych bogów.

Wysoko, pod sklepieniem ciemnego lasu krakały skrzekliwie wrony. Karzeł obładowany taką ilością skrzyń, że człowiek by się pod nimi załamał, przewracał oczami i pojękiwał cicho, ale Loki wydawał się tego nie zauważać.

– Będzie niezła jatka – mruczał O'Leary pomagając Chrisowi wsadzić na ramiona zapalnik bomby. – Ciężkie.

– Zgadza się – odpowiedział Chris, pewien, że tym razem zrozumiał beatnika. – Ciężkie – kierowali się prowadzeni światłem flar.

Kiedy wspinali się wąską, wydeptaną ścieżką z plaży, Chris poczuł rosnące w nim poczucie oczekiwania... uczucie bycia, właśnie w tej chwili, w centrum wydarzeń. Właśnie w tym miejscu na dobre i złe ważył się los świata. Nie umiał wyobrazić sobie lepszego końca niż zniszczenie całej wyspy, nawet jeżeli miało to oznaczać, że będzie musiał stanąć przy bombie i wysadzić się sam. Cóż, niewielu ludzi miało szansę sprzedać swe życie tak drogo.

Byli teraz głęboko pod sklepieniem lasu. Chris mógł dostrzec nieznaczne ruchy pomiędzy drzewami, po bokach marynarze osłaniali ich i bezcenny ładunek, który nieśli. Zgodnie z przedwojennymi mapami, musieli wejść na jedno wzniesienie, potem na następne. Dalej już każde miejsce nadawało się na złożenie ładunku.

Chris miał właśnie odwrócić się, żeby spojrzeć na Lokego... ale w tym momencie noc rozdarły światła. Płomienie trzaskały i syczały, unosiły się wolno nad gałęziami na małych spadochronach. Potem usłyszeli nagły wybuch z przodu i poczuli wstrząs. Słychać było krzyki.

Wysoko nad wzgórzem rozległ się zagłuszający nawet eksplozje potężny śmiech.

Przywierając do korzeni drzewa Chris obejrzał się do tyłu. Kilkanaście jardów za nim leżał na plecach karzeł, wypalona ruina w miejscu gdzie trafił moździerz.

Poczuł rękę na ramieniu. O'Leary wskazywał na wzgórze wybałuszając oczy.

– Patrz, człowieku.

Chris spojrzał na wzgórze, z którego ogromna postać o kształcie człowieka schodziła w dół z towarzyszącymi jej ciemno ubranymi i uzbrojonymi ludźmi. Niosła ona ogromną maczugę, którą rzucała niszcząc zarówno drzewa, jak i marynarzy. Olbrzymie drzewa iglaste eksplodowały jak pochodnie, a ludzie zamieniali się w miazgę. Broń, wykonawszy zadanie, wracała do rąk rudobrodego Asa...

To nie moździerze, uświadomił sobie Chris. To młot Thora. Nigdzie nie było śladu Lokego.

3.

– Tutaj, tutaj, Huginie. Nie obawiaj się ciemnych Amerykanów. Nie zranią cię.

Jednookie stworzenie zwane Odynem siedziało na hebanowym tronie, trzymając na swej wyciągniętej lewej ręce kruka tego samego koloru co noc. Kamień szlachetny osadzony w oczodole giganta lśnił jak oko, zdolny widzieć dalej niż prawdziwe, które stracił. Na jego kolanach leżała błyszcząca włócznia.

Po obu stronach stały okryte skórami postacie, prawie równie imponujące, jedna jasna z wielką siekierą przerzuconą arogancko przez plecy, druga czerwonobroda, oparta leniwie na młocie wielkości normalnego człowieka. Strażnicy w czarnych, skórzanych strojach, z podwójną błyskawicą na kołnierzach stali w skupieniu wokół pomieszczenia z topornie obciosanego drewna. Nawet ich karabiny lśniły czarno. Jedynym kolorowym punktem na SS-mańskich uniformach była na rękawach czerwona swastyka.

Stworzenie nazywane Odynem patrzyło w dół, na gromadę związanych razem więźniów, leżących na podłodze wielkiego pomieszczenia.

– Niestety biedny Hugin nie wybaczył wam, moi amerykańscy goście. Jego brat Munin zginął, kiedy Berlin płonął pod waszymi piekielnymi bombami.

Jedyne oko głównego Asa zalśniło dziko.

– I kto może winić mego biednego ptaka, lub nie zrozumieć żalu ojca, kiedy ten sam potop ognia pożarł mojego wspaniałego chłopca, mojego dalekowidzącego Baldura.

Ci, którzy nie zginęli podczas pechowej wyprawy, leżeli teraz wycieńczeni na kamiennej podłodze. Nieprzytomny, umierający major Marlowe nie był w stanie odpowiedzieć w ich imieniu, więc wstał jeden z brytyjskich ochotników, dzwoniąc łańcuchami i splunął na podłogę przed podobne człowiekowi stworzenie.

– Higgins! – O'Leary próbował ściągnąć go za ramię, ale tamten wyrwał się.

– Taa, załatwili twojego bezcennego chłopczyka w Berlinie, a ty w rewanżu zamordowałeś wszystkich w Londynie i Paryżu. Jankesi byli za słabi i pozwolili na to. A powinni iść naprzód, za każdą cenę, i usmażyć każdego pieprzonego Asa aż do ostatniego...

To wyzwanie zostało przerwane przez oficera SS, który powalił go. Żołnierze opuścili lufy strzelając w niego raz po raz.

Wreszcie Odyn ruchem ręki kazał im przestać.

– Zabrać ciało na środek Wielkiego Koła. Będzie wysłane do Walhalii.

Oficer spojrzał zdziwiony, ale Odyn zagrzmiał głosem narzucającym posłuszeństwo.

– Kiedy nadejdzie Zima, chcę mieć przy sobie wszystkich odważnych ludzi – wyjaśnił. I najwyraźniej uważał, że to stwierdzenie załatwiało sprawę. Kiedy ubrani w czarne uniformy strażnicy rozwiązali bezwładne ciało, najważniejszy z Asów ujął swego kruka pod dziób i ofiarował mu kawałek mięsa. Powiedział do potężnego rudzielca stojącego obok niego.

– Thorze, mój synu. Pozostali należą do ciebie. Nędzna to zdobycz, przyznaję, ale wykazali pewne męstwo, idąc tak daleko za Przewrotnym. Co z nimi zrobisz?

Thor wysunął się bardziej do przodu i uważnie przyglądał więźniom, szukając czegoś. Jego wzrok jakby zalśnił, kiedy trafił na Chrisa. Głos miał niski jak pomruk przy trzęsieniu ziemi.

– Raczę porozmawiać z jednym lub z dwoma z nich, Ojcze.

– Dobrze – Odyn kiwnął głową. – Wrzućcie ich do dołu – powiedział do stojącego obok generała SS, który stuknął obcasami i nisko pochylił głowę. – Poczekamy, chcę mojemu synowi sprawić przyjemność.

Naziści powlekli Chrisa i pozostałych jeńców, ale Chris zdążył usłyszeć, jak najstarszy As mówi do swego potomka.

– Dowiedz się co możesz o tym wilczym nasieniu, Lokem, a potem złożymy ich na ofiarę.

4.

Biedny major Marlowe w jednym miał rację. Naziści nigdy by nie wygrali bez pomocy Asów. Hitler i jego banda musieli od początku wierzyć, że uda im się w jakiś sposób przywołać starych „bogów", inaczej nie odważyliby się na taką wojnę, szczególnie z Ameryką.

I na początku 1944 wydawało już się, że jest po wszystkim. Trzeba było jeszcze wylać morze krwi, ale nikt nie miał wątpliwości, że wojna się kończy. Rosjanie parli od wschodu. Rzym był wzięty, a Morze Śródziemne otaczały ziemie zajęte przez Aliantów. Japończycy byli w rozsypce – spychani z jednej wyspy na drugą – podczas gdy największa armada w historii gromadziła się w Anglii, przygotowując się do przekroczenia kanału i ostatecznego rozbicia nazistów.

W fabrykach i stoczniach jak Ameryka długa i szeroka powstawał arsenał produkując więcej w każdym dowolnym miesiącu, niż Trzecia Rzesza wytwarzała w swoim najlepszym roku. Nowe statki wypływały na morze co godzina, samoloty wyjeżdżały z fabryk co kilka minut.

A co najważniejsze, we Włoszech i na Pacyfiku szkolono masy chłopców przebranych w mundury i stawali się oni wojownikami wielkiej armii. Równie doświadczeni jak wróg, bili go na głowę liczebnością.

Mówiło się już o powojennych repatriacjach, planowano pomoc w odbudowie i powstanie „Zjednoczonych Narodów", które utrzymają pokój na zawsze.

Wtedy, w 44, Chris był tylko małym chłopcem w krótkich spodenkach, zaczytującym się powieściami Cheta Nimitza i modlącym się z całych sił, by kiedy dorośnie, mógł okryć się taką chwałą jaką jego wujowie zdobywali za oceanem. Miał nadzieję, że będą przygody w kosmosie, bo przecież po tym co się działo, horror wojny nie mógł się już powtórzyć.

Potem zaczęło się coś dziać... powtarzano opowieści o zatrzymaniu się frontu wschodniego... o nagłym i niespodziewanym odwrocie sowieckiej armii. Powody były niejasne... wiadomości wiązały się z jakimiś zabobonami, w które żaden nowoczesny człowiek nie wierzył.

Głosy na rogach ulic:

Przeklęte Ruski... Przez cały czas wiedziałem, że nie utrzymają się... Ta cała gadanina o „drugim froncie"... Dobrze, my im pokażemy drugi front! Zostawcie dla nas trochę miejsca... Nie bój się, Iwan, Wujek Sam już idzie...

W czerwcu niebo nad Normandią pokryte było samolotami, a statki zakrywały kanał La Manche...

Siedząc oparty o zimną, kamienną ścianę w podziemnej celi, Chris zacisnął mocno oczy starając się odrzucić wspomnienie czarno-białych filmów, które mu pokazano. Ale nie udało mu się odgonić tych obrazów.

Setki tak daleko jak oko może sięgnąć... największa armada, jaką zebrał wolny człowiek...

Dopiero kiedy dołączył do OSS zobaczył zdjęcia nigdzie nie publikowane. Od tego czasu marzył, żeby nigdy nie dane mu było ich oglądać...

Dzień Z, ...Z jak Zwycięstwo, Z jak Zagłada...

Cyklony, setki cyklonów kręcących się jak koszmarne wzgórza, podniosły się z ranną mgłą. Rosły i wspinały się jak ciemne kominy uderzające w niebo. A gdy zbliżały się do statków można było po bokach dostrzec latające postacie naglące sztorm, by gnał coraz szybciej i szybciej, popędzając go skrzydłami...

*

Na majorze można już sadzić kwiatki. – O'Leary westchnął ciężko zwalając się obok Chrisa. – Teraz ty jesteś bossem, ojczulku.

Chris zamknął oczy. Wszyscy nie żyją, pomyślał przypominając sobie, że tak naprawdę wcale nie lubił tego surowego oficera.

Ale i tak zapłakał nad nim, choćby dlatego, że Marlowe był jego ochroną, broniąc go przed tym skurwielem zwanym komendantem.

– No i co teraz, szefie?

Chris spojrzał na O'Leary'ego. Facet był naprawdę za dorosły, żeby bawić się w takie głupie gadki. Z kącików jego jakby króliczych oczu rozbiegały się pęczki zmarszczek, a dziecinny tłuszczyk przeszedł w podwójny podbródek. Geniusz odkryty przez armię i wciągnięty do niej z całą masą innych cywilnych ekspertów. Ale Chris zastanawiał się – nie po raz pierwszy – jak temu zbiegowi z Greenwich Village można było powierzyć coś odpowiedzialnego.

Wybrał go Loki. To była poprawna odpowiedź. Tak jak i wybrał mnie. To tyle jak na boga przebiegłości.

– Gdybyś tylko co trzecie zdanie mówił głupoty, wystarczyłoby tego na oddanie, co czujesz.

O'Leary drgnął i Chris w tej samej chwili pożałował swego wybuchu.

– No, nieważne – zmienił temat. – Jak reszta?

– Nie szurają... to jest, są w porządku, jak na facetów przeznaczonych do rytualnego mordu za kilka godzin. Wszyscy wiedzieli, że to jest samobójcza wyprawa. Chcieliby tylko zabrać ze sobą kilku z tych skurczybyków, to wszystko.

Chris przytaknął. Gdybyśmy tylko mieli jeden rok więcej, albo dwa.

Do tego czasu specjaliści od pocisków zbudowaliby takie rakiety, żeby móc uderzać z dokładnością chirurga, wtedy takie próby jak ta, przewiezienia rakiet pod nosem wroga byłyby całkiem niepotrzebne. Satelity zaczęły już stwarzać podobne możliwości. Gdyby tylko mieli czas.

– Higgins miał rację, bracie – mruczał O'Leary opadając przy ścianie obok Chrisa. – Powinniśmy byli walnąć w nich wszystkim co mieliśmy. Stopić Europę na żużel, jeżeliby to było konieczne.

– Ale wtedy gdy mieliśmy już tyle bomb, żeby nie tylko ich powoli powstrzymywać, oni już też dysponowali bronią atomową – zauważył Chris.

– I co z tego? Po tym jak spaliliśmy Peenemünde, ich system dostawczy załamał się! I nie mieli żadnego klucza do broni termonuklearnej! Zresztą, nawet gdyby udało im się zdemontować naszą bombę...

– Niech Bóg broni! – Chris zamrugał oczami. Serce waliło mu jak młotem na samą myśl o takiej możliwości. Gdyby nazistom udało się przeskoczyć od bomby A do broni jądrowej...

Technik pokręcił gwałtownie głową.

– Spokojna główka, to znaczy... sam sprawdziłem mechanizm niszczący, Chris. Każdego, kto będzie chciał się dowiedzieć jak działa bomba-H wyprodukowana przez Stany Zjednoczone Ameryki, czeka brzydka niespodzianka.

To było oczywiście wymaganie minimum, zanim pozwolono na podjęcie takiej misji jak ta. Gdyby udało im się podłożyć bombę w pobliżu „Wielkiego Kręgu", gdzie skupieni byli wszyscy Asowie, losy wojny mogłyby się zmienić. Teraz pozostawała tylko nadzieja, że gdy minie określony czas, poszczególne części bomby roztopią się na żużel.

O'Leary upierał się.

– Nadal myślę, że wtedy w 52-gim powinniśmy byli pójść na całość.

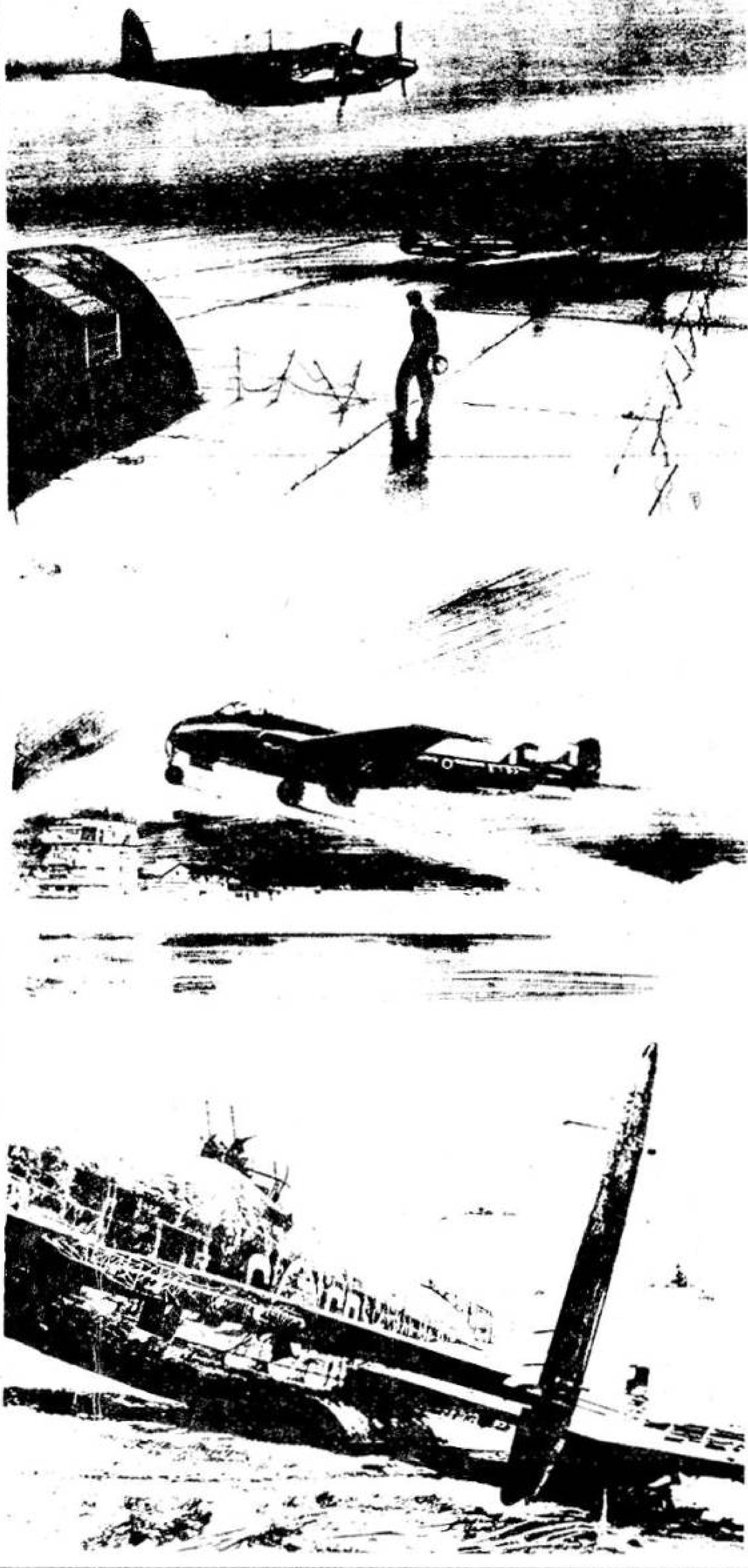
Chris wiedział, co tamten czuje. Większość Amerykanów wierzyła, że to, co otrzymaliby w zamian, byłoby tego warte. Uderzenie na pełną skalę w ojczystą ziemię Hitlera zraniłoby ją nieuleczalnie. Odwet potworów, atak rakiet i bomb byłby ceną, którą podjęliby się zapłacić.

Kiedy dowiedział się, jaki był prawdziwy powód, na początku odmówił mu wiary. Chris przypuszczał, że Loki kłamie... że to była sztuczka Asów...

Ale od tego czasu poznał prawdę. Amerykański arsenał bomb był mieczem o dwóch ostrzach. Użyty nieostrożnie ranił obie strony.

Usłyszeli pobrzękiwanie kluczy. Weszło trzech strażników w mundurach SS. Popatrzyli na pognębionych amerykańskich komandosów.

Chris Foss



– Wielki Thor raczy porozmawiać z waszym wodzem – odezwał się oficer mówiący po angielsku z ciężkim akcentem. Kiedy nikt się nie poruszył, jego spojrzenie padło na Chrisa i uśmiechnął się. – Z tym. Z tą zbłąkaną owieczką. Nasz pan prosił szczególnie o niego. – Wskazał palcem i strażnicy chwycili Chrisa pod ramiona.

– Bądź zimny jak lód, ojczulku – odezwał się O'Leary. – Doprowadzisz ich do amoku.

Chris odwrócił się od drzwi.

– Ty także, O'Leary.

Popchnięto go do przodu i drzwi lochu zatrzasnęły się za nim głośno.

5.

– Jesteś Duńczykiem?

Chris był mocno przywiązany do słupa przed trzaskającym paleniskiem. Urzędnik gestapo obejrzał go najpierw ze wszystkich stron, zanim zaczął zadawać pytania.

– Duńczykiem z pochodzenia. I co z tego? – Chris wzruszył ramionami pod więzami.

Nazista cmoknął językiem.

– O, nic szczególnego. Po prostu zawsze mnie dziwi, gdy spotykam kogoś z rasy nadrzędnej walczącego przeciwko własnemu dziedzictwu.

Chris przymknął powieki.

– Czy rozmawiałeś z wieloma więźniami?

– O tak, wiele razy.

– Cóż, musi cię to dziwić za każdym razem.

Gestapowiec zamrugał oczyma i uśmiechnął się gorzko. Cofnął się, żeby zapalić papierosa i Chris zauważył, że jego ręce drżą.

– Ale czyż twoja krew nie wzbrania się, kiedy idziesz do bitwy ramię w ramię z rasowymi kundlami, mieszańcami...?

Chris roześmiał się. Odwrócił głowę i przyjrzał się lodowato naziście.

– Co robisz akurat tutaj? – zapytał.

– Ja... o co ci chodzi? – mężczyzna znowu zamrugał oczami. – Jestem odpowiedzialny za przesłuchania...

– Jesteś odpowiedzialny za szczególiki więzienne – szydził Chris. – Wszystkim teraz rządzą kapłani Asów. Mistycy SS kontrolują Rzeszę. Hitler to ledwie trzymający się na nogach stary syfilityk, któremu nie dają się ruszyć z Berchtesgaden. A wy, naziści w starym stylu, ledwie jesteście tolerowani.

Oficer zaciągnął się papierosem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że całe to gadanie o rasie było tylko na pokaz. Usprawiedliwieniem obozów śmierci. Ale SS byłoby równie szczęśliwe, gdyby siedzieli tam aryjczycy, byle tylko prowadziło to do... do...

– Tak? – gestapowiec zrobił krok do przodu. – Doprowadziło do czego? Jeżeli celem obozów nie było wyeliminowanie nieczystego miotu, to co innego, mądralo? Co?

Jego śmiech łamał się, podnosząc do pisku.

– Nie wiesz, prawda? Nawet Loki ci nie powiedział.

Chris mógłby przysiąc, że dostrzegł w oczach oficera zawód... jakby ten miał nadzieję dowiedzieć się czegoś od Chrisa i nagle okazało się, że jego więzień jest tak samo zagubiony jak i on.

Nie, straciłem pytanie i Loki nie powiedział mi jaka była przyczyna zakładania obozów zagłady. Chris patrzył na trzęsące się ręce drugiego mężczyzny – ręce, które bez wątpienia zniszczyły więcej ciał i dusz niż można sobie wyobrazić – a wszystko to z powodu, który nie miał już nic wspólnego ze zwycięstwem.

– Biedny, zużyty narodowy socjalista – powiedział Chris. – Wasze marzenia, choć szalone, były jednak ludzkie. Jak się czujecie, gdy wszystko zabrali wam obcy? Jak to jest, gdy widzi się, że wszystko zmieniane jest nie do poznania?

Gestapowiec poczerwieniał. Wygrzebał z rzeczy leżących na stole obok gumową pałkę i trzepnął nią w obciągniętą rękawiczką lewą ręką.

– Zaraz zmienię kogoś tak, że go rodzona matka nie pozna – wymruczał pogróżkę. – I chociaż mogę być wysłużony, nadal jednak mój zawód sprawia mi przyjemność.

Zbliżył się z lekkim uśmieszkiem. Chris napiął mięśnie, gdy ramię uniosło się w górę, podnosząc wysoko pałkę. Ale w tym momencie rozchyliły się skórzane zasłony i na chodnik padł wielki cień. Gestapowiec pobladł i zasalutował.

Czerwonobrody As imieniem Thor odpowiedział skinieniem głowy, podczas gdy zrzucał z siebie futrzane okrycia.

– Możesz iść – zagrzmiał.

Chris nie spojrzał nawet na nazistę, gdy ten próbował spotkać jego wzrok. Przyglądał się węglom na palenisku, aż do chwili, kiedy zasłony rozchyliły się znowu i został sam z obcym.

Thor usiadł krzyżując nogi na grubym chodniku i przez kilka minut razem z Chrisem przyglądał się strzelającym płomieniom. Kiedy Thor użył młota, żeby poruszyć szczapy, strzelający żywo płomień oświetlił jego piękne wzory.

– Fron przysyła wiadomości z Vinelandu... z morza, które wy nazywacie Labradorem, zamordowano tam wielu dzielnych ludzi.

Thor podniósł wzrok.

– Te zabawki tchórzy – „łodzie podwodne" – zrobiły dużo szkód naszej flocie. Ale w końcu śnieżyce Frona zadecydowały. Lądowanie jest bezpieczne.

Chris czuł, że mu się robi niedobrze, ale kontrolował to. Oczekiwali takiego rozwoju wypadków. Najgorsze miało dopiero nadejść tej zimy.

Thor pokręcił głową.

– To jest zła wojna. Gdzie jest honor, jeżeli tysiące umierają nie wsławiając swego imienia?

Chris miał więcej doświadczenia niż większość Amerykanów w prowadzeniu rozmów z bogami. Mimo to, spróbował odezwać się bez pozwolenia.

– Zgadzam się, o Wielki. Ale nie możesz nas za to winić.

Oczy Thora lśniły, gdy przyglądał się uważnie Chrisowi.

– Nie, dzielny robaku. Nie winię was. To, że użyliście tak niewielu waszych płomiennych bomb świadczy dobrze o dumie waszych przywódców. Lub może wiedzieli oni, jak wielki będzie nasz gniew, gdyby z tchórzostwa użyli ich bez powodu.

Nie powinni mi byli pozwolić na udział w tej misji. Za dużo wiem – zdał sobie sprawę Chris. Loki był tym, który upierał się, żeby Chris pojechał i właśnie jego głos zaważył na decyzji najwyższego dowództwa. Ale to czyniło Chrisa jedyną osobą tutaj, która wiedziała dlaczego bomby wodorowe nie były użyte.

Kurz wzniesiony wybuchem i sadza z palących się miast – tego obawiało się Najwyższe Dowództwo Alianckie, znacznie bardziej niż promieniowania czy odwetu nazistów. Już teraz, po kilku zaledwie wybuchach, temperatura obniżyła się zauważalnie.

A Asowie byli o wiele mocniejsi w zimie! Naukowcy potwierdzili to co mówił Loki, że nieostrożne użycie alianckiej przewagi nuklearnej doprowadzi do katastrofy niezależnie od wyniku wojny.

– My także wolimy bardziej osobisty kontakt – powiedział Chris, mając nadzieję, że As uwierzy w swoje własne wytłumaczenie. – Żaden człowiek nie chce być zabity przez siły, których nie może zrozumieć, przed którymi nie może się bronić i z którymi nie może walczyć.

Chris zdał sobie sprawę, że pomruk wydawany przez Thora był śmiechem.

– Dobrze powiedziane, robaku.

As pochylił się nieco do przodu.

– Zasłużysz na łaskę w moich oczach, mała istoto, jeżeli powiesz mi jak znaleźć Brata Kłamstw.

Te szare oczy były jak zimne chmury i Chris czuł, że kiedy w nie patrzy, jego poczucie rzeczywistości zaczyna gdzieś się gubić. Zdobył się na ogromny wysiłek woli i oderwał swój wzrok. Zamknął oczy i gdy odezwał się, w ustach miał zupełnie sucho.

– Ja... nie wiem o czym mówisz.

Dudnienie zmieniło ton, pogłębiając się trochę. Chris poczuł szorstkie dotknięcie i otworzył oczy, żeby zobaczyć Thora dotykającego jego policzka częścią wielkiego, wojennego młota owiniętego w skórę.

– Młodzieniaszek Loki. Powiedz mi, gdzie mogę znaleźć Przewrotnego, a może unikniesz zagłady, a nawet znajdziesz się u mego boku. W świecie, który nadchodzi, nie będzie znaczniejszego miejsca dla człowieka.

Tym razem Chris zmusił się, żeby spojrzeć w hipnotyczne

głębie. Oczy Thora zdawały się przetrząsać jego duszę. Chris bronił się z całą dzikością nienawiści w sercu.

– Nie... na wszystkie walkirie w waszym cholernym, obcym panteonie – wyszeptał, prawie bez tchu. – Wolę żeby mnie wilki rozszarpały.

Uśmiech zniknął. Thor mrugnął i przez moment Chrisowi wydawało się, że obraz Asa chwieje się jakby... jakby Chris patrzył poprzez niego w przestrzeń.

– Odwaga nie uratuje tych, którzy nie okażą szacunku, robaku – ostrzegł go kształt, który znów przybrał solidną postać giganta ubranego w futra.

Nagle Chris ucieszył się, że dane mu było poznać O'Learego.

– W co chcesz mnie wrobić, ojczulku? Ja w ciebie po prostu nie wierzę. Skądkolwiek żeście się wzięli, najprawdopodobniej wykopsali was stamtąd.

Wy, Asowie możecie być dość silni, żeby zniszczyć nasz świat, ale i tak widać, że jesteście męty. A żeby tu się dostać, musieliście pewnie ukraść jakąś starą rakietę, co?

Pokręcił głową.

– Po prostu odmawiam wiary w ciebie, człowieku.

Lodowato szare oczy zamrugały znowu. Potem zdziwienie na twarzy Thora ustąpiło śmiertelnie zimnemu uśmiechowi.

– Nie rozumiem twoich innych obelg. Ale za nazwanie mnie człowiekiem umrzesz, czego wydaje się sam pragniesz, zanim wstanie słońce.

Stanął i oparł dłoń na ramieniu Chrisa, jakby udzielając przyjacielskiego błogosławieństwa, ale nawet przypadkowe dotknięcie ukazywało siłę świadczącą o czymś przeciwnym.

– Dodam tylko tyle, mały człowieku. My Asowie przybyliśmy na zaproszenie i nie zjawiliśmy się na statkach – ani na statkach latających między gwiazdami – ale na skrzydłach samej Śmierci. Ta wiedza niech będzie nagrodą za twój opór.

Potem, w wirze futer i unoszącego się powietrza, stworzenie odeszło, pozostawiając znowu Chrisa samego wpatrzonego w spalające się węgle, powoli przemieniające się w popiół.

6. Teutońscy kapłani odziani byli w czerwień i czerń, ich suknie lśniły od złotych i srebrnych nici. Platynowe orle skrzydła wznosiły się nad ich ciężkimi hełmami, kiedy szli wokół ogromnego kręgu obramowanego kamieniami, śpiewając w języku, który przypominał niemiecki, ale jak Chris wiedział, był dużo, dużo starszy.

Ołtarz, rzeźbiony w rozwarte paszcze smoków, stał obok ogniska.

Dym unosił się kłębiącymi słupami w górę w kierunku księżyca w pełni. Ogień oświetlał pierścień więźniów, z których każdy przykuty był łańcuchem do swego własnego obelisku z topornie obrobionej skały.

Ustawieni byli twarzami na południe, patrząc z Gotlandii poprzez Bałtyk w stronę brzegu, gdzie kiedyś była Polska, a potem „Tysiącletnia Rzesza".

Woda była nienaturalnie spokojna, jak ze szkła, odbijając prawie dokładny obraz ogniska na brzegu obok bliźniaczego księżyca.

– Widocznie Fron opuścił Labrador – skomentował O'Leary tak głośno, że Chris mógł go usłyszeć ponad śpiewem i hałasem bębenków. – To tłumaczy dlaczego noc jest taka spokojna. To ich bóg burz.

Chris spojrzał na niego kwaśno, a O'Leary uśmiechnął się przepraszająco.

– Przepraszam, człowieku. Miałem na myśli, że jest to ich mały zielony człowieczek, który kontroluje pogodę. Czy jeżeli tak to wyrażę poczujesz się lepiej?

Znowu te same bzdury, pomyślał Chris. Uśmiechnął się sucho i wzruszył ramionami. – Nie sądzę, żeby teraz miało to jakieś znaczenie.

O'Leary przyglądał się jak Bracia Aryjczycy maszerują, niosąc gigantyczną swastykę razem z wielkim totemem w kształcie smoka. Technik zaczął coś mówić, ale przerwał i pomrukiwał tylko do siebie, jakby starając się złapać jakąś uciekającą myśl. Kiedy procesja przeszła odwrócił się do Chrisa z tajemniczą miną.

– Właśnie coś sobie przypomniałem.

Chris westchnął.

– O co znowu chodzi, O'Leary?

Beatnik zmarszczył się w zdziwieniu.

– Nie mam pojęcia dlaczego wyleciało mi to z głowy aż do tej chwili. Ale kiedy byliśmy jeszcze na plaży, wyładowując części bomby, stary Loki odciągnął mnie na bok. To brzmi zupełnie wariacko, ale mogę przysiąc, że widziałem jak grzebał przy mechaniźmie spustowym bomby, Chris. To znaczy...

Chris przytaknął.

– To oznacza, że wiedział, że zostaniemy złapani. Tego już się domyśliłem, O'Leary. Przynajmniej naziści nie zdobędą urządzenia spustowego.

– Taa. Ale to jeszcze nie wszystko, Chris. Loki chciał, żebym przekazał ci coś od niego. Powiedział, że zadałeś mu pytanie i miałem powtórzyć odpowiedź.

O'Leary kręcił głową.

– Nie wiem jak mogłem zapomnieć ci o tym powiedzieć aż do tej pory.

Chris roześmiał się. Oczywiście ten zdrajca As nałożył na faceta posthipnotyczne polecenie, żeby przywołać wiadomość później... może tylko w sytuacji takiej jak ta.

– Co to było, O'Leary? Co kazał ci przekazać?

– To było tylko jedno słowo, Chris. Miałem ci powiedzieć – n e k r o m a n c j a. I zaraz potem zniknął. Nieduże później wyskoczyli na nas SS-mani. Co on chciał przez to powiedzieć? A jakie było twoje pytanie? Co oznacza ta odpowiedź?

Chris nie odpowiadał. Wpatrywał się w snopy iskier wdrapujące się w kierunku księżyca.

W swoim ostatnim pytaniu zapytał Lokego o obozy – o przerażający, koszmarny, skoncentrowany wysiłek śmierci popełniony najpierw w Europie a potem w Rosji i w Afryce. Po co? Musiało być w tym coś więcej niż tylko plan eliminacji zbędnych mniejszości.

Co ważniejsze, dlaczego Loki, któremu normalnie obojętne było życie ludzkie, ponosząc sam ogromne ryzyko, wyratował tak wielu z fabryk śmierci?

Nekromancja. To była spóźniona odpowiedź Lokego na jego końcowe pytanie. I Loki udzielił jej w taki sposób, że Chris miał swoją odpowiedź, ale nie był w stanie przekazać jej nikomu, kto się liczył.

Nekromancja...

Słowo oznaczało magię, ale magię szczególnego, okropnego rodzaju. Zgodnie z legendą nekromanta jest złym czarownikiem, który wykorzystuje pole stworzone przez mordowanych ludzi, by urzeczywistnić swoje czary.

Ale to tylko nonsensowne zabobony!

Chris spokojnie patrzył przez piach na niezgrabnych Asów siedzących na pozłacanych tronach, słyszał śpiew kapłanów starając się odrzucić pomysł, który przyszedł mu do głowy.

Czy to było powodem, dlaczego naziści zdecydowali się na wojnę, której nie powinni byli wygrać? Ponieważ uwierzyli, że potrafią skoncentrować, wydestylować taką dawkę koszmaru, że starodawne czary naprawdę zadziałają?

To by wiele tłumaczyło. W ludzkiej historii i inne narody wariowały. Inne ideologie bywały złe. Ale nikt nie popełniał zbrodni z takim oddaniem i wydajnością. Celem koszmaru musiała być nie sama śmierć, ale coś wielkiego jeszcze poza nią!

– Oni... stworzyli... Asów. To miał na myśli Loki mówiąc,



David BRIN

Popularny autor amerykański – u nas niemal nie znany (w „Fantastyce" nr 11/88 wydrukowaliśmy jego opowiadanie „Kryształowe sfery"). Mimo solidnego przygotowania naukowego tu sięgnął po mitologię i magię. W jego wersji historii druga wojna światowa przekształciła się w Ragnarök – Ostatnią Bitwę, w której germański Olimp – Asowie walczy o panowanie nad światem. Tutaj bogowie sztuczni, powołane do życia magią twory zbiorowej halucynacji, walczą po złej stronie, ale nawet wyimaginowany Loki jest bogiem przewrotnym i zdradzieckim i nie pozostaje mu nic innego jak przejść na stronę „dobra". Podobnie jak w micie o nieuniknionym zmierzchu bogów zdrada Loki (czy Lokego, jak odmieniają niektórzy specjaliści) jest początkiem przegranej Asów. Tutaj narzędziem walki stanie się nowy „jasny" mit amerykańskiego chłopca, który nie uląkł się krwiożerczych bogów – jest to więc opowiadanie o narodzinach i sile mitu.

L. J.

Chris Foss





że być może jego własne wspomnienia są fałszywe... kiedy podejrzewał, że w rzeczywistości nie jest wcale starszy ode mnie...

– O co chodzi, kapitanie? – O'Leary wychylił się na tyle, na ile pozwalały łańcuchy. – Nie łapię...

Ale to właśnie w tym momencie procesja stanęła. Najwyższy kapłan uniósł złoty miecz przed tronem Odyna. Ojciec bogów dotknął go i rozległ się dudniący śpiew, niższy niż ludzki, odgłos jak pomruk wnętrza Ziemi.

Jeden z przykutych aliantów – z Wolnej Bretanii – został odciągnięty, zdrętwiały z przerażenia, od swego obeliska w stronę ognia i smoczego ołtarza.

Chris zamknął oczy, jakby wstrzymując się od krzyku.

– Jezu! – wyszeptał O'Leary.

Tak, pomyślał Chris. Przywołaj Jezusa. Albo Allaha czy Boga Abrahama. Obudź się, Brahmo! Twoje sny zamieniły się w koszmar.

Teraz rozumiał dobrze dlaczego Loki nie udzielił mu odpowiedzi, póki istniała najmniejsza szansa, że wróci cało do domu.

Dziękuję ci, Loki.

Lepiej żeby Ameryka i pozostali Sprzymierzeni zginęli w honorowej walce, niż żeby kiedykolwiek zostali skuszeni przez tę wiedzę... niż żeby ich wola została sprawdzona przez takie wyjście. Bo jeżeliby kiedykolwiek Alianci spróbowali zastosować metody przeciwnika, nie zostałoby w duszy ludzkiej nic o co by warto było walczyć.

Kogo moglibyśmy wyczarować, zastanawiał się Chris. Gdybyśmy kiedykolwiek użyli tych czarów. Supermana? Kapitana Marvela? O, na pewno by wystarczyli, żeby pobić Asów. Nasze mity są niepokonane.

Roześmiał się, ale dźwięk zamienił się w szloch, gdy kolejny jęk agonii przeszył noc.

Dziękuję ci Loki, że uratowałeś nas przed sprawdzeniem naszych dusz.

Nie miał pojęcia, gdzie zdradziecki „przewrotny bóg" poszedł, może rozgromienie ich było częścią jakiegoś głębszego, bardziej tajnego planu.

Czy tak mogło być? Chris zastanawiał się. Wiedział, że to możliwe. Żołnierze rzadko ogarniają całość, a prezydent Marshall nie ma obowiązku informowania o wszystkim swoich kapitanów. Ta misja mogła być zasłoną, małym kawałkiem w wielkim planie.

Lasery i satelity... również mogą być tylko jego cząstką. Gdzieś może być także srebrna kula... wianek z jemioły...

Chris wyprostował się. Słyszał głosy przeklinające po portugalsku i odgłosy odciągania kolejnego więźnia.

Popatrzył w niebo i nagle, nie wiadomo skąd, pojawiła się w jego głowie myśl.

Legendy rodzą się w bardzo dziwny sposób, stwierdził.

Pewnego dnia – nawet jeżeli nie ma srebrnej kuli – koszmar musi wreszcie odpłynąć, być może gdy ludzi będzie już zbyt mało, a Asowie schudną bez swej śmiertelnej manny, którą spożywają prosto z komór gazowych.

Wtedy przyjdzie czas, że i ludzcy bohaterowie zaczną się znowu liczyć. Może w tajnych laboratoriach, gdzieś na Księżycu albo na dnie morza, wolni mężczyźni i kobiety będą pracować i zbudują broń, a może bohaterów...

Tym razem krzyk był zduszony, jakby brazylijski komandos próbował przeciwstawić się swoim wrogom, a udało mu się jedynie opóźnić agonię.

Zbliżały się kroki. Ku swemu zdziwieniu Chris czuł się lekko, jakby grawitacja ledwie utrzymywała go na ziemi.

– Żegnaj O'Leary – powiedział jakby z daleka.

– Taa, człowieku, trzymaj się.

Chris skinął głową. Podał odzianym na czarno i srebrno SS-manom nadgarstki, żeby ci rozkuli go i odezwał się do nich cichym, przyjacielskim głosem.

– Wiecie, jak na dorosłych facetów wyglądacie strasznie głupio.

Zdziwieni popatrzyli na niego. Chris uśmiechnął się i wszedł między nich, zmierzając w stronę ołtarza i oczekujących Asów.

Pewnego dnia ludzie stawią czoło tym monstrom, pomyślał, wiedząc, że odrętwiałość i lekkość, którą czuje, oznacza, że nie będzie krzyczał... że nic, co mogą zrobić, nie wywoła w nim więcej niż chwilowego zainteresowania.

Loki zadbał o to. To dlatego Przewrotny spędził tak dużo czasu z nim ostatniego roku... i dlatego, nalegał, żeby Chris dołączył do misji.

Nasz dzień nadejdzie. Odwet wezmą nasi następcy. Uzbroi ich nauka. Ale ci bohaterowie będą potrzebowali jeszcze czegoś, zdał sobie sprawę. Bohaterowie potrzebują natchnienia. Potrzebują legend.

Idąc w stronę pomrukujących Asów, minęli rząd „dygnitarzy" Rzeszy. Kilka twarzy promieniało podnieceniem, ale reszta siedziała odrętwiała, jakby zagubiona. Wydawało mu się, że widzi desperację w ich ciemniejących, oszalałych oczach.

Byli świadomi, że to co zrobili, dawno wymknęło się im spod kontroli.

Thor zmarszczył się, widząc uśmiechniętego Chrisa.

– Hej, co u was słychać? – zapytał Asów, przerywając ich dudniącą muzykę. Gdzie na przekleństwa i krzyki odpowiedzią był jedynie śpiew, jego pogodny sarkazm wywołał takie zdziwienie, że przerwało to rytuał.

– Ruszaj się, ty świnio! – strażnik pchnął Chrisa, czy raczej próbował, bo zamiast w niego trafił w powietrze. Chris dał nurka pod brzęczącym, ciężkim uniformem, pomiędzy nogami nazisty i uderzył go od tyłu płaską dłonią.

Następni strażnicy ruszyli do niego, ale upadli z otwartymi ze zdziwienia ustami, gdy Chris odepchnął ich końcami palców.

Histeryczna siła, oczywiście, zdał sobie sprawę Chris, wiedząc co Loki zrobił dla niego. Czterech szturmujących na niego niższych rangą kapłanów padło z przetrąconymi karkami. Żaden człowiek nie był w stanie tego dokonać, chyba że był jakoś sterowany na odległość. Chris wiedział, ale czy miało to jakiekolwiek znaczenie. Wszystko było znacznie bardziej zabawne, niż tego mógł oczekiwać.

Ostrzegł go nagły złoty błysk, który dostrzegł kątem oka... Chris odwrócił się, dał nurka i schwycił włócznię Odyna jednym nagłym ruchem.

– Tchórz – wyszeptał w gorące oblicze „ojca bogów". Szybkim ruchem odwrócił ciężką, lśniącą broń i ujął ją w obie dłonie trzymając przed sobą.

Boże, dopomóż mi...

Z krzykiem złamał legendarną włócznię na kolanie.

Nikt się nie poruszył, nawet wirujący młot Thora zwolnił, a potem opadł. W nagłej ciszy Chris był wyraźnie świadom, że jego kość udowa jest strzaskana, podobnie jak większość kości w ręce – i że stoi oparty niepewnie na jednej nodze.

Ale Chris żałował tylko, że nie może współzawodniczyć ze starym Żydem, o którym słyszał od jednego z tych, którym udało się przeżyć obóz koncentracyjny. Stojąc przed grobem, wykopanym przez samego siebie, stary człowiek nie błagał ani nie próbował dyskutować z SS-manami, ani się nie załamał. Zamiast tego, więzień odwrócił się od swych morderców, spuścił spodnie i powiedział głośno w jidysz, wypinając się na nich: „Kish mir im toches..."

– Pocałuj mnie w dupę – powiedział Chris Thorowi, gdy wreszcie nadbiegło więcej strażników, żeby go obezwładnić. Gdy ciągnęli go w stronę ołtarza wpatrywał się w czerwonobrodego „boga". Kapłan związał go, ale Chrisowi udało się spotkać szare oczy Asa.

– Nie wierzę w ciebie – powiedział.

Thor zmieszany odwrócił się nagle.

Chris roześmiał się głośno wiedząc, że nic w świecie nie ukryje tej historii. Będzie się rozprzestrzeniać. Nic jej nie zatrzyma.

Loki, ty skurczybyku. Posłużyłeś się mną i jak przypuszczam, powinienem ci za to podziękować.

Ale bądź pewien, Loki, pewnego dnia ciebie też dopadnę.

Roześmiał się znowu widząc przerażonego Najwyższego Kapłana niezdarnie zamierzającego się nożem, co wydawało mu się niesłychanie śmieszne. Stojący obok z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami pomocnik wzdrygnął się i upuścił flagę ze swastyką. Chris ryknął śmiechem.

Słyszał za sobą wysoki chichot O'Leary'ego. Potem następny więzień parsknął i kolejny. To było nie do powstrzymania.

Niepewny powiew wiatru dmuchnął nad zimnym Bałtykiem. A nad głowami biegła nowa gwiazda między starymi, które ledwie dryfowały poprzez niebo.

Przełożyła **Dorota Malinowska**

Kultura japońska zawsze fascynowała tych, którzy się z nią stykali. Takiego szoku nie wywoływało spotkanie z kulturą ludów pierwotnych, ale Japonia to był świat odmienny i wysoko zorganizowany – odpowiednik spotkania obcej cywilizacji w Kosmosie. (Podobne musiało być spotkanie Hiszpanów z cywilizacją Azteków i Inków, które jednak zostawiło dziwnie mały ślad w naszej kulturze.) Przedstawiamy Państwu dwa opowiadania japońskie pisarzy europejskich, zauroczonych duchem japońszczyzny. Jurij Nagibin to przedwcześnie zmarły wybitny pisarz rosyjski. **(L.J.)**



Rycina pochodzi z albumu „Sztuka japońska w zbiorach polskich" – WAiF, 1988



Jurij Nagibin

Tajemniczy dom

(Tainstwiennyj dom)

Wielu mieszkańców dawnej stolicy Japonii interesowało się tym, kto zostanie spadkobiercą pana Ito, spokojnie gasnącego ze starości i chorób w swoim pięknym i pustym domu. Pan Ito prowadził kantor wymiany pieniędzy i podobnie jak wszyscy wekslarze zajmował się również lichwą, pożyczając na procent oraz przyjmując w zastaw drogie kamienie i wyroby ze złota. Pan Ito był bogatym człowiekiem, choć nie tak bogatym, jak niektórzy przedstawiciele jego zawodu, gdyż był człowiekiem uczciwym i nie wyzyskiwał swoich dłużników.

Na kilka dni przed jego śmiercią zjawił się starzec z młodzieńcem. Nie odstępowali oni pana Ito aż do ostatniego tchnienia, zamknęli mu oczy i z należytym ceremoniałem sprawili pogrzeb. Następnie starzec odjechał, a młodzieniec został. To on był spadkobiercą. Akira Kawasima, bo tak się nazywał młodzieniec, był siostrzeńcem zmarłego.

Widocznie ten szczupły, małomówny młody człowiek, nie mający jeszcze dwudziestu lat, dobrze zapamiętał pouczenia umierającego, gdyż, ku ogólnemu zdziwieniu, poprowadził interesy pewnie, zręcznie i równie uczciwie jak jego wuj.

Akira Kawasima nie podbił jednak serc współobywateli tak jak jego poprzednik. Być może nie miał szczęśliwego daru obcowania z ludźmi lub duma kazała mu lekceważyć sympatię otoczenia. Staruszek potrafił pożartować z klientem, potrafił się dobrotliwie uśmiechnąć, spytać o zdrowie lub nawet poczęstować czarką sake po udanej transakcji. Jego następca nigdy nie przekraczał granic lodowatej rzeczowości. Siedział w swoim kantorze sztywno, jakby połknął miecz, z powiekami opuszczonymi tak, że pozostawała tylko wąska szczelina. To pozornie senne spojrzenie było jednak bystre niczym wzrok sokoła. Jego suche i silne palce, tak długie, że zdawały się mieć dodatkowy staw, delikatnie, nieomal pieszczotliwie dotykały wagi do złotego piasku i sztabek, buteleczek z kwasami, niezbędnymi do określenia czystości drogocennych metali, rulonów monet z różnych krajów i cienkiego pędzelka, którym podpisywał rachunki, bezlitosne jak sam los. Jeśli klient zaczynał się sprzeczać, zamierał niczym Budda, wypełniając ciało bezruchem i mrużąc powieki. I tylko nieznaczne drgnięcie rzęs zdradzało kipiące w nim uczucia. Kiedy zaś klient przekraczał granice dobrego wychowania, wyciągał powoli rękę, brał złotą monetę i zginał ją błyskawicznym, przerażającym ruchem palców: dużego, średniego i wskazującego. Zazwyczaj kłótliwy gość milkł natychmiast.

Krążyły o nim dziwne wieści. Pewnej nocy kilku młodych samurajów, wracających z wypitki, ujrzało na pustej ulicy koło klasztoru jego samotną postać. Postanowiwszy nastraszyć sprytnego bankiera, rzucili się na niego z głośnym krzykiem, potrząsając mieczami. Akira Kawasima skrył się w cieniu klasztornego muru i natychmiast zniknął. Spóźniony mnich zapewniał rycerzy, że widział, jak po wysokim, gładkim i białym murze wspiął się ogromny, czarny żuk i zniknął po drugiej stronie.

Budził lęk także jego sposób niezauważalnego podchodzenia do ludzi, tak że wyrastał nagle jak spod ziemi.

Według wierzeń ludowych nindziowie rozporządzają darem niewidzialności, zdolnością do przenikania przez mury, potrafią wspinać się po pionowych ścianach, poruszać z szybkością nieosiągalną dla zwykłych śmiertelników, oddychać pod wodą, mogą splunięciem zabić człowieka i uwolnić się z każdych pęt; wyostrzony słuch pozwala im podsłuchiwać tajne rozmowy, zaś koci wzrok – widzieć w największych ciemnościach.

Jakże zdziwiliby się mieszkańcy stolicy, gdyby dowiedzieli się, że młody bankier Akira Kawasima rzeczywiście jest nindzią!

Jego ojciec i dziad, pradziad i prapradziad byli nindziami. Ich klan mieszkał w lesistej części wyspy Honsiu i w każdej rodzinie ojciec przekazywał synowi otoczoną największą tajemnicą, obrosłą legendą starożytną sztukę nindziatsu. Chłopiec rozpoczynał naukę w wieku dziesięciu lat. Uczono go cierpliwości: nindzia musi umieć trwać w bezruchu jak głaz, godzinami siedzieć pod wodą, oddychając przez łodygę bambusu lub pochwę miecza, musi umieć nurkować niczym najlepszy poławiacz pereł. Mądrze i surowo ćwiczono także jego ciało i wszystkie zmysły, doprowadzając je do takiego stopnia doskonałości, jaki był udziałem pierwotnych myśliwych.

W wieku siedemnastu lat Akira Kawasima był panem swego ciała, potrafił wyjąć ze stawów palce, przegub, łokieć i ramię. Ręka stawała się luźna, niczym rękaw kimona. Rozluźniwszy się w ten sposób mógł bez trudu uwolnić się z kajdan i więzów lub przejść przez najmniejszy otwór.

Akira bezbłędnie opanował bezszelestny krok nindzi, który szybko i płynnie, stawiając nogę za nogą, przemyka się niczym po śliskim lodzie. Nauczył się bezdźwięcznie wsuwać do domów podsłuchową rurkę bambusową, zaopatrzoną w rozszerzające się zakończenie. Nauczył się wspinać po pionowych murach przy pomocy sznura i haka. Nauczył się poruszać w ciemności, wyczuwając przedmioty przy pomocy długiej rurki i odkrywszy wroga porażać go „plunięciem smoka" – zatrutą igłą wyrzucaną dmuchnięciem z tej rurki.

Umiał powstrzymać cios miecza przedramieniem w specjalnej bransolecie i pozbawiając przeciwnika broni ruchem jednej ręki – drugą, uzbrojoną w kastet o nazwie „paszcza tygrysa", rozerwać mu skroń.

Z dumą i wdziękiem nosił niepozorny dla postronnego oka bojowy strój nindzi: czarne, luźne kimono z kapturem. Strój ten, pozbawiając postać człowieka wyraźnych kształtów, czyni go istotą anonimową, trudną do rozpoznania.

Obecnie klan przeżywał okres upadku. W czasie krwawych walk feudalnych każdy nindzia był na wagę złota i klan prosperował. Od czasu jednak, kiedy ród Tokugawa, zawdzięczający zresztą swoje zwycięstwo również pomocy nindziów, ujął twardą ręką ster rządów, dla klanu nastały ciężkie czasy. Oczywiście, niewidzialni ludzie byli nadal wykorzystywani na wojnie w charakterze zwiadowców i szpiegów, a możni zlecali im różne delikatne misje, lecz wszystko to nie mogło się równać z bohaterską przeszłością. Mimo to klan święcie strzegł tajemnic swojej sztuki, ufając, że powrócą jeszcze czasy rozkwitu.

Kiedy umarł bogaty bankier, przekazując swój majątek siostrzeńcowi, klan polecił mu dalsze prowadzenie dochodowego interesu, tak aby w miarę potrzeby mógł wspierać finansowo całą rodzinę. Zmiana leśnej swobody na nudny, siedzący tryb życia w mieście bynajmniej mu się nie uśmiechała, lecz posłuszeństwo jest w klanie nindziów równie świętym prawem jak obowiązek przestrzegania tajemnicy – za ich naruszenie grozi śmierć.

Akira nudził się w mieście. Jak dobrze było budzić się słysząc szum liści, wdychać lekko wilgotne od parującej rosy leśne powietrze i czuć swoje wypoczęte i tęskniące za intensywnymi ćwiczeniami ciało! Jak dobrze było umyć się źródlaną wodą i po skromnym posiłku rozpoczynać dzień wypełniony prawdziwie męską pracą: atakiem i obroną, walką wręcz i na miecze, strzelaniem do celu, biegiem, skokami i wspinaczką na strome skały!...

W mieście czuł się obco. Nie lubił swego schludnego i chłodnego, lecz ciasnego jak klatka domu, ani ogródka z obowiązkowymi murkami, dekoracyjnym krzewem, źródełkiem i kamienną latarnią – ściśle obliczony bezład dający mieszkańcom miast złudzenie kontaktu z przyrodą. Nie lubił pieniędzy i starał się nie patrzeć w chciwe, błagalne i nieszczęśliwe twarze swoich klientów. Nic nie łączyło go z tymi ludźmi oprócz interesów. Nie pił, nie palił, pogardzał lepką, zawodową czułością gejsz, nie mogąc bez obrzydzenia myśleć o pieszczotach kupowanych za pieniądze. Był obojętny na sztukę i religię, nie chodził do świątyni. Poezję jego życia stanowiło co innego – atak i obrona.

Żył tak, jak gdyby kazano mu siedzieć pod wodą i oddychać przez bambusową rurkę nie przez godziny, dnie czy nawet lata, lecz przez całe życie.

Musiał jednak w milczeniu znosić swój los, gdyż cierpliwość wpisana jest w statut nindziatsu. Tutaj potrzebny był klanowi, zacisnąwszy więc ciemne wargi, opuściwszy cienkie jak u ptaka powieki na piwne oczy, przeciwstawiał się pokusom ucieczki.

Powinien zatroszczyć się o bezpieczeństwo. Żadne sposoby nie pomogą mu w razie napadu w ciasnym domu. A napaść mogą, aby go obrabować lub po prostu obrazić i ośmieszyć. Był przecież znienawidzony – czuł to przez skórę. Tak więc postanowił przekształcić swój dom nie w twierdzę – cóż to za twierdza z drzewa i papieru – lecz w śmiercionośną pułapkę dla każdego, kto ośmieli się wejść tu nieproszony. Pogrążył się w obliczeniach i rysunkach. Nindzia Kawasima, żyjąc w odosobnieniu, mało znał ludzi i dlatego też nie mógł znać samego siebie. Nie dziwiło go to, że w nieprawdopodobnie krótkim czasie stał się doskonałym finansistą i poprowadził interes swego wuja tak, jak gdyby przeszedł specjalną szkołę. Teraz, bez cienia wątpliwości wyznaczył sobie skomplikowane zadanie, wymagające specjalnego przygotowania, dużego doświadczenia i talentu. W swojej naiwności sądził, że powinien umieć zrobić wszystko to, co potrafią inni.

Nie zmieniając niczego w zewnętrznym wyglądzie domu, gdyż chciał zachować swoje plany w tajemnicy, Kawasima zaczął przebudowywać swój dom od wewnątrz. Przede wszystkim zabezpieczył sobie drogę odwrotu – dla ucieczki i dla zmylenia przeciwnika. Zbudował pod samym dachem drugie piętro i system otworów, pozwalających bez pomocy schodów błyskawicznie ześliznąć się spod dachu do piwnicy. Tam też wykopał głęboką, zamaskowaną studnię. Część domu wyposażył w podwójne ściany, między którymi ukrył schody, w korytarzach położył wibrujące „śpiewające" podłogi i był to jedyny element zapożyczony od innych. Śpiewające korytarze budowano w domach wielu feudałów, którzy słusznie obawiali się napadu. Porobił też fałszywe drzwi, za którymi otwierały się zapadnie i prawdziwe drzwi ukryte w ścianach. Na skrzyżowaniu korytarzy rozłożył maty, pod którymi w nocy otwierały się głębokie jamy. Na dnie każdej z nich tkwił ostrzem do góry obosieczny miecz. Framugi drzwi waliły się na głowę nieproszonego gościa, ruchome ściany podnosiły alarm przy najlżejszym dotknięciu. Pracował sam, bez pomocników. W ciągu dwóch lat przebudowywał nocami swój dom rozwiązując zadania architektoniczne i techniczne, które mogły zapędzić w kozi róg największych specjalistów. Przy całej swojej niewiedzy, wysiłkiem woli, rozumu, instynktu, nadludzkim uporem, cierpliwością i skupieniem stworzył cudo architektury, które miało przez stulecia budzić zachwyt i podziw zwiedzających. Coś podobnego można osiągnąć tylko nie zdając sobie sprawy z ograniczenia własnych możliwości.

Mylił się tylko pod jednym względem – sądził, że ludzie niczego nie wiedzą o jego przygotowaniach. Bóg wie jakim sposobem mieszkańcy stolicy dowiedzieli się o domu-pułapce i żaden złodziej, rabuś czy amator mocnych wrażeń nie odważyłby się naruszyć spokoju nindzi.

Ukończywszy budowę domu Akira Kawasima ożenił się. Wybór jego padł na córkę pisarza, mieszkającego w sąsiedztwie. Nie wyróżniała się ona niczym spośród dziewcząt tej dzielnicy: Akira wybrał ją, ponieważ pochodziła z biednej rodziny i nie musiał obawiać się odmowy. W ciągu trzech następnych lat żona urodziła mu trzy córki i Kawasima, który marzył o synu, przeżywał to boleśnie. Synowi mógł przekazać swoją marnującą się, bezużyteczną sztukę, a tu jak na złość same córki!

W nocy, nie mogąc zasnąć, wymykał się od żony i snuł się po domu. Ubierał się w wydobyte ze skrytki czarne kimono. Dotknięcie chłodnej, jedwabnej tkaniny sprawiało mu przyjemność. Skradał się korytarzem i śpiewające deski milczały – tak lekki był jego drobny krok. Miękkim, kocim skokiem przesadzał zapadnie, wyczuwając je palcami wyciągniętej nogi. Ciągłe napięcie uwagi rodziło niejasne poczucie niebezpieczeństwa, przeradzające się stopniowo w wyraźny obraz zaczajonych w pobliżu wrogów. Tak, byli blisko, słyszał ich powstrzymywany oddech, odgadywał zarysy skulonych ciał, z przeraźliwą jasnością wyobrażał sobie ich spocone dłonie, zaciśnięte na rękojeściach szabel i sam zaczynał się pocić. I nagle, pod wpływem wewnętrznego impulsu, rzucał się do ucieczki. Przebiegał po piętrach, prześlizgiwał się przez zamaskowane otwory, zjeżdżał po tajnych schodach, wciskał się w ściany, rozpłaszczał na podłodze.

Stopniowo gra wciągała go coraz bardziej. Wychodząc na swoje nocne spacery uzbrajał się w sztylet, sznur zakończony hakiem, kastet „paszcza tygrysa". Mógł teraz wzlecieć pod sufit i zawisnąć tam, jak nietoperz, mógł z rozbiegu przeskoczyć parawan, rzucić się do studni na spotkanie miecza i w ostatniej chwili zawisnąć o włos od śmiercionoś-

nego ostrza, zaczepiwszy się hakiem. Gra wzbogacała się o element ryzyka. Kawasima odczuwał przyspieszone bicie serca i cieszył się namiastką walki i życia. Potem chował kimono oraz broń do skrytki i wracał do żony, która spała spokojnie; jej mała, starannie uczesana główka spoczywała na drewnianej podstawce. Brał ją śpiącą, czując do niej niemal miłość za jej łagodność, pokorę, za to, że niczego się nie domyśla. Ale ona nie spała, udawała tylko, żeby mu sprawić przyjemność. Wiedziała wszystko o jego nocnych wędrówkach po domu w czarnym, strasznym stroju, o tych gwałtownych wyczynach przenikających dreszczem jego szczupłe, silne i gorące ciało i czuła, że żyje z diabłem. I kobieta-dziecko z porcelanową twarzyczką, słodkimi usteczkami i drobnymi, słabymi rączkami była z tego dumna. Bo czyż wiele kobiet może się pochwalić miłością diabła? Zdawała sobie sprawę z bezmiaru swego grzechu i choć była pobożna z natury, przestała się modlić i chodzić do świątyni. Wiedziała, że jest zgubiona, lecz za nic nie oddałaby jego krótkich, niezręcznych pieszczot i pocałunków suchych, gorzkich ust.

Nie można oszukiwać się bez końca. Akira Kawasima marzył o jakimś napadzie – chciał wreszcie wypróbować siebie i swój dom. Błagał los, aby jego wrogowie nabrali szaleńczej odwagi, aby żądza przeważyła nad rozsądkiem. Odczuwał potrzebę prawdziwego niebezpieczeństwa, tak jak człowiek dręczony pragnieniem pożąda wody. Odczuwał potrzebę prawdziwego nie zaś wyobrażonego zwycięstwa, kiedy to po nocnych ćwiczeniach, przechytrzywszy wymyślonych przeciwników, rozgrzany i wyczerpany powoli zdejmował kimono. Żeby choć jedna kropla krwi, kropla gorącej, słonawej, żywej krwi!...



Zaczynał go drażnić ten nieuchwytny przeciwnik, którym był on sam. Przecież nindzia to nie tylko obrona, to również atak. I czasem podczas ucieczki przed nie istniejącymi wrogami, z uciekającego zmieniał się w ścigającego. Chciał sam dogonić i pokonać ten czarny cień. Zdawało mu się, że już-już ma go doścignąć, za tym rogiem, na tych schodach, w tym korytarzu. Coraz szybsza, coraz bardziej szalona stawała się pogoń, chwytał za miecz – i znowu nikogo, niewidzialny wymknął się jak zwykle. Kawasima odczuwał wówczas wstyd. Trudno być myśliwym i jeleniem w jednej osobie! W takich momentach niemal odczuwał nienawiść do samego siebie.

Nie dający się z niczym porównać niepokój opanowywał go w czasie pełni księżyca. Ogromny, pomarańczowy dysk, nie czekając na zmierzch, pojawiał się nad pagórkowatym horyzontem i rzucał na ziemię strumienie tajemniczego bladego światła. Na ulicach pojawiała się procesja odświętnie wystrojonych, sennych i trochę przestraszonych dzieci, prowadzonych przez kapłanów w uroczystych szatach. Pośrodku procesji ciężko toczył się wóz, zaprzężony w perłowego koloru krowy z małymi, tępo zakończonymi mordami. W piersi Kawasimy rodziło się słodkie, łaskoczące podniecenie. Pociągając za sobą całą prawie ludność miasta, procesja przechodziła koło jego domu, kierując się w stronę jeziora, gdzie na dzieci czekały ozdobione kolorowymi lampionami statki. Księżyc pozostawał jedynym panem miasta i szybko wznosił się w górę, przybierając szklanozielony kolor i napełniając ogród swoim ostrym, zimnym światłem. Cienie zyskiwały wyraźne zarysy, jakby nasączały się czarnym tuszem i zaczynały żyć własnym życiem. Każdy podmuch wiatru wywoływał gorączkowy ruch cieni w ogrodzie i grę księżycowych błysków w domu. Wszystko to doprowadzało jego drżenie, jego bolesny i słodki niepokój do granic szaleństwa. Przecież każdy cień – kto jak kto, ale on o tym wiedział najlepiej – mógł ukrywać wroga, mógł w każdej chwili zmienić się w napastnika.

Jednej z takich nocy napięcie i uczucie nienasycenia stały się nie do zniesienia. Kawasima nagle zrozumiał, że nie ma kogo się obawiać oprócz siebie samego i postanowił zagrać w otwarte karty. Rozsunąwszy ruchome ściany, wpuścił księżyc na wszystkie piętra swego domu. W ślad za księżycem zjawił się jego własny cień i padł na białą płaszczyznę ściany. Akira zrobił krok naprzód i cień prześliznął się za jego plecy. Przylgnął do ściany i cień znikł, skoczył przed siebie i cień przemknął tuż za nim po jasnym parawanie. I wtedy rzucił się w pogoń za własnym cieniem. Nigdy jeszcze jego krok nie był tak lekki, szybki i elastyczny, nigdy dotąd nie rzucał się z taką lekkością w górę i w dół, nigdy jeszcze nie panował tak całkowicie nad swoim ciałem. To, co przedtem męczyło go bolesnym rozdarciem, teraz zmieniało się w szczęśliwą jedność: tarcza i miecz, jeleń i myśliwy...

W górę i w dół, w górę i w dół, bezdźwięcznie po śpiewającym korytarzu, wspięcie się po ścianie, zjazd na niższe piętro, prześlizg przez wąską szczelinę, skok w dół, ku ostatniej granicy. Spadając w przepaść pułapki odrzucił linę z hakiem. Bez niej nie można się stąd wydostać, krzyku nikt nie usłyszy, a domownicy nawet nie podejrzewają istnienia pułapek. Roześmiał się triumfalnie, ciesząc się ze zwycięstwa nad sobą samym. Następnie wydobył krótki miecz, jednym cięciem rozpruł sobie brzuch i usłyszał, jak upadły na podłogę wnętrzności. Nie zrozumiał, że pada, zobaczył tylko, że cień na ścianie zniknął...

...Chodzimy po domu zachowanym w stanie nienaruszonym od tamtych czasów, kiedy to jego budowniczy przemykał jak czarny duch po pokojach, korytarzach, schodach i skrytkach. Tak samo lśnią stopnie i poręcze schodów, ramy rozsuwanych ścian, tak samo czyste i elastyczne są maty i papierowe parawany, korytarze tak samo dają ciche sygnały ostrzegawcze przy najlżejszym stąpnięciu, niespodziewanie otwierają się zapadnie, pojawiają się ukryte za przegrodami schody, ukazują się całe kondygnacje, których nic na zewnątrz nie zdradza. Oprowadza nas sympatyczne dziewczę w granatowej spódniczce i białej bluzce. Jej ładnie zarysowane, pełne wargi układają się w skromny i pogodny uśmiech. Jest pracownicą biura podróży, przewodnikiem i zarazem, wspólnie ze swoim wujem, właścicielem niezwykłego domu. Oboje oni są potomkami nindzi Akiry Kawasimy. Wuj, cichy i łagodny człowiek, jest duchownym, lubi samotność, skupienie i unika spotkań z turystami zwiedzającymi dom-muzeum.

Mimo to udało nam się dostrzec tego nieśmiałego człowieka, kiedy przy wyjściu dłużej od innych wkładaliśmy obuwie. Niczym ciemny obłok, niczym niewyraźny cień przesunął się korytarzem, który tym razem nie wydał żadnego głosu. Zniknął w kaplicy, która na chwilę ukazała swoje wnętrze ze złotym ciałem Buddy, drżącym płomieniem świec i dymem kadzidła. Czy był to sposób poruszania się pokornego sługi bożego, który nie chce rzucać się w oczy?

Przełożył **Lech Jęczmyk**

Joe Hloucha

Głowa bonzy

(Bonzová hlava)

Ushoben Toshimoto, samuraj księcia z Ovari, był dzielnym rycerzem, słynnym w całym klanie nie tylko ze swej odwagi, lecz także jako miłośnik sake i mistrz w go.

Jego sława znakomitego gracza sięgała do wszystkich sąsiednich miast i nawet jego pan z Ovari zapraszał go do swego zamku, by się z nim potykać. Nie miał równego sobie rywala, więc pycha i zarozumiałość przepełniała jego duszę.

A jak każdy, kto wykazuje nadmierny pociąg do sake, często nie był panem swej woli, już i bez tego słabej i nieczułej.

Pewnego ranka – wiosną, przy wspaniałej pogodzie – Ushoben Toshimoto odczuł potrzebę wyprawienia się na łowy.

Osiodławszy konia, opuścił swój dom, żonę i dziecko, by ruszyć ku pobliskim wzgórzom.

Słońce lśniło na bezchmurnym, jasnobłękitnym niebie, gdy koło południa Ushoben dotarł do podnóża gór. Rosły tu gaje jaworowe, a sosnowe zagajniki przeplatały się z drzewami dzikiej sakury, która właśnie była w pełnym rozkwicie. Tysiące pszczół krążyły wokół wspaniałych, kwitnących koron, brzęcząc sobie do taktu przy pracy.

Ushoben Toshimoto zatrzymał konia, nie po to jednak, żeby chłonąć dzikie piękno podgórskiej krainy, ale po to, by szukać śladów zwierza.

Lecz tego dnia szczęście mu nie sprzyjało. Długo błądził bez celu wśród gęstych zarośli i krzewów dzikiej azalii. Nigdzie nie było ani śladu zwierzyny i nawet żaden drapieżny ptak nie przefrunął mu nad głową. Ushoben Toshimoto przeklinał swój los. Ale gdy wstrzymał swego konia i zamyślony spoglądał w dół na dywany białych drzew wiśni, z gęstwiny wybiegł mały, cętkowany jelonek.

Ushoben napiął cięciwę swego łuku i wystrzelił, jednak strzała minęła cel.

Przestraszony jeleń odwrócił się i zniknął w zaroślach. Ushoben skoczył za nim, lecz zwierzę było szybkie: potrafiło zręcznie umykać między krzakami, które wstrzymywały jeźdźca.

Ushoben wytrwale zdążał za swym niedoszłym łupem. Urażona duma myśliwego i rycerza, myśl że miałby z pustymi rękami wracać do domu – gnały go stale naprzód.

Wreszcie dotarł do zbocza góry, a kiedy zarośla się przerzedziły, dostrzegł w dole górską świątynię buddyjską, ukrytą pod koronami stuletnich sosen.

Przestraszony jelonek wbiegał właśnie przez bramę i zniknął na dziedzińcu świątyni.

Ushoben Toshimoto ruszył za nim. Świątynia ofiarowana była bogu Dżizo i jego granitowa figura stała na środku dziedzińca. Jeździec zeskoczył z konia i zarzucił lejce na granitową rękę boga trzymającego w dłoni świętą perłę. Miał zamiar szukać ukrywającego się gdzieś tutaj jelenia, lecz w progu domostwa pojawił się buddyjski bonza i głębokim pokłonem przywitał nadchodzącego gościa.

– Szukam jelenia, który uciekł przed moją strzałą do wnętrza tej świątyni – odezwał się samuraj szorstko.

– To święte zwierzę, panie – odpowiedział cicho buddyjski bonza. – To jeleń boga Dżizo. Ale wejdź do środka, panie. Odpoczniesz sobie na matach w mej izbie. – I szczerym gestem zaprosił nadąsanego samuraja.

Ushoben Toshimoto wszedł do domostwa bonzy.

Pierwszą rzeczą, którą jego wzrok rozpoznał w półmroku izby, był leżący na matach różaniec z kryształu górskiego, a następną stolik goban, na którym samotny bonza rozwiązywał jakieś zadanie w grze go.

– Potrafisz grać w go? A więc czas nie będzie nam się dłużył! – zawołał samuraj, a oczy mu błysnęły.

– Próbuję grać, panie, lecz właściwie dopiero się uczę – odparł skromnie bonza i zaprosił przybysza, by spoczął na poduszce; sam zaś zaczął przygotowywać herbatę, chcąc poczęstować zmęczonego gościa.

– Nie chcę twojej herbaty! Masz, odgrzej mi sake i napij się ze mną – krzyknął samuraj i odpasawszy tykwową butelkę pełną ryżowego alkoholu, podał ją mnichowi.

Wkrótce gotująca woda bulgotała w brązowym czajniku i sake była ciepła. Ushoben pił, lecz na próżno namawiał bonzę, by mu towarzyszył, był to bowiem mąż pobożny, a przykazania wiary zakazują picia napojów wyskokowych.

Napiwszy się do syta, samuraj zrzucił kamienie z gobanu mówiąc:

– A teraz grajmy, pobożny mnichu! Jeśli przegrasz, dostanę twego świętego jelenia – roześmiał się, pewny zwycięstwa, bo już od wielu lat nikt go nie pokonał.

Bonza zbladł, lecz nie powiedział ani słowa.

Zaczęli grać. W izbie panowała taka cisza, że słyszeli, jak na zewnątrz brzęczą roje pszczół wirujących wokół drzew sakury.

Gra trwała długo. Na początku Ushoben nie poświęcał swemu przeciwnikowi zbyt wielkiej uwagi, ale ku swemu zdziwieniu stwierdził, że mnich jest świetnym graczem i stał się czujniejszy. Rywale prawie nie oddychali, czasem tylko samuraj napił się chłodnej sake. Wreszcie partia dobiegła końca. Ushoben Toshimoto przegrał.

Zbladł, zaklął straszliwie i zawołał:

– Przeklęty mnichu, jesteś w zmowie z diabłem! Stawiam swego konia przeciw twemu jeleniowi! Grajmy znowu!

I znów zapadła cisza, a gra ciągnęła się dalej. Ani jeden mięsień nie drgnął na bladej, wygolonej twarzy bonzy. Był cichy i spokojny, wziął tylko leżący obok różaniec i położył sobie na kolanach.

Ushoben Toshimoto tymczasem niespokojny mienił się na twarzy i jednym haustem dopił swoją sake.

Gra się skończyła i ponownie bonza był zwycięzcą.

Ushoben złorzecząc postawił jeszcze swój miecz – najcenniejszy przedmiot dla samuraja. Ale spokojny, blady bonza znów wygrał.

Nie widząc innego wyjścia Ushoben krzyknął:

– Ty czarci pomiocie! Zwodzisz mnie swoimi czarami, ale tym razem stawiam swoją głowę przeciw twojej! Słyszysz, bonzo?!

Mnich nie uniósł nawet oczu, tylko wyrównał kamienie na stoliku i gra zaczęła się na nowo.

Samuraj nigdy dotąd nie grał z tak wielką uwagą. Wiedział, że jeśli teraz wygra, odzyska wszystko, co do tej pory stracił.

Gra ciągnęła się w nieskończoność, wszak stawką było ludzkie życie.

Lecz i tym razem Ushoben Toshimoto przegrał.

Pociemniało mu w oczach. Gorycz porażki, wypite wino oraz myśl, że przegrał konia, miecz i własną głowę wzburzyły jego porywczą, nieludzką duszę.

Uniósł się na matach, chwycił swój miecz i bez słowa, jednym ciosem mocnej prawicy ściął głowę pochylonego nad stolikiem mnicha.

Głowa potoczyła się po stole, między kamieniami do gry, a ciało, broczące krwią, opadło na maty.

– Graj sobie dalej, szatański bonzo! Graj swoją głową z podobnymi tobie diabłami, którzy pomogli ci w zwycięstwie! – krzyczał Ushoben niczym oszalały i chwyciwszy głowę ustawił ją pionowo na blacie stolika. Oczy bonzy patrzyły na niego jak żywe – smutno, z wyrzutem.

Opuściwszy komnatę, wybiegł na dziedziniec.

Na zewnątrz słońce chyliło się już ku zachodowi. Owady brzęczały pośród kwiecia, a cykady i świerszcze śpiewały swoje pieśni. Koń stał nadal pod figurą, a bóg Dżizo chmurnie spoglądał na samuraja, gdy ten dosiadał wierzchowca i opuszczał świątynię pozbawioną jedynego gospodarza. Ushoben pędził na koniu jakby gnany wyrzutami sumienia; mijał jawory, sosny i azalie, a kwitnące wiśnie sypały na niego śnieżnobiałe płatki. Zapadł wieczór nim dotarł do domu. Żona i dziecię spali już w swych łożach.

Ushoben Toshimoto wciąż jeszcze drżał na całym ciele, lecz nie z powodu strasznego czynu, jakiego się dopuścił.



Rozpierała go wściekłość, że został pokonany przez zwykłego mnicha – on, najlepszy gracz, podziwiany przez całą okolicę. Wszedł do swej komnaty oświetlonej promieniami księżyca i wzrok jego spoczął na stojącym przy oknie ulubionym stoliku do gry w go, na którym odbywał swe codzienne ćwiczenia.

Spojrzał – i zamarł z przerażenia.

Na stoliku spoczywała głowa: ogolona, ucięta głowa bonzy, a błyszczące w świetle księżyca oczy wpatrywały się zimno w mordercę.

Samuraj chwycił miecz i rzucił się na straszną zjawę, ale broń przepołowiła tylko pusty stolik. Ushoben otarł zimny pot z czoła i w ubraniu rzucił się na łoże. Spał tej nocy ciężkim, nerwowym snem.

Rano jednak poczuł się uspokojony. Nie myślał więcej o morderstwie i uznał wieczorną przygodę za przywidzenie, za efekt zdenerwowania.

Ale następnej nocy przyśnił mu się taki oto sen:

Siedział w wielkiej komnacie zamkowej wśród rycerskiej braci i śpiewał wraz z nimi pieśni wojenne. Gorąca sake lała się strumieniami. Nagle sługa księcia dotknąwszy ramienia samuraja wezwał go dokądś. Zaraz potem Ushoben znalazł się w długiej, pustej komnacie władcy, gdzie w czerwonych świecznikach płonęły dwie świece. Wszedł książę i usiadł przy gobanie, a Ushoben – kłaniając mu się nisko i po chwili podnosząc głowę – ujrzał na miejscu swego pana siedzącego mnicha z górskiej świątyni, bladego i milczącego, jakim był w dniu tego strasznego czynu.

Ushoben Toshimoto grał i pokonał bonzę. Ten, nie mówiąc słowa, spojrzał na niego smutno i z wyrzutem, a potem chwyciwszy wygoloną głowę zdjął ją z ramion i postawił na gobanie. Ushoben na próżno szukał swego miecza, aby przepędzić zjawę. Mnich tymczasem zniknął i tylko jego głowa pozostała na stoliku wpatrując się w samuraja pałającym wzrokiem.

Przerażony Ushoben zerwał się z maty i przycisnąwszy się do ściany patrzył na straszną głowę.

Oczy zjawy po chwili zwróciły się na bok, a kiedy samuraj popatrzył w tamtą stronę dostrzegł księcia, który z groźnym uśmiechem obserwował całe zdarzenie...

Ushoben Toshimoto zbudził się mokry ze strachu.

Tego dnia, nie mogąc zapomnieć makabrycznego snu, samuraj od rana pił ryżowe wino. Potem szukał ukojenia wśród grona przyjaciół i dolewając sobie ciepłej sake przeklinał w duchu buddyjskiego mnicha. Późno w nocy opuścił wesołe towarzystwo i zmorzony alkoholem dowlókł się do swego domu.

Jakież było jego zdziwienie, gdy w świetle księżyca pośrodku własnej komnaty ujrzał leżącą na matach głowę bonzy!

Podbiegł bliżej i kopnął ją tak mocno, że głowa przebiła papierową ścianę i zniknęła w mroku sąsiedniej izby.

Rano, po bezsennej nocy, stwierdził osłupiały, że to, co w nocy wziął za głowę mnicha, było brązowym naczyniem na węgiel drzewny – zwany hibashi; na szczęście w środku nie było już żaru.

Ulżyło mu. Wyśmiał swój sen i przywidzenia. Nie było zjaw. To tylko podrażniona wyobraźnia. Postanowił nie pić już więcej sake, a że słowa dotrzymał, więc kilka następnych nocy upłynęło spokojnie i bez niespodzianek.

Pewnego wieczora, gdy Ushoben wrócił do domu i cieszył się, że spędzi noc na łonie rodziny, przybył sługa księcia z poleceniem, aby Toshimoto stawił się zaraz na zamku, ponieważ władca zapragnął zmierzyć się z nim w grze go.

Zaszczycony zaproszeniem, jakiego już od dłuższego czasu nie otrzymywał, Ushoben wyruszył w drogę.

W wielkiej sieni pałacu zgromadziło się wielu wspaniałych gości – szlachetnych młodzieńców i urodziwych dam. Było jasne, że Daimio chciał rozerwać się grą, nim wszyscy zasiądą do wieczerzy.

Kilku gości zabawiało księcia strzelaniem z łuku, a sam władca też właśnie przed chwilą odłożył broń.

Ushoben Toshimoto pokłonił się głęboko swemu panu i na jego znak przeszedł do sąsiedniej komnaty, aby tam przyjąć od mistrza ceremonii drogocenny goban księcia.

Przyniósł go przykrytego jedwabną, fioletową chustą, ustawił przed władcą i ostrożnie odsłonił.

W tej chwili wszyscy zamarli.

Na książęcym stoliku leżała ucięta głowa bonzy – niebiesko–zielonej barwy, z zamglonym wzrokiem, rozsiewając wokoło słodki, mdły zapach trupa.

Daimio zerwał się wzburzony i zawołał:

– Więc to ty, nędzniku, jesteś zabójcą naszego mnicha ze świątyni boga Dżizo?! Ty jesteś tym zbrodniarzem, którego tyle czasu szukamy?! I miałeś jeszcze odwagę przynieść mi swój wstrętny łup?!

Goście i samuraje zgromadzili się dokoła i przeklinali Ushobena. A książę nie odezwał się już żadnym słowem, tylko chwycił swój łuk i przeszył strzałą niegodnego sługę. Zaraz też inni goście poszli w jego ślady i naszpikowany dwudziestoma strzałami Ushoben Toshimoto zdołał jeszcze jak pies wyczołgać się do ogrodu, by tam w krzakach wyzionąć ducha.

Przełożył **Andrzej S. Jagodziński**

Josef „Joe" HLOUCHA

Prozaik całkowicie już zapomniany, brat prekursora czeskiej fantastyki Karela Hlouchy (nazywanego przed laty „czeskim Verne'em"). Joe Hloucha (1881–1957) był podróżnikiem, etnografem- orientalistą, wybitnym znawcą Japonii. Beletrystyką zajmował się jedynie marginesowo. Do najlepszych jego książek należy tom opowiadań „Pawilon grozy" (1920), zawierający wcześniejsze teksty Hlouchy. „Głowa bonzy" pochodzi właśnie stamtąd. Autor nie tłumaczony w Polsce.

A.S.J.

słuchać niczyich rozkazów! Chcę znaleźć kraniec tej Rzeki! A jeśli mi się nie uda, to przynajmniej będę się dobrze bawił i sporo się nauczę po drodze!

*

Ludzie zaczynali wychodzić z chat, ziewali i tarli zaspane oczy. Ruach nie zwracał na nich uwagi. Patrzył, jak łódź stawia żagle ostro na wiatr i wykręca pod prąd. Burton stał przy sterze; obejrzał się raz i zamachał cylindrem, a słońce odbiło się od metali pękiem lśniących włóczni.

Ruach pomyślał, że wymuszona decyzja naprawdę uszczęśliwiła Burtona. Zrzekł się odpowiedzialności sprawowania rządów w tym maleńkim państwie; robił to, na co miał ochotę. Mógł wyruszyć po największą ze swych przygód.

– Chyba to nawet lepiej – mruknął do siebie Ruach. – Każdy może znaleźć zbawienie, jeśli będzie go pragnął, tak w drodze jak i w domu. Wszystko zależy od niego samego. Tymczasem ja, jak ten bohater Voltaire'a... jak mu było? Ziemskie sprawy zaczynają umykać mi z pamięci – będę uprawiał własny ogródek.

Zatrzymał się, żeby z odrobiną zazdrości spojrzeć za Burtonem.

– Kto wie? Może kiedyś spotka Voltaire'a.

Westchnął i uśmiechnął się.

– Z drugiej strony, Voltaire może kiedyś spotka mnie!

Rozdział 13

Minęło sześćdziesiąt dni i katamaran przetoczono przez równinę na wielkich bambusowych rolkach. Przyszedł czas wodowania. „Hadżi" miał około czterdziestu stóp długości i składał się właściwie tylko z dwóch połączonych platform bambusowych kadłubów o ostrych dziobach, bukszprytu i pojedynczego masztu z żaglami z plecionych włókien bambusa. Sterowano nim przy pomocy wielkiego, sosnowego wiosła, gdyż koło okazało się niepraktyczne. Liny wykonali doraźnie z plecionej trawy, lecz mieli nadzieję zastąpić je wkrótce rzemieniami z wyprawionej skóry i jelit większych ryb. Dłubankę z sosnowego pnia, dzieło Kazza, przywiązano w przedniej części pokładu.

Tuż przed spuszczeniem katamaranu na wodę Kazz zaczął się denerwować. Potrafił się już posługiwać kilkudziesięcioma słowami łamanego angielskiego. Nauczył się też od Burtona paru przekleństw w arabskim, baluchi, suahili i włoskim.

– Musi trzeba... jak nazywać?... wallah!... jakie słowo? zabić kogoś zanim rzucić łódź do wody... wiesz... merda... brak słowa, Burton-naq... słowo... słowo... zabić człowieka, żeby bóg Kabburquanaqruebemss... bóg wody... nie topić łódź... gniewać się... utopić nas... zjeść.

– Ofiara? – podpowiedział Burton.

– Cholerne dzięki, Burton-naq. Ofiara! Przeciąć gardło... zanieść na łódź... wetrzeć w drzewo... wtedy bóg wody nie gniewać się...

– Nie robimy tego – oświadczył Burton.

Kazz sprzeczał się, ale w końcu wszedł na pokład. Był jednak niespokojny i przestraszony. Burton próbował go uspokoić, przekonując, że nie jest przecież na Ziemi. Jest w innym świecie, co może bez trudu stwierdzić, jeśli spojrzy wokół siebie, zwłaszcza na gwiazdy. Żadni bogowie nie mieszkają w tej dolinie. Kazz słuchał i uśmiechał się, wciąż jednak sprawiał wrażenie, że tylko czeka aż z głębin wynurzy się ohydna zielonobroda twarz Kabburquanaqruebemssa z wyłupiastymi rybimi oczyma.

Wokół miejsca wodowania zebrał się tłum. Cała ludność w promieniu wielu mil zgromadziła się tutaj, szukając tak rzadkiej odmiany. Wszyscy pokrzykiwali, śmiali się i żartowali. Niektóre komentarze były złośliwe, ale wszystkie wygłaszano wesołym tonem. Zanim katamaran zsunął się z brzegu do wody, Burton stanął na „mostku" – podwyższonej nieco platformie – i podniósł rękę. Kiedy gwar tłumu przycichł, przemówił po włosku.

– Współ-łazarze, przyjaciele, mieszkańcy tej doliny w Ziemi Obiecanej! Za kilka minut opuścimy was...

– Jeżeli łódka nie wywróci się do góry dnem – mruknął Frigate.

– ...by popłynąć w górę Rzeki, pod prąd i wiatr. Wybieramy trudną trasę, gdyż trudności obiecują najwspanialszą nagrodę. Tak twierdzili wszyscy moraliści na Ziemi, a wiecie już, jak bardzo należy im wierzyć!

Śmiechy, a tu i tam ponure spojrzenia zatwardziałych bigotów.

– Na Ziemi, jak może niektórzy z was wiedzą, prowadziłem kiedyś ekspedycję w najdalsze, najciemniejsze zakątki Afryki, by odkryć źródła Nilu. Nie dotarłem tam, choć byłem blisko, a z zasłużonej nagrody okradł mnie człowiek, który wszystko mi zawdzięczał, niejaki John Hanning Speke. Jeśli spotkam go w mej podróży w górę Rzeki, będę wiedział, jak z nim postąpić...

– Dobry Boże! – zawołał Frigate. – Chcesz, żeby zabił się jeszcze raz, dręczony wstydem i wyrzutami sumienia?

– Rzecz jednak w tym, że ta Rzeka może być o wiele, wiele dłuższa od Nilu, który, o czym może wiecie, był najdłuższą rzeką na Ziemi, wbrew czczym pretensjom Amerykanów, wysuwających swoją Amazonkę i Mississipi wraz z Missouri. Niektórzy z was spytają, po co ruszamy do celu, który leży nie wiedzieć jak daleko, a może wcale nie istnieje. Odpowiem wam: stawiamy żagle, ponieważ istnieje Nieznane, a my chcemy uczynić go Znanym. To wszystko! Tutaj, w przeciwieństwie do Ziemi, pieniądze nie są potrzebne, ani na ekwipunek, ani na podróż. Król Szmal nie żyje i do diabła z nim! By dostać zgodę na rejs w górę Rzeki nie musimy wypisywać setek petycji i formularzy, ani wyczekiwać na audiencję u osób wpływowych i drobnych biurokratów. Nie ma granic państwowych...

– ...na razie – wtrącił Frigate.

– ...ani paszportów do okazywania, ani urzędników czekających na łapówki. Zbudowaliśmy łódź, na co nie potrzebowaliśmy licencji i odpływamy nie potrzebując pozwolenia żadnego durnia na wysokim, średnim czy niskim stołku. Po raz pierwszy w historii jesteśmy wolni. Wolni! I teraz mówimy: żegnajcie! Nie chcę mówić: do widzenia...

– Nigdy nie mówisz – mruknął Frigate.

– ...gdyż może wrócimy tu dopiero za tysiąc lat! Więc mówię: żegnajcie, załoga woła: żegnajcie, dziękujemy za waszą pomoc w budowie łodzi i za pomoc w jej wodowaniu. Niniejszym przekazuję swą godność Konsula Jej Brytyjskiej Wysokości w Trieście temu, kto ma ochotę ją przyjąć i ogłaszam, że jestem wolnym obywatelem świata Rzeki! Nie będę nikomu składał hołdów, nie będę niczyim poddanym, będę wierny tylko sobie!

– Czyń, co ci męstwo czynić każe, od siebie tylko czekaj braw.

Ten pięknie żyje i umiera, kto według własnych żyje praw – zadeklamował Frigate.

Burton spojrzał na niego spod oka, ale nie przerwał swej mowy. Amerykanin przytoczył dwuwiersz z jego poematu, „The Kasidah of Haji Abdu Al-Yazdi". Nie pierwszy raz już cytował prozę czy poezję Burtona. I choć ten często stwierdzał, że Frigate go irytuje, to nie mógł gniewać się na człowieka, który podziwiał go do tego stopnia, że nauczył się na pamięć jego słów.

Kilka minut później, gdy grupa kobiet i mężczyzn zepchnęła łódź na wodę i tłum urządził owację, Frigate znów go zacytował. Patrzył na zebrane przy brzegu tysiące przystojnych młodych ludzi, na ich brązową od słońca skórę, na kilty i staniki, na barwne, rozwiane turbany. Powiedział wtedy:

Piękny był dzień gdy słońce lśniło, gdy bryza grała, gdy tłum w zawody

Śpiewał i tańczył nad rzeki brzegiem, kiedym był młody, kiedym był młody.

Prąd i wiatr odwróciły dziób łodzi w dół Rzeki, lecz zaraz na rozkaz Burtona wciągnięto żagle, a on sam naparł na wielkie wiosło. Katamaran obrócił się i ruszył ostro pod wiatr. Unosił się i opadał na falach, woda szumiała rozcinana przez podwójny dziób, słońce grzało mocno, a lekka bryza chłodziła ich ciała. Byli szczęśliwi, choć czuli lekki niepokój, gdy znajome brzegi i twarze ginęły w dali. Nie mieli map, nie znali opowieści wędrowców, które mogłyby ich poprowadzić; z każdą milą tworzyli cząstkę nowego świata.

Wieczorem, kiedy po raz pierwszy wyciągnęli katamaran na brzeg, zdarzył się dziwny wypadek, który mocno Burtona zastanowił. Kazz zszedł właśnie na ląd, pomiędzy zaciekawionych ludzi, kiedy nagle coś go poruszyło. Zaczął wykrzykiwać w rodzinnym języku i próbował złapać stojącego w pobliżu mężczyznę. Tamten cofnął się i szybko zniknął w tłumie.

Burton próbował się dowiedzieć, o co chodzi, ale niewiele z wyjaśnień Kazza zrozumiał.

– On nie mieć... no... jak nazywać?... tego... tego... – i wskazał palcem czoło, po czym narysował w powietrzu jakieś dziwne symbole.

Burton chciał wyjaśnić tę sprawę, lecz Alicja krzyknęła nagle i podbiegła do jakiegoś człowieka. Najwyżej dyskutowali nad tym i w końcu postanowili tu przybyć. Może chcieli porwać Burtona dla obserwacji, a może mają gorsze zamiary.

– Niewykluczone, że chcieli wymazać mi z pamięci to, co widziałem w komorze unoszących się ciał – rzekł Burton. – Ich nauka może pozwalać na takie działania.

– Przecież opowiadałeś o tym tylu ludziom – zdziwił się Frigate. – Nie mogą wyśledzić ich wszystkich i wszystkim usunąć z pamięci wspomnień o tym, co mówiłeś.

– Czy to naprawdę konieczne? Ilu mi uwierzyło? Czasami sam wątpię, czy to prawda.

– Spekulacje nie prowadzą do niczego – oświadczył Ruach. – Co powinniśmy zrobić?

– Richard! – krzyknęła Alicja. Obejrzeli się i zobaczyli, że siedzi i patrzy na nich zdumiona.

Minęło kilka minut, zanim jej wytłumaczyli, co zaszło.

– Więc dlatego mgła pokryła także ląd! – powiedziała wreszcie. – Wydało mi się to dziwne, ale, naturalnie, nie mogłam wiedzieć, co się naprawdę dzieje.

– Bierz róg – polecił Burton. – Pakuj do worka wszystko, co chcesz ze sobą zabrać. Ruszamy natychmiast. Chcę odpłynąć, zanim reszta się obudzi.

Szeroko otwarte oczy Alicji otworzyły się jeszcze szerzej.

– Dokąd ruszamy?

– Dokądkolwiek. Nie lubię uciekać, ale nie mogę zostać i walczyć z takimi ludźmi. Nie wtedy, kiedy wiedzą, gdzie jestem. Powiem wam jednak, co zamierzam zrobić. Postanowiłem dotrzeć do końca Rzeki. Ona musi gdzieś wpływać i skądś wypływać. Musi istnieć droga, którą można przedostać się do źródła. A jeżeli istnieje, to ja ją znajdę. Możecie postawić o zakład swoje dusze. Tymczasem Oni będą mnie szukać gdzie indziej – mam nadzieję. To, że mnie tutaj nie znaleźli dowodzi, że nie potrafią bezpośrednio zlokalizować konkretnego człowieka. Mogli napiętnować nas jak bydło – wskazał niewidzialne znaki na swoim czole – ale nawet bydło miewa narowy. A my jesteśmy bydłem, które posiada mózgi.

– Możecie płynąć ze mną – zwrócił się do pozostałych. – Więcej, byłbym zaszczycony, gdybyście zechcieli mi towarzyszyć.

– Iść po Monata – rzekł Kazz. – On nie chcieć zostać bez nas.

Burton skrzywił się.

– Dobry, stary Monat! – powiedział. – Nienawidzę myśli, że muszę mu to zrobić, ale nie ma rady. Nie może płynąć z nami. Zbyt się wyróżnia. Ich agenci nie będą mieli najmniejszych problemów ze znalezieniem kogoś, kto wygląda tak jak on. Przykro mi, ale to niemożliwe.

W oczach Kazza pojawiły się łzy, spływając po jego wystających kościach policzkowych.

– Burton-naq – powiedział stłumionym głosem. – Ja też nie móc. Ja też się wyróżniać.

Burton też poczuł łzy w oczach.

– Zaryzykujemy – rzekł. – W końcu musi tu być mnóstwo osobników twojego rodzaju. Sami spotkaliśmy w podróży co najmniej trzydziestu, jeśli nie więcej.

– Na razie żadnych kobiet, Burton-naq – powiedział żałośnie Kazz. Potem uśmiechnął się. – Może znaleźć jakąś, kiedy płynąć Rzeką.

Lecz zaraz spoważniał.

– Nie, do diabła. Nie płynąć. Nie móc ranić bardzo Monata. On i ja, inni myśleć, że brzydcy i straszni. My przyjaciele. On nie być mój naq, ale prawie. Ja zostać.

Podszedł do Burtona i uścisnął go tak, że tamten głośno wypuścił powietrze z płuc. Podał rękę pozostałym, którzy kolejno krzywili się z bólu. Potem odwrócił się i odszedł.

– Tracisz czas, Burton – odezwał się Ruach, trzymając sparaliżowaną chwilowo dłoń. – Czy nie zdajesz sobie sprawy, że możesz żeglować Rzeką przez tysiąc lat i ciągle być o milion albo więcej mil od celu? Ja zostaję. Jestem potrzebny mojemu narodowi. Poza tym Spruce jasno powiedział, że powinniśmy dążyć do duchowej doskonałości, a nie walczyć z Tymi, Którzy dali nam na to szansę.

W smagłej twarzy Burtona jasno błysnęły zęby. Zakręcił rogiem obfitości jakby to była broń.

– Nie prosiłem, żeby mnie tu wsadzili, tak jak nie prosiłem, żeby się urodzić na Ziemi. Nie mam zamiaru

w górę Rzeki, znaleziono miedź. Miało się to zdarzyć na odcinku nie dłuższym niż dwanaście mil, zamieszkałym przez Samarytan z piątego wieku przed naszą erą i trzynastowiecznych Fryzyjczyków.

Burton tak naprawdę nie wierzył, że plotka odpowiada prawdzie, jednak dzięki niej zyskał pretekst do wyprawy. Wyruszył nie zważając na prośby Alicji, żeby zabrał ją ze sobą.

Teraz, po miesiącu, przeżywszy kilka przygód, z których nie wszystkie były nieprzyjemne, zbliżali się do domu. Wiadomości nie były zupełnie fałszywe. Znaleźli miedź, choć w bardzo małych ilościach. Cała czwórka wsiadła więc do łodzi i ruszyła w drogę, łatwą, bo z prądem. Nigdy nie ustający wiatr wypełniał ich żagiel. Płynęli w dzień i przybijali na posiłki, gdy tylko na brzegu byli przyjaźni ludzie, którym nie przeszkadzali obcy, korzystający z ich kamieni obfitości. Nocą albo spali wśród przyjaciół, albo – wśród wrogów – żeglowali w ciemnościach.

Ostatni odcinek drogi pokonali już po zachodzie słońca. Zanim dotarli do domu, musieli minąć część doliny, zamieszkałą po jednej stronie przez czyhających na niewolników osiemnastowiecznych Mohawków, po drugiej przez równie chciwych Kartagińczyków z trzeciego wieku przed naszą erą. Prześlizgnąwszy się między nimi pod osłoną mgły, byli już prawie na miejscu.

– Jest brzeg – zawołał nagle Burton. – Pęte, opuść żagiel. Kazz, Lev, do wioseł! Ruszać się!

Po kilku minutach już wyciągali z wody lekką łódź. Wynurzyli się z mgły i widzieli niebo, coraz jaśniejsze nad wschodnim pasmem gór.

– Niezły wynik jak na ślepą nawigację! – zawołał Burton. – Wylądowaliśmy o dziesięć kroków od kamienia obfitości przy ruinach.

Przyjrzał się bambusowym chatom na równinie i budynkom widocznym wśród wysokich traw między drzewami na wzgórzach. Nie dostrzegł nikogo. Dolina była pogrążona we śnie.

– Słuchajcie, czy to nie dziwne, że nikt jeszcze nie wstał? – zapytał. – Albo że nie zatrzymały nas straże?

Frigate wskazał wieżyczkę na prawo od nich. Burton zaklął.

– Posnęli, na rany Boga, albo zeszli z posterunków – mruknął.

Wiedział jednak, że nie mogło to być zwykłe zaniedbanie obowiązków. Nic nie mówił, ale od chwili, gdy zszedł na brzeg, był pewien, że stało się coś bardzo niedobrego. Ruszył biegiem w stronę chaty, w której mieszkał z Alicją.

Spała po prawej stronie izby, na łóżku z bambusa i trawy. Widział tylko jej głowę, gdyż skuliła się pod okryciem z ręczników spiętych magnetycznymi klamrami. Odrzucił je na bok, przyklęknął przy niskim posłaniu i podniósł ją do pozycji siedzącej. Głowa opadła jej w przód, a ramiona zwisły bezwładnie. Cerę jednak miała zdrową i oddech regularny.

Zawołał ją trzykrotnie. Spała dalej. Uderzył ją mocno w oba policzki; na skórze wystąpiły czerwone plamy. Powieki Alicji zadrżały, lecz zaraz na powrót zapadła w głęboki sen.

W drzwiach pojawili się Ruach i Frigate.

– Zajrzeliśmy do kilku chat – poinformował Amerykanin. – Wszyscy śpią. Próbowaliśmy ich obudzić, ale nie ma szans. Co się stało?

– Jak myślicie – spytał Burton – kto ma możliwości i chęci, by zrobić coś takiego? Spruce! Spruce i jemu podobni. Kimkolwiek są!

– Po co? – Frigate był przestraszony.

– Szukali mnie! Musieli przyjść pod osłoną mgły i jakoś uśpili wszystkich w tym obszarze.

– Gaz usypiający załatwiłby to bez problemów – zauważył Ruach. – Choć ludzie dysponujący taką potęgą jak Oni mogą mieć metody, o których się nam nie śniło.

– Szukali mnie! – wrzasnął Burton.

– Jeżeli masz rację, to oznacza, że dziś w nocy mogą tu wrócić – stwierdził Frigate. – Ale po co mieliby cię szukać?

– Ponieważ, o ile nam wiadomo, jest on jedynym człowiekiem, który przebudził się w fazie przedwskrzeszeniowej – odpowiedział za Burtona Ruach. – Jak to zrobił, pozostaje tajemnicą. Jest jednak oczywiste, że coś nie zadziałało jak powinno. Dla Nich także może to być tajemnicą. Jestem skłonny przypuszczać,

raźniej sądziła, że to jej syn, zabity podczas I wojny światowej. Powstało zamieszanie: Alicja przyznała, że musiała się pomylić, potem trzeba było zająć się innymi rzeczami. Kazz nie wrócił już do sprawy i Burton zapomniał o wszystkim. Miał to sobie jednak przypomnieć.

Dokładnie w 415 dni później minęli 24.900 kamieni obfitości stojących na prawym brzegu Rzeki. Halsując, płynąc pod prąd i wiatr, robiąc średnio sześćdziesiąt mil dziennie, zatrzymując się w czasie dnia, by napełnić swoje rogi i na noc, by się przespać. Czasem urządzali całodzienny postój, by rozprostować kości i pogadać z kimś spoza załogi. W ten sposób przebyli 24.900 mil. Na Ziemi była to mniej więcej długość równika. Gdyby ułożyć Missisipi z Missouri, Nil, Kongo, Amazonkę, Yangcy, Wołgę, Amur, Huang, Lenę i Zambezi jedna za drugą, tworząc jedną wielką rzekę, to jeszcze nie byłaby tak długa, jak odcinek Rzeki, który poznali. A przecież Rzeka płynęła dalej, wciąż dalej, wielkimi łukami wiła się tam i z powrotem. I wszędzie nad brzegiem widzieli równinę, za nią porośnięte lasem wzgórza i niebotyczne, niezdobyte, nieprzerwane pasmo gór.

Czasem równina zwężała się i wzgórza podchodziły do samego brzegu; czasem Rzeka rozlewała się i stawała jeziorem szerokim na dwie mile, a nieraz trzy, pięć, sześć mil. Tu i tam pasma gór zbliżały się do siebie i łódź płynęła przez kaniony, gdzie woda pieniła się w wąskim korycie, gdzie niebo było błękitną nitką wysoko, wysoko nad głowami, a czarne ściany pochylały się nad nimi.

Wszędzie też byli ludzie. Mężczyźni, kobiety i dzieci dzień i noc tłoczyli się na brzegach Rzeki, a jeszcze więcej ich było między wzgórzami.

Żeglarze poznali już rozkład populacji. Ludzkość została wskrzeszona nad Rzeką w porządku mniej więcej chronologicznym i narodowym. Łódź minęła obszary zamieszkałe przez Słoweńców, Włochów i Austriaków, umarłych w ostatniej dekadzie dziewiętnastego wieku, minęła Węgrów, Norwegów, Finów, Greków, Albańczyków i Irlandczyków. Czasem zatrzymywali się tam, gdzie żyli ludzie z innych czasów i miejsc. Raz był to dwudziestomilowy odcinek wybrzeża, zamieszkały przez australijskich Aborygenów, którzy na Ziemi nigdy nie widzieli Europejczyka. Innym razem obszar stu mil zaludniony przez Tocharyjczyków, współplemieńców Loghu. Pochodzili z początków naszej ery i z terenów późniejszego Chińskiego Turkiestanu. W owym czasie reprezentowali oni najbardziej na wschód wysuniętą grupę używającą języka indoeuropejskiego. Ich kultura przez pewien czas kwitła, by w końcu zginąć pod atakiem pustyni i barbarzyńców.

Badania Burtona, choć powierzchowne i niepewne, wykazywały, że na każdym terenie żyło na ogół 60 procent ludzi jednej narodowości i z jednego stulecia, 30 procent innych, zwykle z innego czasu, zaś pozostałe 10 procent było dobrane zupełnie losowo.

Wszyscy mężczyźni powstali z martwych byli obrzezani. Wszystkie kobiety wskrzeszono jako dziewice. Dla większości z nich, zdaniem Burtona, stan ten trwał tylko do pierwszej nocy.

Jak dotąd nie widzieli ani nie słyszeli o kobiecie ciężarnej. Ktokolwiek ich tu umieścił, musiał ich także wysterylizować, co było rozsądnym posunięciem. Gdyby ludzie mogli się rozmnażać, to przed końcem pierwszego stulecia dolina Rzeki byłaby zapchana zwartym tłumem.

Z początku wydawało się, że prócz człowieka nie ma w tym świecie żadnego życia zwierzęcego. Teraz wiadomo już było, że nocą wypełzają z ziemi różne robaki. W samej Rzece żyło co najmniej sto gatunków ryb, od małych, długości sześciu cali, do stworów wielkości kaszalota, „rzecznych smoków", mieszkających przy dnie, tysiąc stóp pod powierzchnią. Frigate twierdził, że zwierzęta spełniają określone cele. Ryby oczyszczają wody Rzeki, niektóre typy robaków zjadają odpadki i trupy, inne pełnią normalne funkcje dżdżownic.

Gwenafra urosła, podobnie jak wszystkie dzieci. Jeśli wszędzie panowały warunki podobne do obserwowanych dotychczas, to za dwanaście lat w całej dolinie nie będzie ani jednego dziecka czy podrostka. Burton zastanawiał się nad tą sprawą.

– Ten szanowny Dodgson, twój przyjaciel – odezwał się do Alicji. – Ten, który kochał tylko małe dziewczynki. Znajdzie się tutaj w irytującej sytuacji, prawda?

– Dodgson nie był zboczeńcem – wtrącił się Frigate. – Ale co z tymi, dla których dzieci są jedynym obiektem seksualnym? Co będą robić, gdy tych dzieci zabraknie! Albo ci, których podnieca męczenie i torturowanie zwierząt? Wiesz, kiedyś żałowałem, że nie ma tu psów, kotów, niedźwiedzi, słoni... Lubiłem zwierzęta. Oprócz małp; są zbyt podobne do ludzi. Teraz się cieszę, że ich nie ma. Nikt nie może się nad nimi

znęcać. Wszystkie te bezradne istoty, cierpiące ból, pragnienie i głód z powodu bezmyślności lub okrucieństwa ludzi... Już nie.

Pogłaskał Gwenafrę po jasnych włosach, opadających na ramiona.

– Czuję to samo jeśli chodzi o bezradne i krzywdzone maluchy.

– Co to za świat, w którym nie ma dzieci? – odezwała się Alicja. – Zresztą, co to za świat bez zwierząt? Nie można ich krzywdzić i znęcać się nad nimi, ale nie można też pieścić i kochać.

– Jedna rzecz równoważy drugą – rzekł Burton. – Nie ma miłości bez nienawiści, łagodności bez złośliwości, pokoju bez wojny. Zresztą nie mamy wyboru. Niewidzialni Władcy tego świata zdecydowali, że nie będziemy mieli zwierząt i że kobiety nie będą rodzić dzieci. Niech więc tak będzie.

Poranek czterysta szesnastego dnia podróży nie różnił się od innych poranków. Słońce wzeszło ponad szczytami gór po lewej, wiatr wiał jak zawsze w dół Rzeki z szybkością około piętnastu mil na godzinę. Temperatura wzrastała, by mniej więcej o drugiej po południu osiągnąć w przybliżeniu 85° Fahrenheita. Burton stał na „mostku" halsującego katamarana, ściskając obiema rękami długi, gruby sosnowy rudel. Skórę miał ogorzałą od słońca i wiatru; ubrany był w kilt w czerwono-czarną kratę, sięgający prawie do kolan, a na szyi nosił naszyjnik z nierównego, lśniącoczarnego kręgosłupa rogacza. Była to ryba długości sześciu stóp, z której czoła wystawał sześciocalowy róg, podobnie jak u jednorożca. Rogacze żyły mniej więcej sto stóp pod powierzchnią i trudno było je złapać. Za to ich kręgosłupy znakomicie nadawały się na naszyjniki, a odpowiednio wyprawiona skóra na sandały, pancerze i tarcze. Można też było przerobić ją na liny i pasy. Mięso rogacza smakowało wspaniale. Najcenniejszy jednak był róg – gotowy grot do włóczni i strzał albo – umocowany do drewnianego uchwytu – ostrze sztyletu.

W uchwytach koło Burtona, owinięty w przezroczysty rybi pęcherz, stał łuk z zakrzywionych kości, wystających po bokach paszczy ryby-smoka. Nacięto je tak, że wsuwały się jeden w drugi. W rezultacie powstała podwójnie zakrzywiona broń. Tylko bardzo silny mężczyzna potrafił napiąć cięciwę z jelit smoka. Burton dostrzegł łuk czterdzieści dni temu i zaproponował za niego właścicielowi czterdzieści papierosów, dziesięć cygar i trzydzieści uncji whisky. Oferta została odrzucona. Powrócił więc z Kazzem późną nocą i ukradł go. A raczej zamienił, gdyż zostawił na miejscu swój cisowy łuk.

Do tej pory zdążył usprawiedliwić przed sobą tę kradzież. Tamten człowiek chwalił się, że aby zdobyć łuk zamordował poprzedniego właściciela. Zabrali go więc złodziejowi i zabójcy. Mimo to odczuwał wyrzuty sumienia, gdy myślał o tej sprawie, co jednak nie zdarzało się często.

Burton prowadził „Hadżiego" od brzegu do brzegu zwężającego się koryta. Na przestrzeni pięciu mil Rzeka rozlewała się w jezioro szerokie na trzy i pół mili, a teraz wpadała w wąski, półmilowy kanał, który ginął z oczu, skręcając i kryjąc się między ścianami kanionu.

Wiedział, że łódź będzie pełzła wolno, gdyż popłynie przeciwko silnemu prądowi i nie będzie dość miejsca na halsowanie. Wiele już razy mijali podobne miejsca, więc nie przejmował się zbytnio. Jednak za każdym razem porównywał to z ponownymi narodzinami, kiedy „Hadżi" wypływał wąskim korytarzem z jeziora-macicy na następne jezioro. Woda burzyła się, a po drugiej stronie zawsze mogła czekać cudowna przygoda lub niezwykłe objawienie.

Katamaran zrobił zwrot ledwie dwadzieścia jardów od kamienia obfitości. Na prawym brzegu równina była tylko na pół mili szeroka. Stojący tam ludzie machali rękami w stronę łodzi, krzyczeli, czasem wygrażali pięściami lub przeklinali. Burton nie znał słów, ale rozumiał. Już wiele razy tak ich przyjmowano. Tutejsi ludzie nie byli szczególnie wrogo nastawieni, po prostu zawsze witano obcych w ten sposób. Okolicę zamieszkiwał ciemnoskóry, ciemnowłosy naród, posługujący się językiem, który Ruach określił jako proto-semicko-chamicki. Na Ziemi żył gdzieś w Północnej Ameryce lub Mezopotamii w czasie, gdy ziemie te były jeszcze żyzne. Wszyscy nosili kilty, lecz kobiety chodziły z obnażonymi piersiami, a „biustonoszy" używały jako szarf na szyję albo turbanów. Zasiedlili brzeg Rzeki na przestrzeni sześćdziesięciu kamieni, to jest sześćdziesięciu mil. Przed nimi osiemdziesiąt kamieni zajmowali Cejlończycy z dziesiątego wieku i mniejszość przedkolumbijskich Majów.

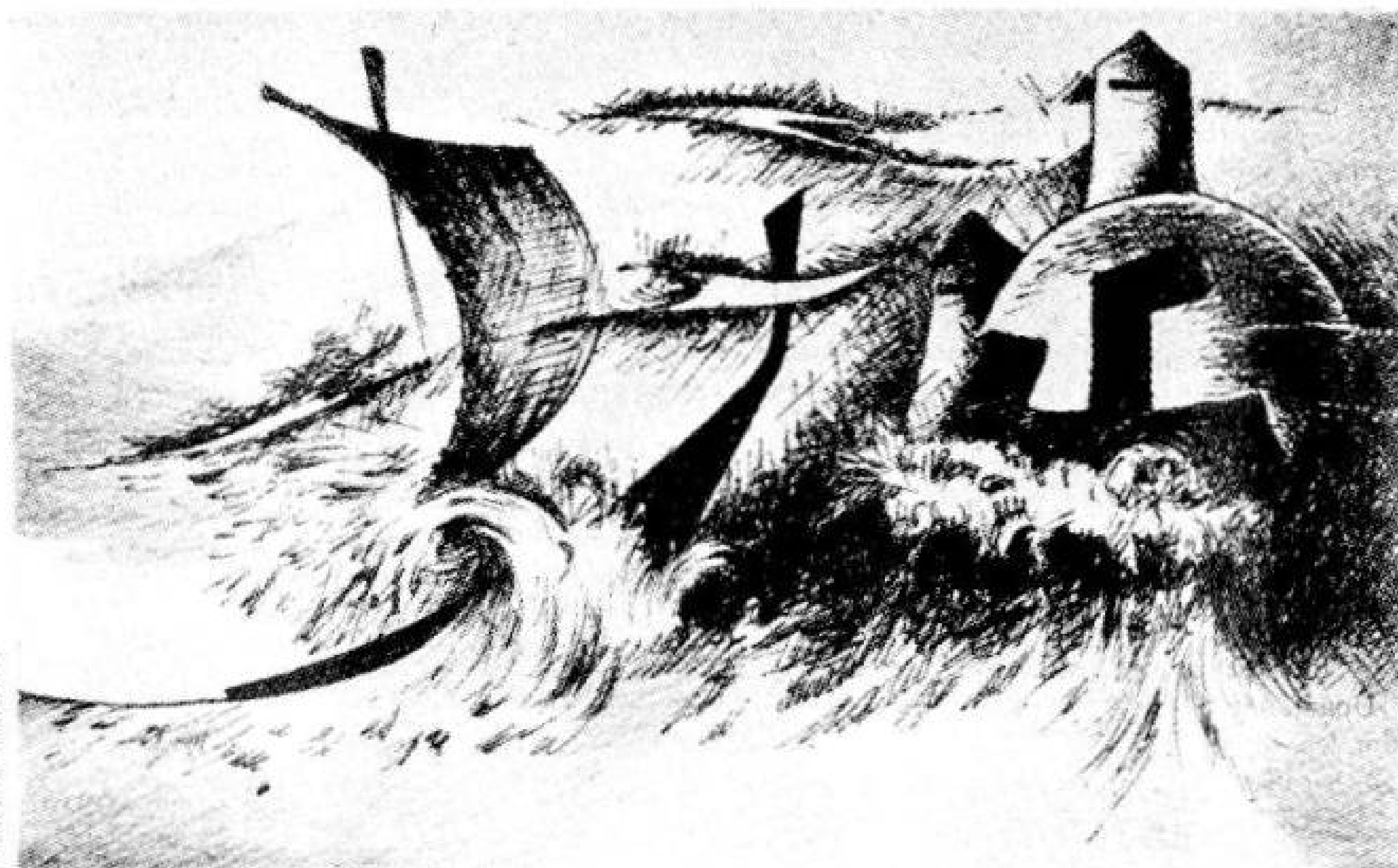
Frigate określał rozmieszczenie ludzi nad Rzeką „misą Czasu" i „największym eksperymentem antropologicznym i socjologicznym". Nie była to przesada. Wyglądało na to, że różne narody zostały przemieszane, by mogły się czegoś od siebie nauczyć. W niektórych przypadkach obce sobie grupy zdołały jakoś usunąć tarcia kulturowe i żyć we względnie przyjaznych stosunkach. Kiedy indziej jedna ze stron wyrzyna-

– Nie ma nic, co pozwoliłoby go odróżnić od jakiegokolwiek innego członka Homo sapiens – oznajmił. – Z wyjątkiem tego małego aparatu.

Podniósł do góry czarną, lśniącą kulkę wielkości główki zapałki.

– Znalazłem to na powierzchni płatów czołowych. Był połączony z nerwami przy pomocy drucików tak cienkich, że mogłem je zobaczyć tylko pod odpowiednim kątem, kiedy odbijały światło. Moim zdaniem Spruce przy pomocy tego urządzenia popełnił samobójstwo. Dosłownie: zamyślił się na śmierć. Ta mała kulka przemieniła jego pragnienie śmierci w czyn. Być może reagując na myśl wypuściła jakąś truciznę, której nie ma możliwości zanalizować.

Zakończył swój raport i oddał kulkę, by pozostali mogli ją obejrzeć.



Wiktor Żwikiewicz

Rozdział 18

Trzydzieści dni później Burton, Frigate, Ruach i Kazz wracali z podróży w górę Rzeki. Zbliżał się świt.

Zimna, gęsta mgła unosiła się sześć czy siedem stóp nad powierzchnią wody i kłębiła wokół nich. W żadnym kierunku nie widzieli dalej, niż mógłby skoczyć z miejsca silny mężczyzna. Burton, stojący na dziobie jednomasztowej, bambusowej żaglówki wiedział jednak, że są już blisko zachodniego brzegu. Woda była tam stosunkowo płytka, a prąd słabszy, sterowali więc po prostu od środka Rzeki w lewo.

Jeśli nie pomylił się w obliczeniach, powinni być już blisko ruin fortu Göringa. W każdej chwili oczekiwał, że z mrocznych wód wynurzy się pasmo gęściejszego mroku, skrawek ziemi, który nazywał teraz domem. Dom zawsze był dla niego miejscem, skąd mógł ruszyć w podróż, miejscem odpoczynku, tymczasową fortecą, gdzie mógł napisać książkę o ostatniej wyprawie, legowiskiem, gdzie leczył świeże rany, wieżą obserwacyjną, skąd wypatrywał nowych lądów do zbadania.

Tak więc, już w dwa tygodnie po śmierci Spruce'a poczuł, że musi gdzieś wyruszyć, do jakiegoś miejsca innego niż to, w którym właśnie przebywał. Słyszał plotki, że na zachodnim brzegu, mniej więcej sto mil

zować to, o czym my myśleliśmy tylko teoretycznie? Jeżeli zapisali w pamięci każdą ludzką istotę, jaka kiedykolwiek żyła na Ziemi? Znaleźli tę planetę i przekształcili ją w Dolinę Rzeki? Gdzieś, może tuż pod powierzchnią, użyli tych zapisów i zamiany energii w materię, powiedzmy ciepła z płynnego jądra planety, by odtworzyć w pojemnikach ciała zmarłych? Przy pomocy technik biologicznych odmłodzili te ciała, przywrócili im utracone kończyny, oczy i tak dalej, a także poprawili wszystkie fizyczne defekty? Potem dokonaliście zapisu tych nowo stworzonych ciał, by przechować go w jakimś ogromnym zespole pamięciowym i zniszczyliście ciała w pojemnikach. I odtworzyliście je na nowo wykorzystując przewodliwy metal, używany także przy ładowaniu naszych rogów obfitości. Urządzenia mogą być ukryte pod ziemią. Wtedy zmartwychwstanie następowałoby bez odwoływania się do nadnaturalnych instancji. Pozostaje jednak zasadnicze pytanie: dlaczego?

– Gdyby to wszystko leżało w twojej mocy, czy nie uznałbyś tego za swój etyczny obowiązek? – zapytał Spruce.

– Tak, ale wskrzesiłbym tylko tych, którzy na to zasługują.

– A gdyby inni nie uznali twoich kryteriów? Czy naprawdę uważasz, że jesteś dość mądry i dobry, żeby wydawać sądy? Czy chciałbyś postawić się na pozycji Boga? Nie, szansa należy się wszystkim, nieważne jacy byli okrutni, egoistyczni czy głupi. Potem wszystko zależy już od nich...

Zamilkł nagle, jakby pożałował swojego wybuchu i nie zamierzał powiedzieć ani słowa więcej.

– Poza tym – rzekł Monat – chcecie pewnie prowadzić studia nad ludzkością taką, jaka istniała w przeszłości. Chcecie zapisać wszystkie języki, jakimi mówił człowiek, jego obyczaje, filozofie, jego biografie. Po to potrzebni są wam agenci, badacze i obserwatorzy, udający wskrzeszonych, wmieszani między ludzi Rzeki. Jak długo potrwają te badania? Tysiąc lat? Dwa? Dziesięć? Milion? I co potem z nami zrobicie? Mamy tu zostać na zawsze?

– Zostaniecie tu tyle czasu, ile zajmie wam rehabilitacja! – krzyknął Spruce. – Potem...

Umilkł. Rozejrzał się ponurym wzrokiem i powiedział:

– Przy dłuższym kontakcie z wami nawet najtwardsi z nas przejmują wasze cechy. Sami musimy przechodzić rehabilitację. Już czuję się nieczysty...

– Przypieczcie go trochę – polecił Targoff. – Dowiemy się całej prawdy.

– Nie, nie dowiecie się – wrzasnął Spruce. – Już dawno powinienem to zrobić. Kto wie, co...

Upadł, a jego skóra przybrała odcień szaroniebieski. Doktor Steinborg, członek Rady, pochylił się nad nim, lecz dla wszystkich było oczywiste, że Spruce nie żyje.

– Niech go pan zabierze, doktorze – powiedział Targoff. – Proszę zrobić sekcję. Zaczekamy na wyniki.

– Z kamiennymi nożami, bez chemikaliów, bez mikroskopów, jakich wyników można oczekiwać? – spytał Steinborg. – Ale zrobię, co będę mógł.

Wyniesiono ciało.

– Dobrze, że nie zmusił nas do przyznania, że bluffujemy – stwierdził Burton. – Gdyby nie chciał mówić, pewnie by nas pokonał.

– Więc nie mieliście zamiaru naprawdę go torturować? – upewnił się Frigate. – Miałem taką nadzieję. Gdybym się mylił, wyszedłbym stąd natychmiast, by was więcej nie oglądać.

– Oczywiście, że tylko go straszyliśmy – odrzekł Ruach. – Spruce miał rację. Nie bylibyśmy lepsi od Göringa. Były jednak inne środki, choćby hipnoza. Burton, Monat i Steinborg są ekspertami w tej dziedzinie.

– Problem w tym, że wciąż nie wiemy, czy powiedział prawdę – zauważył Targoff. – Właściwie mógł kłamać. Monat próbował domysłów, ale jeżeli się mylił, to Spruce zgadzając się z nim, mógł nas wyprowadzić w pole. Nie ma żadnej pewności.

W jednym wszyscy byli zgodni: brak znaków na czole nie pozwoli już odróżnić kolejnego agenta. Teraz, gdy Oni – kimkolwiek byli – wiedzieli już, że te znaki są widzialne dla gatunku Kazza, podejmą odpowiednie środki, by zapobiec wykryciu.

Steinborg wrócił po trzech godzinach.

ła drugą, albo nawzajem wybijały się niemal do nogi. Często strona pokonana dawała początek warstwie niewolników.

Przez pewien czas po zmartwychwstaniu wszędzie panowała anarchia. Ludzie kręcili się bez celu i łączyli w niewielkie grupy dla wzajemnej obrony. Później naturalni przywódcy i ci, którzy chcieli władzy, wyszli na czoło, a naturalni podwładni stanęli za wodzami, których sobie wybrali. Choć częściej to wódz ich wybierał.

Jednym z licznych systemów politycznych, jakie powstały było „niewolnictwo rogów obfitości". Dominująca na danym terenie grupa trzymała słabszych w niewoli. Ci byli karmieni, gdyż martwy niewolnik stawał się bezużyteczny, ale władcy odbierali im papierosy, cygara, marihuanę, gumę snów i co lepsze jedzenie.

Co najmniej trzydzieści razy „Hadżi" próbował dobić do kamienia obfitości, gdzie niewiele brakowało, by został opanowany przez łowców niewolników. Jednak Burton i pozostali uważali pilnie na oznaki świadczące, że znaleźli się w terenie, gdzie panuje niewolnictwo. Często byli uprzedzeni przez mieszkańców sąsiednich „państw". Dwadzieścia razy zamiast zwabiać ich na brzeg mieszkańcy wyruszali łodziami w pogoń i katamaran z trudem unikał schwytania. Pięć razy Burton musiał zawrócić w dół rzeki. Jak dotąd zawsze udawało się im, gdyż ścigający niechętnie zapuszczali się poza granice swego państwa. Potem „Hadżi" zawracał i nocą przemykał się ukradkiem przez niebezpieczny teren.

Proto-Semito-Chamici żyjący w tej okolicy okazali się dość przyjaźni, gdy tylko przekonali się, że załoga katamaranu nie ma złych zamiarów. Osiemnastowieczny Moskwita uprzedził, że po drugiej stronie kanału leżą państwa niewolnicze. Nie wiedział o nich zbyt wiele, gdyż wysokie góry uniemożliwiały wędrówkę. Kilka łodzi popłynęło w górę Rzeki, lecz prawie żadna z nich nie wróciła. Te, którym się udało, przyniosły wieści o złych ludziach żyjących po tamtej stronie.

„Hadżi" został więc załadowany młodymi pędami bambusa, suszoną rybą i zapasami, jakie przez dwa tygodnie udało się zaoszczędzić z rogów obfitości.

Dzieliło ich jeszcze ponad pół godziny od wpłynięcia w wąski kanał. Burton dzielił swą uwagę pomiędzy nawigację i obserwowanie załogi. Wszyscy leżeli na platformie grzejąc się w słońcu lub siedzieli oparci o niewielkie zadaszenie, nazwane „forkasztlem".

John de Greystock umocowywał wygładzone kości rogacza do drzewca strzały. Pełniły funkcję piór w tym świecie bez ptaków. Greystock, czy też Lord Greystock, jak nazywał go Frigate dla jakichś sobie znanych a zabawnych powodów, dobrze spisywał się w bitwie i przy ciężkiej pracy. Potrafił ciekawie opowiadać, choć był nieprawdopodobnie wulgarny. Zawsze miał w zanadrzu masę anegdot z kampanii gaskońskiej i potyczek granicznych, historię swych miłosnych podbojów, plotki o Edwardzie Longshanks i – naturalnie – wiadomości o swych czasach. Był jednak człowiekiem niezwykle upartym i z punktu widzenia późniejszych wieków nieco ograniczonym, a przy tym niezbyt czystym. Na Ziemi – jak twierdził – był bardzo pobożny. Zapewne mówił prawdę, gdyż w przeciwnym razie nie dostąpiłby zaszczytu włączenia do orszaku Patriarchy Jeruzalem. Teraz jednak, gdy rzeczywistość zdyskredytowała jego wierzenia, znienawidził księży. Jeżeli spotykał któregoś z nich, doprowadzał go do wściekłości swą demonstracyjną pogardą. Miał nadzieję, że zostanie zaatakowany. Niektórzy próbowali i niewiele brakowało, by ich pozabijał. Burton upomniał go delikatnie (nie można było ostro odzywać się do Greystocka, chyba że ktoś miał ochotę walczyć z nim na śmierć i życie). Starał się go przekonać, że są gośćmi w obcym kraju, że gospodarze mają olbrzymią przewagę liczebną i że oni w związku z tym powinni zachowywać się jak goście. De Greystock przyznawał, że Burton ma rację, ale nie potrafił się powstrzymać od zaczepiania każdego spotkanego księdza. Na szczęście nie było ich wielu na terenach, przez które przepływali, a jeszcze mniej przyznawało się do swego ziemskiego zajęcia.

Obok Greystocka siedziała mówiąca coś z przejęciem jego aktualna partnerka, urodzona jako Mary Rutherfurd w 1637, zmarła jako lady Warwickshire w 1674. Była Angielką, lecz żyła 300 lat później od niego, różnili się więc poważnie w poglądach i zachowaniu. Burton nie wróżył im długiego pożycia.

Kazz rozciągnął się na pokładzie z głową na kolanach Fatimy, Turczynki, którą spotkali czterdzieści dni temu podczas przystanku na lunch. Fatima „leciała na włosy" jak to określił Frigate. To wyjaśniało, jego zdaniem, obsesję tej żony piekarza z Ankary. Wszystko w neandertalczyku było dla niej podniecające, ale jego gęste owłosienie wprowadzało ją w ekstazę. Cieszyli się z tego wszyscy, a najbardziej Kazz. W czasie

długiej podróży nie spotkał ani jednej samicy swego gatunku, choć słyszał o kilku. Większość kobiet bała się go i przed spotkaniem Fatimy nie miał stałego damskiego towarzystwa.

Mały Lev Ruach, oparty o przednią część forkasztlu, robił procę ze skóry rogacza. W worku u pasa miał trzydzieści kamieni, zebranych w ciągu ostatnich dwudziestu dni. Obok niego, mówiąc coś szybko i bez przerwy odsłaniając długie zęby, stała Esther Rodriguez. Zajęła miejsce Tanyi, która okazała się straszną tyranką. Tanya była atrakcyjną kobietką, ale nie potrafiła się powstrzymać od „poprawiania" swoich mężczyzn; Lev odkrył, że „poprawiła" swojego ojca, wuja, dwóch braci i dwóch mężów. Próbowała zrobić to samo dla Ruacha, czy raczej Ruachowi, zwykle bardzo głośno, by inni mężczyźni w pobliżu też mogli skorzystać z jej cennych rad. W końcu, gdy „Hadżi" miał właśnie odpłynąć, Lev wskoczył na pokład, odwrócił się i powiedział:

– Żegnaj, Tanyu. Nie wytrzymam więcej pouczeń kłótliwej baby z Bronxu. Znajdź sobie kogoś innego, doskonalszego ode mnie.

Tanya przez chwilę nie mogła złapać tchu, zbladła, po czym zaczęła wrzeszczeć. Sądząc po jej poruszających się wargach wrzeszczała jeszcze długo po tym, jak katamaran znalazł się poza zasięgiem głosu. Wszyscy śmiali się i gratulowali Ruachowi, on jednak tylko uśmiechał się smutnie. Dwa tygodnie później, na terenie zamieszkałym głównie przez starożytnych Libijczyków, spotkał Esther, Żydówkę z piętnastego wieku.

– Dlaczego nie spróbujesz szczęścia z gojką? – zapytał go kiedyś Frigate.

Lev wzruszył ramionami.

– Próbowałem. Ale wcześniej czy później zaczynamy się kłócić, i to ostro, a one tracą nerwy i nazywają mnie cholernym durniem. To samo zresztą zdarza się z Żydówkami, ale u nich potrafię to znieść.

– Pomyśl, przyjacielu – nie ustępował Amerykanin. – Nad Rzeką żyją miliardy gojek, które nigdy nie słyszały o Żydach. Nie mają żadnych uprzedzeń. Spróbuj z którąś z nich.

– Będę się trzymał znanego diabła.

– To raczej on cię trzyma – stwierdził Frigate.

Burton zastanawiał się czasem, dlaczego Ruach z nimi pozostał. Nigdy więcej nie wspominał „Żyda, Cygana i El Islam", choć często wypytywał o inne sprawy z przeszłości Burtona. Zachowywał się przyjaźnie, lecz z jakąś trudną do określenia rezerwą. Nie był potężnym mężczyzną, lecz dobrze radził sobie w walce i okazał się niezastąpiony ucząc Burtona judo, karate i jukado. Smutny nastrój, który otaczał go jak mgła nawet wtedy, kiedy się śmiał czy – według Tanyi – gdy się kochał, był rezultatem głęboko zakorzenionych wspomnień straszliwych doświadczeń z obozów koncentracyjnych w Niemczech i w Rosji. Tak przynajmniej twierdził. Tanya uważała, że Lev urodził się ponury, że odziedziczył geny smutku z czasów, kiedy jego przodkowie siadywali pod płaczącymi wierzbami Babilonu.

Monat także był smutny, choć czasem potrafił o tym zapomnieć. Tau Cetańczyk ciągle wypatrywał innej istoty swego gatunku, kogoś z trzydziestu kobiet i mężczyzn, rozerwanych na strzępy przez oszalały tłum. Nie liczył na sukces. Trzydziestka wobec trzydziestu pięciu czy sześciu miliardów, rozrzuconych nad Rzeką, która mogła mieć i dziesięć milionów mil długości – to czyniło sukces prawie niemożliwym. Zawsze jednak istniała nadzieja.

Alicja Hargreaves siedziała przed forkasztlem tak, że Burton widział tylko czubek jej głowy. Przyglądała się ludziom na brzegach, gdy tylko łódź zbliżała się do nich na tyle, by mogła rozróżnić twarze. Wypatrywała swego męża Reginalda, a także swych trzech synów, matki, ojca, sióstr i braci, jakiejkolwiek kochanej, znajomej twarzy. Należało się domyślać, że opuści ich, gdy tylko uda jej się na kogoś z nich natrafić. Burton nie wypowiadał się w tej sprawie, lecz czuł ból w piersi, ile razy o tym pomyślał. Chciał, by odeszła, a jednocześnie bał się tego. Gdyby stracił ją z oczu, prędzej czy później zniknęłaby także z jego myśli. To było nieuniknione. Lecz nie chciał nieuniknionego. Czuł do niej to samo, co do swej perskiej ukochanej i gdyby ją także utracił, znów cierpiałby przez długie lata.

Nigdy jednak nawet jednym słowem nie dał jej do zrozumienia, co czuje. Rozmawiał z nią, żartował, okazywał zainteresowanie, które uważał za trochę natrętne, gdyż nie odpłacała mu tym samym. W końcu osiągnął tyle, że potrafiła odprężyć się w jego obecności. Jednak tylko wtedy, gdy w pobliżu byli inni. Gdy znaleźli się sami od razu sztywniała.

Od owej pierwszej nocy ani razu nie użyła gumy snów. Burton zażył jej trzykrotnie, po czym zaczął wy-

Po południu bębny ogłosiły, że Spruce został schwytany. Trzy godziny później stanął przed Radą w nowo wybudowanej sali obrad. Członkowie Rady usiedli za stołem. Drzwi zamknięto, gdyż wszyscy uznali, że sprawę załatwi się skuteczniej bez tłumu gapiów. Do sali wpuszczono także Monata, Kazza i Frigate'a.

– Lepiej powiem ci to od razu – zaczął Burton. – Postanowiliśmy nie cofnąć się przed niczym, by zmusić cię do wyznania prawdy. Użycie tortur jest przeciwne zasadom wyznawanym przez każdego z siedzących za tym stołem. Z odrazą i pogardą myślimy o ludziach, którzy się do tortur uciekają. Uważamy jednak, że w tej sprawie należy złamać te zasady.

– Nigdy nie wolno łamać zasad – odparł spokojnie Spruce. – Cel nigdy nie uświęca środków. Nawet jeżeli trzymanie się zasad oznacza porażkę, śmierć czy pozostanie w niewiedzy.

– Stawka jest zbyt wielka – rzekł Targoff. – Ja, który byłem ofiarą ludzi pozbawionych zasad, Ruach, którego torturowano wiele razy, inni – wszyscy się z tym zgadzamy. Użyjemy ognia i noża, jeśli nas do tego zmusisz. Musimy poznać prawdę. Powiedz, czy jesteś jednym z Tych, Którzy sprawili nasze zmartwychwstanie?

– Jeżeli będziecie mnie torturować, to staniecie się nie lepsi niż Göring i jemu podobni – oświadczył Spruce. – Więcej, będziecie gorsi, gdyż zmuszacie się do bycia takimi jak on, aby osiągnąć coś, co być może nie istnieje. Lub, jeżeli istnieje, może nie być warte takiej ceny.

– Powiedz nam prawdę – powtórzył Targoff. – Nie kłam. Wiemy, że jesteś agentem, może nawet jednym z bezpośrednich Sprawców.

– Tam na kamieniach płonie ogień – wtrącił Burton. – Jeśli natychmiast nie zaczniesz mówić, będziemy zmuszeni... no cóż, przypiekanie nie będzie jeszcze najgorsze. Jestem ekspertem chińskich i arabskich tortur. Zapewniam cię, że opracowali oni bardzo wyrafinowane metody dochodzenia do prawdy. Nie będę miał oporów przed praktycznym wykorzystaniem swej wiedzy.

– Jeśli to zrobisz, możesz utracić życie wieczne – Spruce był blady i zlany potem. – A na pewno cofnie cię to w twej podróży i odsunie cel ostateczny.

– Co jest tym celem? – spytał Burton.

Spruce zignorował go.

– Nie możemy wytrzymać bólu – szepnął. – Jesteśmy zbyt delikatni.

– Będziesz mówił? – zapytał Targoff.

– Nawet idea samobójstwa jest bolesna i należy jej unikać, póki nie ma innego wyjścia – mamrotał Spruce. – Mimo, iż wiem, że znów będę żył.

– Przypieczcie go nad ogniem – polecił Targoff dwóm ludziom, którzy trzymali jeńca.

– Jedną chwilę – wtrącił Monat. – Spruce, nauka mojej rasy znacznie wyprzedziła ziemską. Dlatego mam większe możliwości stawiania rozsądnych hipotez. Może zdołamy oszczędzić ci cierpień nad ogniem i bólu zdrady swej sprawy, jeżeli tylko potwierdzisz to, co powiem. W ten sposób nie staniesz się zdrajcą.

– Słucham – rzekł Spruce.

– Moja teoria mówi, że jesteś Ziemianinem. Pochodzisz z okresu o wiele późniejszego niż rok 2008. Musisz być potomkiem tych nielicznych, którzy przeżyli mój skaner śmierci. Sądząc po technologii i energii potrzebnej do przebudowy tej planety w jedną potężną Dolinę Rzeki, twój czas jest bardzo odległy od dwudziestego pierwszego wieku. Powiedzmy, wiek pięćdziesiąty?

Spruce spojrzał na ogień.

– Dodaj jeszcze dwa tysiące lat – powiedział.

– Jeżeli ta planeta jest wielkości Ziemi, to może pomieścić tylko pewną liczbę ludzi. Gdzie są inni, dzieci urodzone martwo i te, które umarły zanim skończyły pięć lat, imbecyle, idioci i ci, którzy żyli po dwudziestym pierwszym wieku?

– Są gdzie indziej – odparł Spruce. Zerknął na płomienie i zacisnął wargi.

– Naukowcy mojej planety – mówił dalej Monat – uważali, że kiedyś będą w stanie zajrzeć w przeszłość. Nie będę wchodził w szczegóły, ale istniała możliwość, że minione zdarzenia mogą być obserwowane i zapisywane. Naturalnie, podróże w czasie to czysta fantazja. Lecz jeśli twoje społeczeństwo potrafiło zreali-

Dopiero później powiedziała:

– Frigate uważa, że jeśli cała planeta przypomina tereny, które widzieliśmy, a nie ma powodu w to nie wierzyć, to Rzeka musi mieć co najmniej dwadzieścia milionów mil długości. To nie do wiary, ale nie do wiary jest też nasze zmartwychwstanie i wszystko na tym świecie. Poza tym wzdłuż Rzeki może mieszkać trzydzieści pięć do trzydziestu siedmiu miliardów ludzi. Jaką mam szansę, by znaleźć swego ziemskiego męża? Poza tym kocham cię. Wiem, że nie okazywałam tego. Ale coś się we mnie zmieniło. Może spowodowało to wszystko, co tu przeżyłam. Nie sądzę, żebym na Ziemi mogła cię pokochać. Mógłbyś mnie fascynować, ale coś by mnie w tobie odpychało, może nawet przerażało. Nie mogłabym tam być dla ciebie dobrą żoną. A raczej dobrą towarzyszką życia, gdyż nie ma chyba żadnej władzy czy instytucji religijnej, która udzieliłaby nam ślubu. Już to dowodzi, jak bardzo się zmieniłam. Żeby spokojnie żyć z człowiekiem, który nie jest moim mężem...! Tak to wygląda.

– Nie żyjemy już w epoce wiktoriańskiej – odparł Burton. – Jak nazwać ten wiek... Erą Melange'u? Okresem Mieszanym? W końcu powstanie Kultura Rzeczna, Nadbrzeżny Świat, czy raczej wiele rzecznych kultur.

– Pod warunkiem, że przetrwa. Wszystko zaczęło się tak nagle; może się skończyć równie szybko i nieoczekiwanie.

Z pewnością, pomyślał Burton, zielonkawa Rzeka, trawiasta równina, zalesione wzgórza i niezdobyte góry nie przypominały mglistej wizji Shakespeare'a. Były twarde, rzeczywiste, równie realne jak zbliżający się właśnie ku niemu ludzie: Frigate, Monat, Kazz i Ruach. Wyszedł przed chatę, by ich powitać.

– Dawno temu – zaczął Kazz – zanim mówić dobrze angielski, widzieć coś. Próbować powiedzieć, ale ty nie rozumieć. Widzieć człowieka, który nie mieć tego na czole.

Wskazał palcem na własne czoło, potem na pozostałych.

– Wiedzieć – mówił dalej – że ty nie widzieć. Pete i Monat też nie. Nikt inny nie widzieć. Lecz ja widzieć to na czole każdego. Oprócz tego człowieka, którego chcieć złapać dawno temu. Potem, któregoś dnia, zobaczyć kobietę, która tego nie mieć, ale nic ci nie mówić. Teraz widzieć trzecią osobę bez tego.

– On twierdzi – wyjaśnił Monat – że jest w stanie dostrzec pewne symbole czy znaki na czole każdego z nas. Widzi je tylko w ostrym świetle słońca i tylko pod pewnym kątem. Ale każdy, kogo spotkał do tej pory, miał te symbole – z wyjątkiem tej trójki, o której mówił.

– Dostrzega pewnie dalsze części widma, dla nas niedostępne – stwierdził Frigate. – Niewątpliwie Ten, Kto naznaczył nas znakiem bestii, czy jak tam chcesz to nazwać, nie wiedział o tej szczególnej umiejętności gatunku Kazza. Co dowodzi, że Oni nie są wszechwiedzący.

– Najwyraźniej – przyznał Burton. – Ani nieomylni. Inaczej nigdy bym się nie zbudził w tamtym miejscu, zanim zostałem wskrzeszony. Kim więc jest osoba, która nie ma na skórze tych symboli?

Mówił spokojnie, lecz serce biło mu jak szalone. Jeżeli Kazz się nie pomylił, to może trafił na ślad agenta istot, które na nowo powołały do życia cały rodzaj ludzki. Czy są to bogowie w przebraniu?

– Robert Spruce! – oznajmił Frigate.

– Zanim zaczniemy wyciągać wnioski – wtrącił Monat – pamiętajmy, że pominięcie to może być przypadkowe.

– Sprawdzimy – rzekł groźnie Burton. – Ale po co te symbole? Dlaczego jesteśmy naznaczeni?

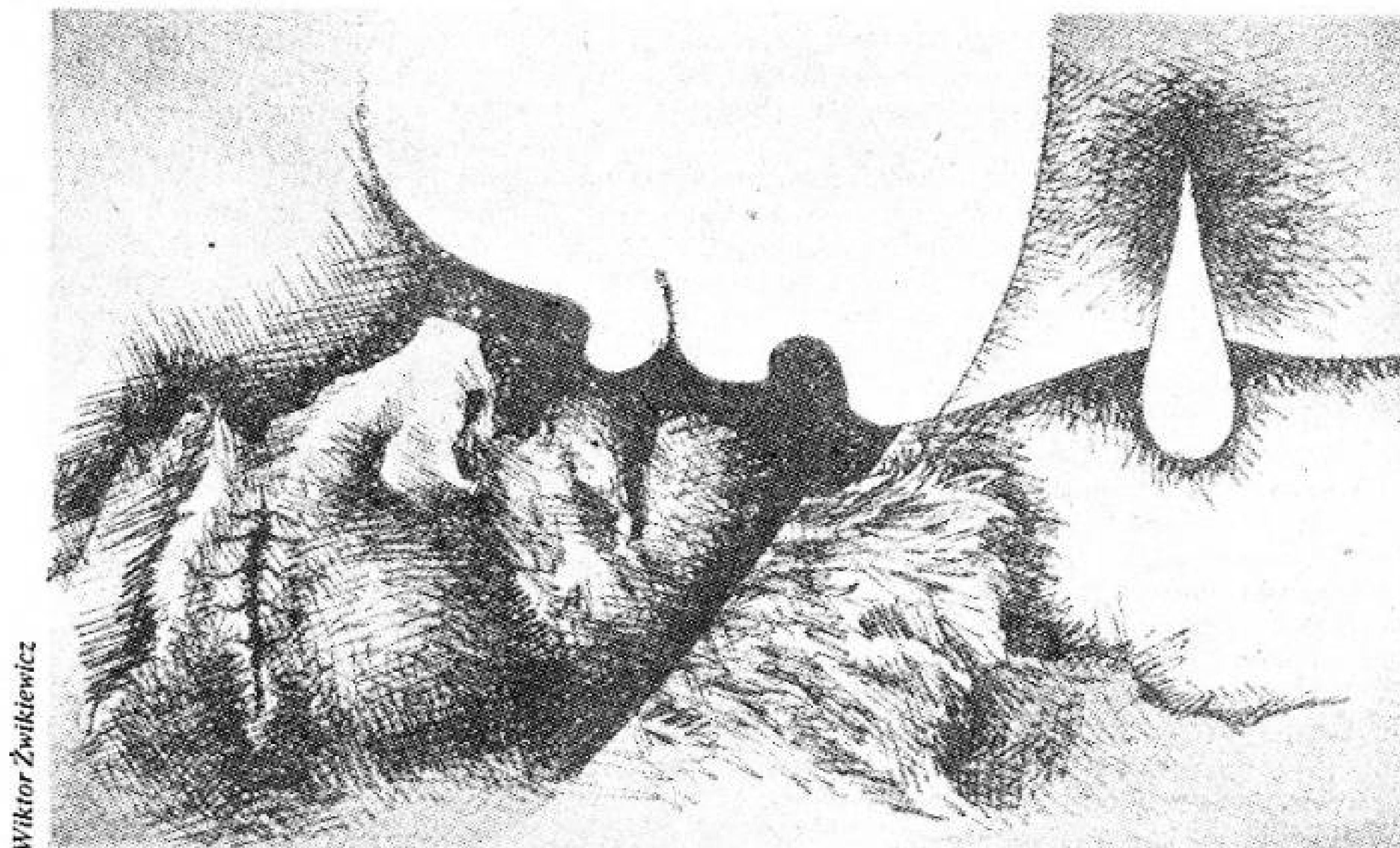
– Prawdopodobnie dla identyfikacji lub w celach statystycznych – zasugerował Monat. – Któż to wie, prócz Tych, Którzy nas tu sprowadzili.

– Chodźmy porozmawiać ze Sprucem – powiedział Burton.

– Najpierw musimy go złapać – zauważył Frigate. – Kazz popełnił błąd i powiedział mu, że wie o symbolach. To było dziś rano, przy śniadaniu. Nie było mnie przy tym, ale ci co byli mówią, że Spruce zbladł. Chwilę potem powiedział, że musi gdzieś iść i od tego czasu nikt go nie widział. Wysłaliśmy grupy poszukiwawcze w górę i w dół Rzeki, na drugi brzeg i między wzgórza.

– Ucieczka jest przyznaniem się do winy – oświadczył Burton. Był wściekły. Czy ludzie to bydło, żeby ich piętnować dla jakichś złowrogich celów?

mieniać na inne przedmioty. Wtedy, za trzecim razem, kiedy miał nadzieję na szczególnie udaną noc z Wilfredą, wpadł w koszmar straszliwej choroby „małych kajdan", choroby, która niemal go zabiła podczas wyprawy do Jeziora Tanganyika. W tym strasznym śnie był też Speke i on go zabił. Speke zginął w „wypadku" na polowaniu. Wszyscy uważali, choć nie mówili o tym głośno, że było to samobójstwo, że Speke zastrzelił się dręczony wyrzutami sumienia, gdyż zdradził Burtona. Ale w koszmarze to Burton udusił Speke'a, pochylającego się nad nim, by spytać jak się czuje. Potem, kiedy wizja rozpłynęła się już, ucałował jego martwe wargi.



Wiktor Żwikiewicz

Rozdział 14

Wiedział, że kochał Speke'a i nienawidził równocześnie; miał wszelkie powody, by go nienawidzić. Ulotna świadomość tego, że go kocha nie miała żadnego wpływu na jego postępowanie. Kiedy podczas wywołanego gumą koszmaru zdał sobie sprawę, że pod warstwą nienawiści leżała miłość, był tak przerażony, że zaczął krzyczeć. Kiedy się zbudził, zobaczył nad sobą Wilfredę. Potrząsała nim i chciała wiedzieć, co się stało. Sama na Ziemi paliła opium lub piła go z piwem, lecz tutaj, po jednym seansie z gumą snów, bała się następnych prób. Raz jeszcze zobaczyła wtedy śmierć swojej młodszej siostry, umierającej na gruźlicę i znowu przeżyła pierwsze doświadczenie jako prostytutka.

– To niezwykły środek psychodeliczny – powiedział Burtonowi Ruach. Wcześniej wyjaśnił co oznacza to słowo. Dyskusja na temat gumy trwała przez dłuższy czas. – Wydaje się przywoływać traumatyczne epizody przeszłości w mieszance realności i symbolizmu. Nie zawsze. Czasem działa jak środek podniecający. Czasem, jak mówią, zabiera cię w podróż. Sądzę jednak, że dano ją nam w celach terapeutycznych, nie dla oczyszczenia z win. Sami powinniśmy się domyśleć, jak jej używać.

– Dlaczego sam częściej jej nie żujesz? – spytał Frigate.

– Z tych samych powodów, z których niektórzy ludzie nie chcą się poddać psychoterapii albo rezygnują przed końcem: boję się.

– Tak... ja też – przyznał Frigate. – Ale kiedyś, kiedy zatrzymamy się gdzieś na dłuższy czas, mam za-

miar żuć kawałek co wieczór. Nawet jeśli przerazi mnie to na śmierć. Naturalnie, teraz łatwo podejmować takie postanowienia.

Peter Jairus Frigate urodził się zaledwie dwadzieścia osiem lat po śmierci Burtona, jednak ich światy różniły się bardzo. Wiele spraw widzieli inaczej i zapewne kłóciliby się wściekle, gdyby Frigate potrafił się wściekle kłócić. Nie o kwestie dyscypliny czy prowadzenia łodzi, lecz o wiele spraw wynikających z innego spojrzenia na świat. Jednak pod wieloma względami byli do siebie podobni; być może właśnie to sprawiło, że na Ziemi Frigate był zafascynowany Burtonem. W 1938 znalazł kieszonkowe wydanie książki Fairfaxa Downeya zatytułowanej „Burton: poszukiwacz przygód z Tysiąca i Jednej Nocy". Na okładce było zdjęcie Burtona w wieku pięćdziesięciu lat. Dzikie oblicze, wysokie czoło z silnie zaznaczonymi łukami brwiowymi, krzaczaste brwi, prosty nos, wielka blizna na policzku, grube, zmysłowe wargi, gęste, długie wąsy, gęsta, rozwidlona broda, wyraźnie widoczna agresywność i jakby zamyślenie, wszystko to spowodowało, że kupił książkę.

– Nigdy przedtem o tobie nie słyszałem, Dick – mówił Frigate. – Przeczytałem jednak tę książkę i zafascynowałeś mnie. Coś w tobie było, poza oczywistą brawurą, opanowaniem szermierki, znajomością wielu języków, poza twoimi przebraniami za szamana, kupca, pielgrzyma do Mekki. Byłeś pierwszym Europejczykiem, który żywy wydostał się ze świętego miasta Hararu, odkrywcą Jeziora Tanganyika, niemal odkrywcą źródeł Nilu, współzałożycielem Królewskiego Towarzystwa Antropologicznego, twórcą terminu ESP, tłumaczem „Tysiąca i Jednej Nocy", studiowałeś praktyki seksualne Wschodu i tak dalej... Wszystko to było wystarczająco ciekawe. Ale poza tym czułem z tobą jakieś niezwykłe pokrewieństwo. Poszedłem do biblioteki. Peoria była małym miasteczkiem, ale biblioteka miała dużo książek – twoich i o tobie, ofiarowanych przez jakiegoś zmarłego wielbiciela. Przeczytałem je. Potem zacząłem kolekcjonować ich pierwsze wydania. Zostałem w końcu pisarzem, lecz miałem zamiar napisać twoją obszerną, pełną biografię, odwiedzić wszyskie miejsca, gdzie byłeś, sfotografować je i opisać, założyć towarzystwo zbierające fundusze na konserwację twojego grobu...

Pierwszy raz Frigate wspomniał o jego grobie i Burton nie mógł powstrzymać odruchu zaskoczenia.

– Gdzie? – zapytał gwałtownie – Ach, naturalnie! Mortlake! Zapomniałem. Czy był w kształcie arabskiego namiotu, jak planowaliśmy z Isabel?

– Oczywiście. Ale slumsy pochłonęły cmentarz, twój grobowiec został zniszczony przez wandali, zielsko rosło tam po pas i mówiło się o przeniesieniu ciał w jakieś spokojniejsze miejsce, choć w tym czasie trudno było znaleźć w Anglii spokojne miejsce.

– I założyłeś to towarzystwo do opieki nad moim grobem?

Burton zdążył się już przyzwyczaić do swej śmierci, ale spotkanie z kimś, kto widział jego grób sprawiało, że dreszcz przebiegł mu po plecach.

Frigate westchnął głęboko.

– Nie – rzekł przepraszająco. – Kiedy osiągnąłem już taką pozycję, że mógłbym to zrobić, czułem się winny pragnąc wydawać pieniądze na martwych. Świat tkwił w zbyt wielkim bagnie. Żywi o wiele bardziej potrzebowali pomocy. Zanieczyszczenie, nędza, przemoc i tak dalej. Tylko to było ważne.

– A ta wielka, pełna biografia?

Frigate znowu odezwał się takim tonem, jakby chciał się usprawiedliwić.

– Kiedy po raz pierwszy o tobie przeczytałem, wydawało mi się, że tylko ja się tobą interesuję czy choćby wiem o twoim istnieniu. Ale w latach sześćdziesiątych zainteresowanie twoją osobą gwałtownie wzrosło. Powstało sporo książek na twój temat i nawet jedna o twojej żonie.

– O Isabel? Ktoś napisał o niej książkę? Dlaczego?

– Była ciekawą kobietą – uśmiechnął się Frigate. – Trzeba przyznać niezwykle irytującą, żałośnie przesądną, schizofreniczną i ze skłonnością do okłamywania samej siebie. Nie sądzę, by znalazło się wielu ludzi, którzy wybaczyliby jej spalenie twoich rękopisów i dzienników...

– Co? – ryknął Burton. – Spaliła...?

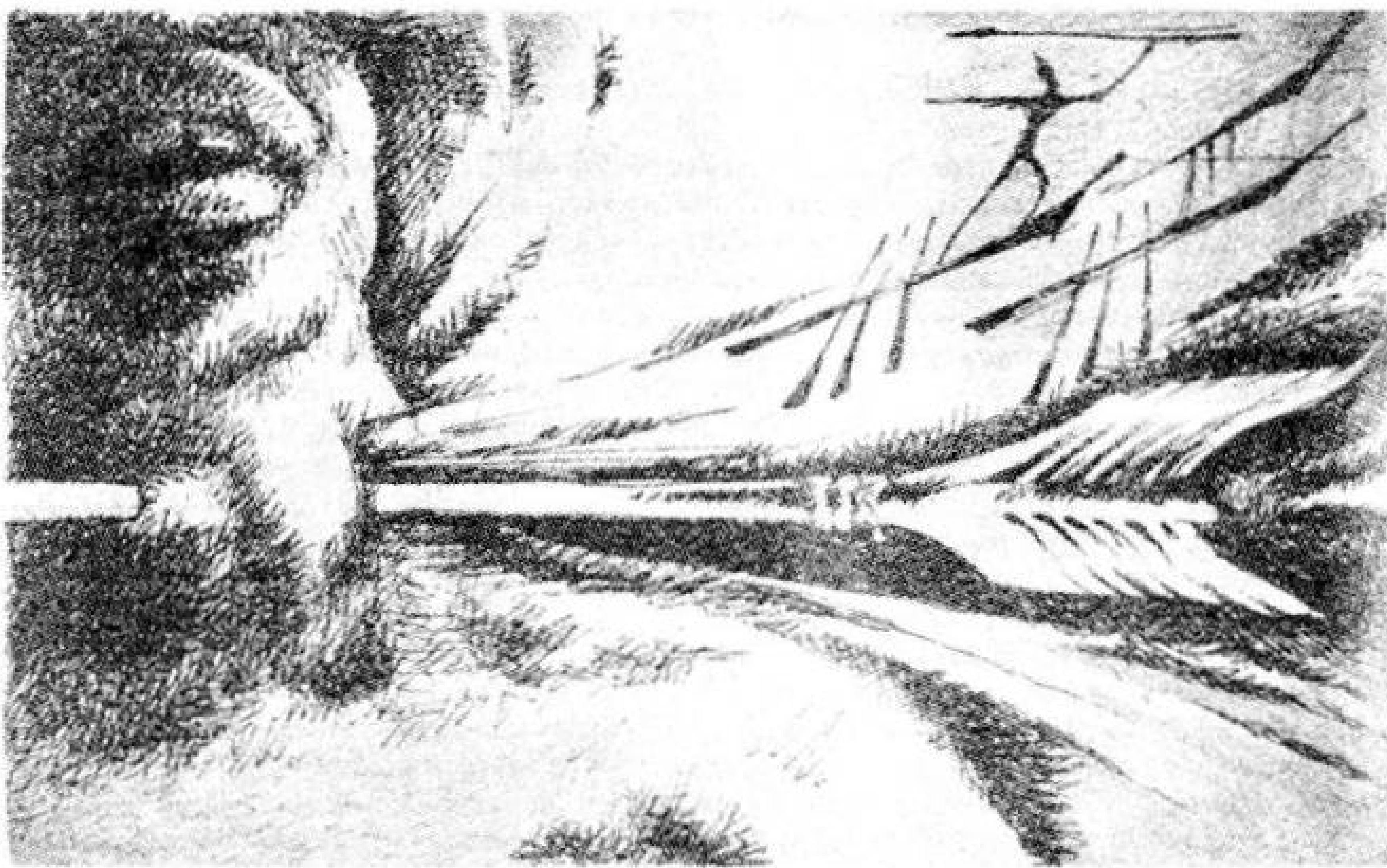
Frigate kiwnął głową.

– Twój lekarz, Grenfell Baker, określił to jako „straszliwą masakrę, jaka nastąpiła po jego opłakiwanej śmierci". Spaliła twoje tłumaczenie „Perfumowanego ogrodu". Twierdziła, że chciałeś go opublikować tylko dla pieniędzy. Ale już ich nie potrzebujesz, ponieważ jesteś martwy.

Coś uderzyło Burtona w tył głowy. Oszołomiony rozluźnił uchwyt. Göring przycisnął go do ziemi i rzucił się do włóczni. Chwycił ją, wstał i ruszył w stronę leżącego. Burton próbował wstać, ale jego nogi zdawały się zrobione z gliny. Wszystko wokół wirowało. Göring zachwiał się nagle – Alicja złapała go z tyłu za nogi – i upadł na twarz. Burton raz jeszcze spróbował się podnieść, stwierdził, że z trudem może ustać, przeszedł kilka kroków i przewrócił się na Göringa. Znów zaczęli walczyć. Göring zacisnął mu palce na gardle. Wtedy nad ramieniem Burtona przemknęła strzała, zdzierając mu skórę, a jej kamienny grot wbił się Göringowi w krtań.

Burton wstał, chwycił włócznię i wbił ją w gruby brzuch przeciwnika. Tamten spróbował usiąść, ale przewrócił się na wznak i skonał. Alicja opadła na ziemię i rozpłakała się.

O świcie bitwa dobiegła końca. Do tej pory niewolnicy wyrwali się ze wszystkich zagród. Wojownicy Göringa i Tulliusa zostali zmiażdżeni pomiędzy armiami Onondaga i więźniów, niby plewy na młyńskich kamieniach. Indianie, którzy zaatakowali pewnie tylko po to, by rabować i zdobyć więcej niewolników oraz ich rogów obfitości, wycofali się. Wsiedli do swych dłubanek i canoe, po czym powiosłowali na drugi brzeg. Nikt nie miał ochoty ich ścigać.



Rozdział 17

Nadeszły dni wypełnione pracą. Przybliżone obliczenia wskazywały, że co najmniej połowa z 20000 mieszkańców małego królestwa Göringa została zabita, ciężko ranna, porwana przez Onondagów lub uciekła. Rzymianin Tullius Hostillius najwyraźniej zdołał uciec. Ci, którzy przeżyli, wybrali coś w rodzaju rządu. Targoff, Burton, Spruce, Ruach i jeszcze dwóch innych utworzyli komitet wykonawczy mający szerokie, choć tymczasowe uprawnienia. John de Greystock znikł. Widziano go na początku bitwy, a potem wszyscy jakoś stracili go z oczu.

Alicja Hargreaves przeprowadziła się do chaty Burtona. Żadne z nich nie próbowało wyjaśniać, jak to się stało i dlaczego.

Scenariusz: Jacek Rodek i Wiktor Żwikiewicz. Rysunki: Andrzej O. Nowakowski.







Legenda stara jak ten świat
wciąż o tym opowiada
co uradziło Bogów stu
znudzonych końcem świata.

Miecz dobra dać demonom zła
niech żar w ciemności zgaśnie
a jego brata wściekłą moc
poskromi dobrych duchów straż.

Trzeci stracony będzie tam
skąd chciał dosięgnąć Bogów
niechaj śmiertelni ukryją go
w jednym ze swoich grobów.

JESTEM SAKRA ZE ŚWIĘTEJ GÓRY. MÓJ BÓG OBJAWIŁ SIĘ W ŚWIĄTYNI, GDZIE SŁUŻYŁAM OD DZIECKA. POWIEDZIAŁ MI: OTO NADCHODZI CZAS DECYDUJĄCEJ BITWY. CIEMNE MOCE GROMADZĄ SIĘ POD SZTANDAREM ZŁEGO. CHOCIAŻ OBOWIĄZYWAŁO BOGÓW ZAWIESZENIE BRONI – KTOŚ UKRADŁ PRZEKLĘTY MIECZ WŚCIEKŁY, A JEGO SŁUDZY SZUKAJĄ MIECZA RÓWNOWAGI. MOC TYCH MIECZY W JEDNYM RĘKU ZNISZCZY TRZECIEGO BRATA.

DOPRAWDY WZRUSZAJĄCE! A CÓŻ TWÓJ BÓG I TWOI KAPŁANI OFIARUJĄ TYM, KTÓRZY DADZĄ SIĘ NABRAĆ ICH ŻAŁOBNYM ŚPIEWOM?

MÓJ BÓG RZEKŁ JESZCZE: UCZYŃ CO W TWOJEJ MOCY, ŻEBY NAJWIERNIEJSI Z WIERNYCH ODNALEŹLI MIECZ RÓWNOWAGI, ZANIM DOSTANIE SIĘ W NIEPOWOŁANE RĘCE. NIEWIELE CZASU ZOSTAŁO. JEŚLI ROZEJRZYSZ SIĘ, UJRZYSZ SAMA, JAK STRASZNA GROMADZI SIĘ CIEMNOŚĆ.

WIEM TEŻ, ŻE TAM GDZIE SIĘ ZNAJDUJE ZAKLĘTY MIECZ FALANOR. JEST WIĘCEJ SKARBÓW, NIŻ ZNIOSĄ TWE ZACHŁANNE OCZY.

SKARBY ?!

PANI SPÓJRZ MI W OCZY I POWTÓRZ TO RAZ JESZCZE. OTO NASZE MIECZE.

NIE UFAJ TYM DWOM TO ŹLI LUDZIE.

TO MIECZE NIE LUDZIE I SKĄD WIESZ JAKI KTO JEST ?

JA WIEM ! SPÓJRZCIE !

TAKĄ OBELGĘ ZMYJE TYLKO KREW !!






OHO! LUSTRZANE ODBICIA!




WITAJ!
KTOŚ SIĘ ZABAWIA TANIĄ MAGIĄ.


PATRZCIE! ZNIKA...






CHODŹMY STĄD...


NA OREIMUSA! TAKA RADOŚĆ W TAKĄ NOC!


MIECZ CI CHYBA ZARDZEWIAŁ W POCHWIE, TAK CHĘTNIE SCHODZISZ Z DROGI ŁOTROM.
KILKU ULŻYŁEM W ŻYCIU, ALE ICH NIE UBYŁO.






TO LEKKOMYŚLNOŚĆ, PANI, O ZMIERZCHU CHODZIĆ BEZ BRONI. UCZYŃ MI ZASZCZYT I POZWÓL TOWARZYSZYĆ SOBIE.
TO DŁUŻSZA DROGA, NIŻ MYŚLISZ, MŁODZIEŃCZE. OPUSZCZAM TO MIASTO.


O TEJ PORZE NIE OTWORZĄ BRAMY.
NIE DOCENIASZ MOJEGO BOGA. GDZIE MASZ SWOJEGO KONIA?
U KUPCA HAIDIEGO.


SZUKASZ CZEGOŚ?
MOJE KONIE ZOSTAWIŁEM W DOMU ASKALONA.
BOJĘ SIĘ, PANIE. POZWÓLCIE MI TYLKO Z WAMI WYJECHAĆ Z MIASTA... A JEŚLI POTRZEBUJECIE KONIE...
ASKALON?!
DAJ JAKIŚ ZNAK, PANIE!


TO ZŁODZIEJ...
DAMY MU SZANSĘ...


NIE WZIĄŁ NIC DO HAIDIEGO...
PRZYWYKŁ, ŻE KUPCÓW ZWYCZAJNIE SIĘ OKRADA.

Walka była krótka i krwawa. Wartowników zakłuto dzidami, niektórzy zginęli przy upadku na ziemię. Pozostali tylko ci, którzy schronili się w budkach. Więźniowie przenieśli drabinę do bramy, zeskoczyli po drugiej stronie i otworzyli wrota. Po raz pierwszy Burton mógł zamienić kilka słów z Kazzem.

– Myślałem, że nas sprzedałeś.

– Nie. Nie ja, Kazz – odparł z wyrzutem neandertalczyk. – Ty wiedzieć, że cię kochać, Burton-naq. Ty być mój przyjaciel, mój wódz. Udawać, że połączyć się z wrogiem, bo to chytre. Dziwić się, że też tak nie robić. Chyba nie być głupi.

– Ty nie jesteś na pewno – oświadczył Burton. – Ale nie mogłem się zmusić, żeby zabić tych niewolników.

W świetle błyskawicy zobaczył, że Kazz wzrusza ramionami.

– Mnie nie przeszkadzać. Nie znać ich. Zresztą ty słyszeć Göring. On mówić, że oni i tak zginąć.

– Dobrze się złożyło, że akurat tę noc wybrałeś, żeby nas uwolnić – powiedział Burton. Nie tłumaczył dlaczego. Wolał nie robić zamieszania. Zresztą były ważniejsze sprawy.

– Dziś dobra noc – zapewnił Kazz. – Toczyć się wielka bitwa. Tullius i Göring pijani, kłócić się. Walczyć i ich ludzie też walczyć. Kiedy oni się zabijać, przypłynąć najeźdźcy. Ci brązowi ludzie zza Rzeki... jak nazywać?... Onondaga, to oni. Ich łodzie przybić do brzegu kiedy zacząć padać. Napaść, żeby ukraść niewolników, a może po prostu to lubić. Więc myśleć, dobra pora zacząć uwalniać Burton-naq.

Deszcz ustał równie nagle jak się zaczął. Burton słyszał krzyki i wrzaski gdzieś od strony Rzeki. Na brzegach biły bębny. Odwrócił się do Targoffa.

– Możemy uciekać, co pewnie uda nam się bez trudu – powiedział. – Możemy też atakować.

– Chcę zetrzeć z powierzchni ziemi te bestie, które nas wzięły w niewolę – odparł Targoff. – W pobliżu są inne zagrody. Posłałem ludzi, żeby otworzyli bramy. Pozostałe są za daleko, żeby można było szybko do nich dotrzeć. Stoją w odstępach co pół mili.

Tymczasem zdobyto barak, w którym odpoczywali strażnicy. Więźniowie uzbroili się we włócznie i ruszyli w stronę, skąd dobiegały odgłosy bitwy. Grupa Burtona znalazła się na prawym skrzydle. Nim przeszli pół mili natknęli się na pierwszych zabitych i rannych – Indian i białych.

Mimo niedawnej ulewy wybuchł pożar w głównym budynku. W świetle płomieni uciekinierzy coraz wyraźniej widzieli walczących ludzi. Nagle Onandaga przełamali obronę na jednym skrzydle. Ludzie Göringa rzucili się do ucieczki wprost ku zbliżającym się niewolnikom. Indianie pędzili za nimi, wyjąc i krzycząc tryumfalnie.

– Tam jest Göring – powiedział Frigate. – Ten jego tłuszcz nie pomoże mu się wydostać, to pewne.

Wskazał ręką. Burton dostrzegł Niemca, który rozpaczliwie przebierał nogami, lecz coraz bardziej zostawał z tyłu.

– Nie chcę, żeby Indianom przypadł zaszczyt zabicia go – oświadczył. – Sami to załatwimy. Jesteśmy to winni Alicji.

Na czele uciekających biegł długonogi Campbell i w niego Burton cisnął swoją włócznię. Dla Szkota ten pocisk z ciemności musiał być absolutnym zaskoczeniem. Zbyt późno spróbował się uchylić – krzemienny grot wbił się w ciało pomiędzy lewym ramieniem i piersią. Campbell upadł na bok. Próbował jeszcze się podnieść, ale Burton kopniakiem powalił go na ziemię.

Szkot wywracał oczami; z ust pociekła mu strużka krwi. Dotknął palcem drugiej rany, głębokiej szramy tuż pod żebrem.

– Two... twoja kobieta... Wilfreda... mi to zrobiła – wykrztusił. – Ale zabiłem ją za to, tę sukę...

Burton chciał go zapytać, gdzie jest Alicja, ale Kazz, wrzeszcząc coś w swoim języku, z całej siły uderzył Szkota w głowę maczugą. Burton podniósł włócznię i pobiegł naprzód.

– Nie zabijaj Göringa! – krzyknął do Kazza. – Zostaw go mnie!

Neandertalczyk nie słyszał. Był zajęty walką z dwoma Onondagami. Burton zauważył nagle przebiegającą obok Alicję. Pochwycił ją i odwrócił twarzą do siebie. Krzyczała i broniła się. Burton krzyknął głośno jej imię. Rozpoznała go, opadła mu w ramiona i rozpłakała się. Chciał ją uspokoić, ale bał się, że Göringowi uda się uciec. Odsunął ją więc i pobiegł za Niemcem. Cisnął włócznię. Otarła się o głowę Göringa; ten wrzasnął i zaczął rozglądać się za jakąś bronią, lecz Burton był już przy nim. Runęli na ziemię i zaczęli się tarzać, próbując zadusić się nawzajem.

Burton zaniemówił, co zdarzyło mu się tylko kilka razy w życiu.

Frigate spojrzał na niego spod oka i uśmiechnął się. Nieszczęście tamtego zdawało się go bawić.

– Spalenie „Perfumowanego ogrodu" nie było jeszcze najgorsze, choć wystarczająco smutne. Ale tego, że spaliła oba twoje dzienniki, ten osobisty, w którym zapewne wyjawiłeś swe najskrytsze myśli i odsłoniłeś najmocniej płonące nienawiści, a nawet ten publiczny, zapis codziennych wydarzeń, nie, tego nigdy jej nie wybaczę! Ani ja, ani wielu innych. To była wielka strata; ocalał tylko jeden z twoich notatników, lecz i ten spłonął podczas bombardowania Londynu w czasie II wojny światowej.

Zamyślił się głęboko.

– Czy to prawda – zapytał po chwili – że na łożu śmierci przeszedłeś na katolicyzm, jak twierdziła twoja żona?

– Niewykluczone – odparł Burton. – Isabel zawsze zależało, żebym się nawrócił, choć nigdy nie śmiała namawiać mnie do tego wprost. Kiedy byłem tak ciężko chory, mogłem jej w końcu obiecać, że to zrobię. Jeżeli miało ją to uszczęśliwić... Była taka zrozpaczona, tak się bała, że moja dusza będzie się smażyć w Piekle...

– Więc ją kochałeś?

– To samo zrobiłbym dla psa.

– Jak na kogoś tak irytująco szczerego i bezpośredniego, potrafisz czasem wyrażać się bardzo dwuznacznie.

Rozmowa ta miała miejsce około dwa miesiące po Pierwszym Dniu roku 1 P.Z. Jej rezultat był zbliżony do tego, jaki miałoby spotkanie Johnsona w drugim Boswellem.

Ich niezwykłe stosunki nabrały wtedy nowego charakteru. Frigate stał się bliższy, a jednocześnie bardziej denerwujący. Amerykanin starał się powstrzymywać od komentarzy na temat postępków Burtona, z pewnością dlatego, że nie chciał go rozgniewać. Zawsze bardzo się starał, by nikogo nie rozgniewać. Ale nieświadomie robił przy tym wszystko, by ludzi do siebie zrazić. Swoją niechęć okazywał na wiele subtelnych oraz kilka mało subtelnych sposobów. Burtonowi się to nie podobało. Sam był bezpośredni i wcale nie obawiał się gniewu innych. Być może, jak zauważył Frigate, zbytnio dążył do konfrontacji.

Pewnego wieczora, kiedy siedzieli przy ognisku pod kamieniem obfitości, Frigate zaczął opowiadać o Karaczi. Ta wioska, która stała się później stolicą Pakistanu, państwa stworzonego w roku 1947, za czasów Burtona miała ledwie dwa tysiące mieszkańców. W roku 1970 liczba ta wzrosła do dwóch milionów. Potem Frigate zapytał, choć nie bezpośrednio, o raport złożony przez Burtona na ręce jego dowódcy, generała sir Roberta Napiera, na temat męskich domów publicznych w Karaczi. Raport miał być przechowywany wśród tajnych akt Korpusu Indii Wschodnich, lecz został odszukany przez jednego z licznych wrogów Burtona. I choć nie wspominany publicznie , przez całe życie był argumentem przeciwko niemu. Burton przebrał się za Araba, by poczynić obserwacje, których nie zdołałby dokonać żaden Europejczyk. Był dumny, że go nie zdemaskowano, a podjął się tej nieprzyjemnej misji, ponieważ tylko on mógł ją wypełnić i ponieważ jego ukochany dowódca, Napier o to go prosił.

Na pytanie Frigate'a odpowiedział trochę zgryźliwie. Alicja zdenerwowała go wcześniej – ostatnio przychodziło jej to z łatwością – i zastanawiał się, jak ją rozzłościć. Skorzystał więc z okazji. Nie pomijając żadnych szczegółów zaczął opisywać, co się działo w domach publicznych Karaczi. Po krótkiej chwili Ruach wstał i odszedł. Frigate wyglądał, jakby mu było niedobrze, ale został. Wilfreda tarzała się po trawie ze śmiechu. Monat i Kazz zachowali powagę, Gwenafra spała na łodzi, więc nie musiał się liczyć z jej obecnością. Loghu słuchała z fascynacją i jakby lekkim obrzydzeniem.

Alicja, jego główny cel, najpierw zbladła, potem się zaczerwieniła. W końcu wstała.

– Doprawdy, panie Burton – powiedziała – zawsze wiedziałam, że upadł pan nisko. Ale chwalić się tymi... tymi... Jest pan degeneratem godnym najgłębszej pogardy i odrazy. Zresztą nie wierzę w ani jedno pańskie słowo. Nikt nie mógłby się tak zachowywać, a później się tym przechwalać. Próbuje pan dorównać swej reputacji człowieka, który lubi szokować innych nie dbając o własną opinię.

Odwróciła się i zniknęła w ciemności.

– Kiedyś może mi powiesz, ile z tego jest prawdą – odezwał się Frigate. – Dawniej myślałem tak jak ona. Lecz później wyszły na jaw nowe dane o tobie i jeden z twoich biografów przeprowadził psychoanalizę opierając się na twoich tekstach i różnych dokumentach źródłowych.

– Do jakich wniosków doszedł? – spytał z ironią Burton.

– Opowiem ci kiedy indziej, Dick – odparł Frigate. – Dick chuligan – dodał i także odszedł.

Teraz, stojąc przy sterze, patrząc na zalany słońcem pokład, słuchając szumu wody rozcinanej dwoma ostrymi dziobami i trzasków olinowania, zastanawiał się, co ich czeka po drugiej stronie kanionu. Na pewno nie skończy się Rzeka, która ciągnie się chyba bez końca. Może za to zbliża się kres grupy. Już zbyt długo byli razem. Zbyt wiele czasu spędzili na niewielkim pokładzie, nie mając nic do roboty prócz rozmów i pracy przy żaglach. Zaczęli działać sobie na nerwy i to już od dawna. Nawet Wilfreda nie interesowała się nim. Zresztą i on nie starał się o to. Szczerze mówiąc, był nią zmęczony. Nie nienawidził jej i nie życzył niczego złego. Po prostu był zmęczony, a to, że mógł ją mieć, gdy nie mógł mieć Alicji Hargreaves męczyło go jeszcze bardziej.

Lev Ruach trzymał się od niego z daleka i prawie się nie odzywał. Za to częściej kłócił się z Esther na temat swoich przyzwyczajeń żywieniowych, swoich zamyśleń i o to dlaczego w ogóle z nią nie rozmawia?!

Frigate był na niego o coś wściekły. Lecz Frigate, tchórz jeden, nigdy nie przyjdzie i nie powie, o co chodzi, dopóki nie doprowadzi się go do ślepej furii. Loghu była zła i obrażona na Frigate'a, ponieważ był w jej towarzystwie równie ponury jak z innymi. Gniewała się także na Burtona, gdyż odmówił jej, kiedy kilka tygodni temu we dwoje zbierali bambus na wzgórzach. Powiedział „nie" dodając, że nie ma moralnych oporów, by się z nią kochać, ale nigdy nie zdradzi Frigate'a ani nikogo innego z grupy. Loghu odparła, że rzecz nie w tym, że nie kocha Frigate'a; po prostu od czasu do czasu potrzebuje odmiany. Tak jak on.

Alicja oznajmiła, że chyba zrezygnuje z poszukiwania swych bliskich. Na obszarach, które mijali musiało mieszkać około 44.370.000 ludzi i nigdy nie dostrzegła nikogo, kogo by znała z Ziemi. Owszem, widziała parę osób, które omyłkowo brała za swoich znajomych. Przyznawała też, że tylko niewielki procent tych 44.370.000 widziała z bliska, czy nawet z daleka. Ale to bez znaczenia. Wpadała w depresję, siedząc przez cały dzień na tym zapchanym pokładzie, gdzie jedyną rozrywką jest trzymanie steru albo lin, lub otwieranie i zamykanie ust podczas rozmów, zwykle całkiem bezmyślnych.

Burton nie chciał się do tego przyznać, ale bał się, że Alicja odejdzie. Przy najbliższym postoju mogła nagle wstać, wziąć swój cylinder, parę drobiazgów, zejść na brzeg i powiedzieć do widzenia. Zobaczymy się może za jakieś sto lat. Mogła to zrobić. Głównym powodem, który ją zatrzymywał, była Gwenafra. Alicja wychowywała ją na wiktoriańską damę z postwskrzeszeniową moralnością dziecka. Była to niezwykła kombinacja, lecz nie bardziej niezwykła niż wszystko, co działo się nad Rzeką.

Burton również miał już dość tej wiecznej wędrówki małym stateczkiem. Chciałby znaleźć jakąś gościnną okolicę i osiąść tam, wypocząć, rozejrzeć się, włączyć w miejscowe życie, znów przyzwyczaić do lądu, pozwolić, by pęd, gnający go wciąż dalej i dalej na nowo nabrał siły. Lecz chciał tego wszystkiego tylko z Alicją żyjącą z nim w jednej chacie.

– Szczęście człowieka, który siedzi na miejscu nie zbliża się – mruknął do siebie. Musi coś przedsięwziąć w sprawie Alicji; zbyt długo już był dżentelmenem. Zacznie ją oblegać, weźmie ją szturmem. Zawsze był agresywny w miłości; dopiero po ślubie przyzwyczaił się, że nie on kocha, ale jego kochają. Lecz stare przyzwyczajenia i dawne odruchy wciąż gdzieś w nim tkwiły. Był doświadczonym starcem w młodym ciele.

„Hadżi" wpłynął w mroczny, burzliwy kanał; błękitno-czarne skalne ściany wznosiły się po obu stronach. Łódź skręciła i rozległe jezioro zniknęło w tyle. Wszyscy rzucili się do lin, gdy Burton wykonywał zwrot za zwrotem na ćwierćmilowym pasie wody, gdzie silny przeciwny prąd podnosił wysokie fale. Pokład wznosił się, opadał i wychylał na boki, kiedy ostro zmieniali kurs. Często znajdowali się o kilka stóp od skał, o które rozbijały się fale. Lecz Burton kierował łodzią już tak długo, że stał się jej częścią, a jego załoga pływała z nim od tak dawna, że potrafiła przewidzieć rozkazy, choć nikt nie wykonywał ich za wcześnie.

Przejście kanionu zajęło im trzydzieści minut. Niektórych trochę przestraszyło – Frigate i Ruach zdenerwowali się na pewno – lecz także podniosło wszystkich na duchu. Nuda i posępny nastrój zniknęły, przynajmniej na chwilę.

„Hadżi" wypłynął na zalane słonecznym blaskiem jezioro. Miało ono około czterech mil szerokości i ciągnęło się jak daleko sięgali spojrzeniem. Góry cofnęły się nagle, równina na obu brzegach znów była szeroka na milę, jak zwykle.

W polu widzenia znajdowało się około pięćdziesięciu łodzi, od sosnowych dłubanek do bambusowych dwumasztowców. Większość była chyba zajęta połowem. Po lewej, jakąś milę od katamaranu, stał jeden

Przejdźmy do bardziej konkretnych spraw. Powiedzcie, zmieniliście zdanie? Jesteście gotowi się do mnie przyłączyć?

Burton spojrzał na niego spod oka.

– Nie będę służył pod rozkazami człowieka, który gwałci kobiety – oświadczył. – Co więcej, szanuję Izraelitów. Wolę raczej być niewolnikiem wraz z nimi niż wolnym człowiekiem przy tobie.

Göring zmarszczył brwi.

– Bardzo dobrze. Spodziewałem się tego. Miałem jednak nadzieję... cóż, mam kłopoty z Rzymianinem. Jeśli postawi na swoim, sami zobaczycie, jaki łaskawy byłem dla was, niewolników. Nie znacie go. Tylko moja interwencja sprawia, że każdego wieczoru któryś z was nie jest torturowany na śmierć dla jego rozrywki.

W południe Burtona i Frigate'a zaprowadzono do pracy na wzgórza. Żaden z nich nie zdołał porozmawiać z Targoffem czy kimś z jego grupy, gdyż praca nie pozwalała na bezpośredni kontakt. Otwarte próby rozmowy groziły chłostą.

Wieczorem, po powrocie do zagrody, Burton opowiedział, co im się przydarzyło.

– Targoff prawdopodobnie nie uwierzy w tę historię. Pomyśli, że jesteśmy szpiegami. Nawet jeśli nie będzie pewny, to nie może ryzykować. Będą kłopoty. Szkoda, że tak się stało. Ucieczkę trzeba będzie przełożyć.

Z początku nic niezwykłego się nie działo. Izraelczycy odwracali się, kiedy Burton albo Frigate próbowali z nimi rozmawiać. O zmierzchu pojawiły się gwiazdy i zagrodę zalało światło tak mocne, jak podczas pełni księżyca na Ziemi.

Więźniowie nie wychodzili na zewnątrz, ale cichymi głosami szeptali coś między sobą. Mimo ogromnego zmęczenia nikt nie mógł zasnąć. Strażnicy musieli wyczuwać napięcie, choć nie mogli widzieć ani słyszeć ludzi w barakach. Chodzili tam i z powrotem po galeryjce, rozmawiali w grupach, przy świetle gwiazd i żywicznych pochodni próbowali zobaczyć, co się dzieje na dole.

– Targoff nie zrobi nic, dopóki nie zacznie padać – stwierdził Burton. Wydał rozkazy. Frigate miał czuwać pierwszy. Spruce drugi, on sam na końcu. Potem położył się na stosie liści i zasnął, nie zważając na szepty wokół siebie.

Zdawało mu się, że Spruce zbudził go, ledwo zdążył zamknąć oczy. Wstał szybko, ziewnął i przeciągnął się. Pozostali nie spali. Po paru minutach zebrały się pierwsze chmury. Po dziesięciu zakryły gwiazdy. Od gór dobiegł huk gromu, pierwsza błyskawica rozświetliła niebo.

W pobliżu uderzył piorun. W krótkim błysku Burton dostrzegł, że wartownicy kulą się pod dachami budek strażniczych, okryci ręcznikami dla ochrony przed ulewą i zimnem. Poczołgał się do sąsiedniego baraku. Targoff stał przy wejściu. Burton wstał.

– Czy plan jest ciągle aktualny? – zapytał.

– Sam chyba wiesz – warknął Targoff. – Ty Judaszu!

Zrobił krok naprzód; dziesięciu ludzi stanęło za nim. Burton nie czekał; zaatakował. Lecz kiedy ruszał, usłyszał jakiś dziwny dźwięk. Odwrócił się i wyjrzał na zewnątrz. Błyskawica oświetliła strażnika, leżącego twarzą ku ziemi na trawie pod galeryjką.

Gdy Burton odwrócił się do niego plecami, Targoff opuścił pięści.

– Co się tam dzieje? – zapytał.

– Zaczekaj – rzucił Burton. Nie wiedział więcej niż tamten, ale każde niespodziewane zdarzenie mogło obrócić się na jego korzyść.

W krótkim błysku zobaczył na drewnianej galeryjce krępą sylwetkę Kazza. Zamierzał się kamienną siekierą na grupę strażników, skulonych w kącie utworzonym przez stykające się dwie ściany palisady. Następny błysk: strażnicy leżeli. Jeszcze jeden: następny wartownik spadł na ziemię, dwaj pozostali uciekali w przeciwne strony.

W świetle kolejnej błyskawicy Burton dostrzegł, że reszta strażników zorientowała się, że coś się dzieje. Biegali galeryjką krzycząc i wymachując włóczniami.

Kazz nie zwracał na nich uwagi. Opuścił na dół bambusową drabinę i zrzucił pęk dzid. Przy kolejnym błysku Burton zobaczył, jak rusza w stronę najbliższych strażników. Pochwycił włócznię i niemal pędem wbiegł na drabinę. Inni, nie wyłączając Izraelczyków, podążyli za nim.

Göring nabił fajkę tytoniem.

– Najwyraźniej wiesz o mnie wiele – stwierdził łagodnie. – Chyba powinno mi to pochlebiać. Przynajmniej nie zostałem zapomniany.

– Ogólnie rzecz biorąc, zostałeś – odparł Frigate. – Choć istotnie dość długo przetrwała twoja reputacja ponurego błazna, nieudacznika i lizusa.

Burton był zaskoczony. Nie spodziewał się, że Amerykanin potrafi się postawić komuś, kto miał władzę nad jego życiem i śmiercią, i kto poprzednio tak ostro go potraktował. Cóż, może Frigate liczył na to, że go zabija.

Liczył też pewnie na ciekawość Göringa.

– Mógłbyś to wyjaśnić? – spytał Niemiec. – Nie to, co powiedziałeś o mojej reputacji. Każdy wielki człowiek wie, że bezmózgie masy nie zrozumieja go i spróbuja oczernić. Wytłumacz, czemu nie jestem tą samą osoba.

Frigate uśmiechnął się lekko.

– Jesteś produktem, hybrydą zapisu i konwertora materii – energii. Zostałeś stworzony ze wszelkimi wspomnieniami martwego człowieka, Hermannie Göring, ze skopiowaną każdą komórka jego ciała. Masz wszystko, co on miał. Więc myślisz, że jesteś Hermannem Göringiem. Ale nie jesteś! Jesteś kopią i niczym więcej. Oryginalny Hermann Göring jest tylko molekułami, zaabsorbowanymi przez glebę i powietrze, potem przez rośliny i rozum ciała zwierząt i ludzi, a następnie wydalonymi jako ekskrementy, und so weiter! A ty, który siedzisz tu przede mną, nie jesteś oryginałem, jak nie jest oryginalnym głosem zapis na płycie czy taśmie, wibracje wytwarzane przez ludzkie usta, wychwytywane i przetwarzane przez elektroniczne urządzenia, po czym odtwarzane na nowo.

Burton zrozumiał, o co chodzi, gdyż w 1888 roku w Paryżu widział fonograf Edisona. Teorie Frigate'a rozwścieczyły go równie mocno, jakby dostał od Amerykanina w twarz.

Szeroko otwarte oczy Göringa i jego poczerwieniała twarz świadczyły, że on także poczuł się obrażony aż do głębi swego jestestwa. Przez chwilę nie mógł wydobyć głosu.

– Dlaczego te istoty miałyby się męczyć tylko po to, żeby wyprodukować kopie? – zapytał w końcu.

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami Frigate.

Göring poderwał się z krzesła i wyciągnął w stronę Amerykanina cybuch fajki.

– Kłamiesz! – ryknął po niemiecku. – Kłamiesz! Scheisshund!

Frigate drgnął, jakby spodziewał się kolejnego ciosu w nerki. Odezwał się jednak spokojnie.

– Na pewno mam rację. Naturalnie, możesz nie wierzyć. Nie potrafię niczego udowodnić. I świetnie rozumiem, co czujesz. Wiem, że jestem Peterem Jairusem Frigate, urodzonym w 1918, zmarłym w 2008. Lecz muszę wierzyć, gdyż tak mówi mi logika, że naprawdę jestem tylko istotą, posiadającą wspomnienia tamtego Frigate'a, który nigdy nie powstanie z martwych. W pewnym sensie jestem synem tamtego człowieka, który nie może zaistnieć na nowo. Nie krwią z jego krwi i kością z jego kości, ale myślą z jego myśli. Nie jestem człowiekiem zrodzonym z kobiety na zaginionej planecie Ziemi. Jestem produktem wiedzy i maszyny. Chyba, że...

– Co? Chyba, że co? – spytał Göring.

– Chyba, że istnieje pewna jakość, związana z ludzkim ciałem, jakość, która jest istotą ludzką. Rozumiecie, ona zawiera wszystko co sprawia, że osobnik jest tym, czym jest, a kiedy ciało ulega zniszczeniu, owa jakość pozostaje. Tak więc w przypadku odtworzenia ta jakość, magazynująca samą istotę człowieka, może być na powrót związana z ciałem. I będzie zapamiętywać wszystko, czego ciało doświadcza. W tym wypadku oryginał będzie żył na nowo. Nie będzie tylko kopią.

– Na miłość boską, Peter! – zawołał Burton. – Sugerujesz istnienie duszy?

– Czegoś analogicznego do duszy – kiwnął głową Frigate. – Czegoś, co ludzie pierwotni przeczuwali niewyraźnie i nazywali duszą.

Burton miał ochotę się roześmiać, lecz nie chciał moralnie ani intelektualnie wspierać Göringa, który pierwszy ryknął śmiechem.

– Nawet tutaj – powiedział, gdy się uspokoił – nawet w tym świecie, którego istnienie w oczywisty sposób wynika z nauki, zwolennicy czynników nadnaturalnych ciągle muszą próbować. Ale dość o tym.

z wszechobecnych kamieni obfitości, a przy nim widać było jakieś ciemnoskóre postacie. Za nimi, na równinie i między wzgórzami, stały typowe bambusowe chaty w stylu, który Frigate nazywał architekturą neopolinezyjska, a czasami postmortem nadbrzeżna.

Po prawej stronie, mniej więcej pół mili od wyjścia z kanionu, stał duży fort z drewnianych bali. Przed nim zbudowano dziesięć drewnianych kei, przy których stały najróżniejsze, duże i małe łodzie. Kilka minut po wpłynięciu „Hadżiego" na jezioro odezwały się bębny. Mogły to być wydrążone pnie drzew, albo naprężona, wygarbowana skóra, rybia lub ludzka. Przed wejściem do fortu zebrał się już spory tłum, lecz jeszcze więcej ludzi wybiegło z bramy i ze stojących dalej od brzegu chat. Wskoczyli do łodzi i natychmiast zaczęli odbijać.

Ciemnoskórzy z lewego brzegu spychali na wodę dłubanki, czółna i jednomasztowe żaglówki. Wyglądało na to, że oba brzegi ścigają się, kto pierwszy dogoni katamaran.

Burton halsował, często robiąc zwroty między łodziami. Bliżej znajdowali się ludzie z prawego brzegu: byli biali i dobrze uzbrojeni, lecz nie próbowali używać łuków. Jeden z nich, stojący na dziobie wojennego czółna z trzydziestką wioślarzy krzyknął po niemiecku, żeby się poddali.

– Nie zrobimy wam krzywdy!

– Przybywamy w pokoju – zawołał Frigate.

– On o tym wie! – burknął Burton. – To oczywiste, że nasza garstka ich nie zaatakuje!

Bębny huczały już po obu stronach Rzeki. Zdawało się, że brzegi roją się od nich. Na pewno pełno tam było uzbrojonych mężczyzn. Na wodzie pojawiło się więcej ścigających ich łodzi. Z tyłu te, które wypłynęły pierwsze, kontynuowały pościg, lecz coraz bardziej traciły dystans.

Burton wahał się. Czy powinien zawrócić, przepłynąć kanał i wrócić tu nocą? Byłby to niebezpieczny manewr, gdyż wysokie na 20000 stóp skalne ściany zasłoniłyby światła gwiazd i mgławic. Musiałby żeglować na ślepo.

W dodatku katamaran był chyba szybszy od wszystkich łodzi nieprzyjaciela. Na razie. W dali widać było jednak zbliżające się żagle. Tamci mieli za sobą wiatr i prąd. Jeśli uda się ich ominąć, czy wytrzymają tempo, kiedy będą musieli halsować?

Wszystkie łodzie, które dotąd widział, były pełne ludzi, co zmniejszało ich szybkość. Nawet statek, mający te same możliwości co „Hadżi" nie mógłby się z nim ścigać, gdyby tłoczyli się na nim wojownicy.

Postanowił płynąć dalej.

Dziesięć minut później, na ostrym kursie, drogę przecięło im kolejne czółno. Miało szesnastu wioślarzy z każdej burty i niewielkie pokłady na dziobie i rufie. Na każdym z nich stało po dwóch ludzi i katapulta na drewnianym postumencie. Dwójka na dziobie włożyła w uchwyt jakiś okrągły, dymiący przedmiot, jeden z nich zwolnił zaczep i ramię machiny huknęło o belkę oporową. Czółno zadrżało, a wioślarze na chwilę złamali rytm. Pocisk poleciał wysokim łukiem, a gdy znalazł się o dwadzieścia stóp przed „Hadżim" i dziesięć nad powierzchnią wody, wybuchł z głośnym hukiem, wypuszczając kłęby czarnego dymu, szybko rozwiewane wiatrem.

Kilka kobiet zaczęło krzyczeć, jakiś mężczyzna zawołał coś głośno. Znaleźli tu siarkę, pomyślał Burton. Inaczej nie mieliby z czego zrobić prochu.

Krzyknął na Loghu i Esther Rodriguez, żeby przejęły ster. Obie były blade, lecz dość spokojne, mimo że żadna z nich nie widziała nigdy bomby.

Gwenafra schowała się do forkasztlu. Alicja stanęła na dziobie z cisowym łukiem w ręku i kołczanem pełnym strzał na plecach. Jej jasna cera kontrastowała mocno z czerwoną szminką i zielonymi cieniami na powiekach. Przeżyła już co najmniej dziesięć bitew na wodzie i stała nieruchomo jak kredowe urwisko Dover. Była najlepszym łucznikiem w grupie. Burton świetnie strzelał z broni palnej, lecz nie miał doświadczenia z łukiem. Kazz potrafił napiąć łuk z rogów rzecznego smoka jeszcze mocniej niż Burton, lecz jego celność wołała o pomstę do nieba. Frigate twierdził, że nigdy się nie poprawi; jak większość osobników prehistorycznych nie miał wyrobionego poczucia perspektywy.

Obsługa katapulty nie ładowała następnej bomby. Najwyraźniej pocisk miał być tylko ostrzeżeniem i rozkazem zatrzymania się. Burton zdecydowany był w żadnym wypadku nie usłuchać. Goniący mogli już kilkakrotnie naszpikować ich strzałami. Nie zrobili tego, a więc chcieli schwytać ich żywcem.

Czółno przepłynęło tuż za rufą katamaranu. Woda pieniła się przed jego dziobem, wiosła lśniły w słoń-

cu, a wioślarze rytmicznie stękali z wysiłku. Łódź zakołysała się, gdy dwaj mężczyźni równocześnie skoczyli z przedniej platformy. Jeden wpadł do wody. Tylko końcami palców zdołał dotknąć „Hadżiego". Drugi wylądował na kolanach na samej krawędzi pokładu. Trzymał w zębach bambusowy nóż; w dwóch pochwach u pasa miał niedużą kamienną siekierę i sztylet z rogu. Przez sekundę, gdy próbował chwycić za mokre deski i podciągnąć się, patrzył prosto w oczy Burtona. Miał złote włosy, jasnoniebieskie oczy i klasycznie piękną twarz. Zamierzał chyba zranić jednego czy dwóch mężczyzn na „Hadżim" i zeskoczyć do wody, może z którąś z kobiet. A w czasie, gdy oni będą z nim walczyć, jego towarzysze podpłyną, zatrzymają katamaran, wskoczą na pokład i to będzie koniec.

Jego plan nie miał wielkich szans powodzenia, a on sam prawdopodobnie o tym wiedział, lecz nie przejmował się. Większość ludzi ciągle bała się śmierci, gdyż lęk tkwił głęboko w komórkach ich ciał. Reagowali instynktownie. Ale niektórzy potrafili przezwyciężyć strach, a inni nigdy go nie odczuwali.

Burton podszedł i siekierą uderzył napastnika w skroń. Tamten otworzył usta i runął na wznak; bambusowy nóż upadł na pokład. Burton podniósł nóż, rozwiązał zabitemu pas i nogą zepchnął w wodę. Z zawracającego właśnie czółna rozległ się głośny ryk. Burton zobaczył, że brzeg zbliża się szybko. Nakazał zwrot. Bom przeleciał nad pokładem; płynęli w poprzek Rzeki a tuzin łodzi pędziło w ich stronę: trzy dłubanki niosące po czterech ludzi, cztery wielkie czółna i pięć dwumasztowych szkunerów. Te ostatnie miały liczne załogi i katapulty na pokładach.

Na środku Rzeki Burton zarządził kolejny zwrot. Manewr pozwolił żaglowcom zbliżyć się niebezpiecznie, ale Burton liczył się z tym. „Hadżi" wpłynął pomiędzy dwa szkunery. Były tak blisko, że wyraźnie widział twarze ludzi na pokładach. Większość z nich miała europejskie rysy, choć cerą różnili się znacznie od siebie.

– Nie zrobimy wam krzywdy, jeśli się poddacie, ale będziecie cierpieć tortury, jeśli spróbujecie walczyć dalej! – krzyknął po niemiecku kapitan łodzi z lewej burty. Mówił z silnym akcentem, chyba węgierskim.

Zamiast odpowiedzi Alicja i Burton wystrzelili z łuków. Strzała Alicji minęła dowódcę, ale trafiła sternika, który zatoczył się i wypadł przez reling. Łódź natychmiast zeszła z kursu. Kapitan skoczył do steru i druga strzała Burtona trafiła go nad kolanem.

Oba szkunery zderzyły się z trzaskiem i rozdzieliły. Pękały drewniane burty, ludzie krzyczeli, przewracali się i wypadali do wody. Jeśli nawet oba statki utrzymają się na powierzchni, będą wyłączone z pościgu.

Tuż przed zderzeniem łucznicy zdążyli wystrzelić tuzin płonących strzał. Do drzewców przywiązano pęki suchej trawy nasączonej terpentyną z sosnowej żywicy. Wbiły się w żagiel katamaranu. Wiatr rozdmuchiwał ogień i płomienie rozprzestrzeniały się szybko.

Burton przejął ster od kobiet i wydał rozkazy. Wszyscy zanurzyli w Rzece wiadra z wypalanej gliny i otwarte rogi obfitości, po czym chlusnęli wodą na żagiel. Loghu, która umiała wspinać się jak małpa, wdrapała się na maszt z liną na ramieniu. Opuściła ją na dół i zaczęła wciągać pojemniki z wodą.

Pozostałe żaglowce i czółna zbliżyły się niebezpiecznie. Jedno z nich miało wkrótce przeciąć kurs „Hadżiego". Burton zrobił zwrot, niezbyt udany, gdyż Loghu obciążała maszt. Bom szarpnął gwałtownie, gdy mężczyźni nie zdołali utrzymać szotów. Kolejne strzały wbiły się w żagiel, podsycając ogień. Kilka stuknęło o pokład. Burton pomyślał, że może przeciwnicy zmienili zdanie i postanowili ich zabić, lecz były to tylko strzały, które chybiły celu.

„Hadżi" wpłynął między kolejne dwa szkunery. Ich dowódcy i marynarze uśmiechali się szeroko. Być może nudzili się już tak długo, że z radością powitali ten pościg. Mimo to załogi kryły się za relingami, pozostawiając tylko oficerów, sterników i łuczników odsłoniętych na strzały uciekających. Brzęknęły cięciwy i ciemne smugi o czerwonych głowicach i błękitnych dymnych ogonach przebiły żagiel w dwudziestu miejscach. Kilka z nich trafiło w maszt i bom, jedna przeleciała kilka cali od głowy Burtona.

Esther chwyciła ster, a Alicja, Ruach, Kazz, de Greystock i Wilfreda wystrzelili z łuków. Loghu znieruchomiała na maszcie czekając, aż ustanie deszcz wrogich pocisków. Z pięciu strzał trzy trafiły w cel, raniąc kapitana, sternika i jednego z żeglarzy, który w złym momencie wyjrzał zza osłony.

Nagle Esther krzyknęła i Burton obejrzał się szybko. Zza szkunera wypłynęło duże czółno i znalazło się kilka stóp przed dziobem „Hadżiego". Zderzenie było nieuniknione. Dwaj ludzie z platformy skoczyli do wody, wioślarze wstali lub próbowali to zrobić, by wyskoczyć za burtę. Katamaran uderzył w czółno, tuż

wiek chce do czegoś dojść, musi nadążać za *Zeitgeistem*. Lecz dość już o Żydach. Nawet tutaj nie można się od nich uwolnić.

Paplał przez chwilę, potem zadał Frigate'owi masę pytań na temat losów swoich współczesnych i historii powojennych Niemiec.

– Gdybyście wy, Amerykanie, mieli choć odrobinę politycznego rozsądku, wypowiedzielibyście wojnę Rosji zaraz po naszej kapitulacji. Walczylibyśmy przeciwko bolszewikom razem z wami.

Frigate milczał. Göring opowiedział kilka „zabawnych", bardzo nieprzyzwoitych historyjek, po czym poprosił Burtona, żeby streścił swoje niezwykłe doświadczenie, jakie przeżył przed zmartwychwstaniem w dolinie Rzeki.

Burton był zaskoczony. Czy Göring dowiedział się o tym od Kazza, czy też wśród niewolników znalazł się informator?

Opowiedział ze szczegółami o wszystkim, co się zdarzyło od chwili, kiedy otworzył oczy w tamtym miejscu pełnym unoszących się w powietrzu ciał, do chwili kiedy człowiek w powietrznym canoe wymierzył w niego metalową rurkę.

– Monat, ten nieziemiec, ma teorię, że jakieś istoty – nazwijmy je Kimkolwiek albo X-ami – obserwowały ludzi od chwili, gdy przestali być małpami. Przez co najmniej dwa miliony lat. Te nadistoty zapisały w jakiś sposób każdego człowieka, jaki kiedykolwiek żył, zapewne od chwili poczęcia aż do śmierci. To oszałamiająca idea, ale nie bardziej niż wskrzeszenie całej ludzkości i przebudowa tej planety w jedną Dolinę Rzeki. Zapisy mogły być dokonane za życia obiektów. Możliwe, że owe nadistoty wychwyciły wibracje z przeszłości, tak jak my, na Ziemi, widzimy światło gwiazd, wysłane tysiące lat temu. Monat skłania się ku drugiej teorii. Nie wierzy w podróże w czasie, nawet w niewielkim zakresie. Wierzy, że X-owie zmagazynowali te zapisy. Jak – nie ma pojęcia. Lecz ta planeta została przebudowana specjalnie dla nas. Najwyraźniej jest to jeden wielki Świat Rzeki. Podczas naszej podróży rozmawialiśmy z dziesiątkami ludzi, a ich opowieści pozwalają stwierdzić bez żadnych wątpliwości, że przybyli z odległych terenów, z całej planety. Ktoś był gdzieś daleko na półkuli północnej, ktoś inny na południowej. Wszystkie ich opisy złożone razem tworzyły obraz świata, który przerobiono na jedną meandrującą Dolinę Rzeki.

Ludzie, z którymi rozmawialiśmy, zostali zabici lub zginęli w wypadkach i zmartwychwstali ponownie na terenach, przez które przepływaliśmy. Monat uważa, że proces zapisu trwa nadal dla wszystkich wskrzeszonych. Kiedy jeden z nas umiera po raz drugi, aktualny zapis umieszczany jest w jakimś miejscu – może pod powierzchnią planety – i wgrany do konwertorów materii i energii. Ciało zostaje odtworzone w stanie, w jakim było w chwili śmierci, po czym urządzenia odmładzające odbudowują je. Prawdopodobnie w tej samej komorze, w której się obudziłem. Potem ciała, znów młode i zdrowe, podlegają zapamiętaniu i zniszczeniu. A zapisy są ponownie odgrywane, tym razem w urządzeniach pod ziemią. I jeszcze raz konwertory energii i materii, używające zapewne ciepła z roztopionego jądra planety jako źródła energii, reprodukują nas na powierzchni, w pobliżu kamieni obfitości. Nie wiem, czemu nikt nie został wskrzeszony w miejscu, w którym umarł. Nie wiem także, dlaczego ogolono nam włosy, ani dlaczego zarost nie chce mi rosnąć, ani czemu mężczyźni są obrzezani, kobiety zaś budzą się jako dziewice. Ani też dlaczego zostaliśmy wskrzeszeni. W jakim celu? Ktokolwiek nas tu umieścił nie pokazał się, żeby cokolwiek wyjaśnić.

– Problem polega na tym – wtrącił Frigate – że n i e jesteśmy t y m i s a m y m i ludźmi, którymi byliśmy na Ziemi. Ja umarłem. Burton umarł. Ty też umarłeś, Hermannie Göring. Wszyscy umarli. I n i e m o ż n a przywrócić nas do życia.

Göring głośno ssał fajkę i spoglądał na Frigate'a.

– Dlaczego nie? – zapytał. – Ja znowu żyję. Chcesz temu zaprzeczyć?

– Tak! Zaprzeczam – w pewnym sensie. T y żyjesz. Ale n i e jesteś Hermannem Göringiem, urodzonym w Sanatorium Marienbad w Rosenheim w Bawarii 12 stycznia 1893 roku. N i e jesteś Hermannem Göringiem, którego ojcem chrzestnym był dr Hermann Eppenstein, Żyd nawrócony na chrześcijaństwo. N i e jesteś Göringiem, który zastąpił von Richthofena po jego śmierci i prowadził swych pilotów przeciwko Aliantom nawet wtedy, gdy wojna się skończyła. N i e jesteś Marszałkiem Rzeszy hitlerowskich Niemiec a n i uciekinierem aresztowanym przez porucznika Jerome N. Shapiro. Eppenstein i Shapiro, ha! I n i e jesteś Hermannem Göringiem, który odebrał sobie życie połykając cyjanek potasu podczas procesu o zbrodnie przeciwko ludzkości!

Kreyscharftem. Musiał powstrzymać te bestie lub zginąć próbując. Późną nocą z baraku, który dzielił z dwudziestoma pięcioma innymi przeczołgał się do chaty Targoffa i obudził go.

– Byłeś pewien, że muszę stanąć po twojej stronie – szepnął. – Kiedy masz zamiar mi zaufać? Ostrzegam cię, że jeśli będziesz nadal zwlekał, podniosę bunt z własną grupą i wszystkimi, którzy się do nas przyłączą.

– Ruach opowiedział mi w i ę c e j o tobie – odparł Targoff. – Przedtem nie rozumiałem, o co mu chodzi. Czy Żyd może ufać komuś, kto napisał taką książkę? Czy można wierzyć, że taki człowiek nie zwróci się przeciwko nam, gdy tylko wspólny nieprzyjaciel zostanie pokonany?

Burton otworzył usta, by odpowiedzieć gniewnie i zaraz je zamknął. Gdy się odezwał, jego głos był całkowicie spokojny.

– Przede wszystkim moje czyny na Ziemi wołają głośniej, niż moje drukowane słowa. Byłem przyjacielem i obrońcą wielu Żydów; wielu moich przyjaciół było Żydami.

– Ostatnie zdanie jest zwykle wstępem do ataku na Żydów – zauważył Targoff.

– Być może. Ale jeśli nawet to, co mówi Ruach jest prawdą, to Richard Burton, który stoi przed tobą w tej dolinie nie jest Burtonem, który żył na Ziemi. Uważam, że zdobyte tu doświadczenia zmieniły każdego. Jeśli ktoś się nie zmienił, to jest niezdolny do zmian. Lepiej byłoby dla niego, gdyby umarł. Wiele się nauczyłem przez czterysta siedemdziesiąt sześć dni, jakie spędziłem na Rzece. Potrafię zmienić zdanie. Słuchałem Ruacha i Frigate'a. Kłóciłem się z nimi często i gorąco. I chociaż wtedy nie chciałem tego przyznać, myślałem wiele o tym, co mi powiedzieli.

– Nienawiść do Żydów jest czymś, co kształtuje się od dziecka – odparł Targoff. – Co staje się częścią systemu nerwowego. Żaden akt woli nie zdoła jej usunąć, chyba że jest osadzona bardzo płytko, albo wola jest niezwykłę silna. Dzwoni dzwonek i pies Pawłowa ślini się. Pada słowo Ż y d i system nerwowy rusza do szturmu na cytadelę umysłu goja. Tak samo, jak słowo A r a b szturmuje mój umysł. Jednak ja mam rzeczywiste podstawy, by nienawidzieć wszystkich Arabów.

– Dość długo już prosiłem – oświadczył Burton. – Albo mnie przyjmiesz, albo mnie odrzucisz. W każdym przypadku wiesz, co zrobię.

– Przyjmę – rzekł Targoff. – Jeżeli ty potrafisz zmienić poglądy, to ja także potrafię. Pracowałem z tobą i jadłem z tobą chleb. Chcę wierzyć, że umiem oceniać charaktery. Powiedz, gdybyś ty miał to zaplanować, co byś ty zrobił?

Słuchał uważnie. Kiedy Burton skończył, pokiwał głową.

– Bardzo podobnie do mojego planu. A teraz...

Rozdział 16

Następnego dnia, zaraz po śniadaniu, kilku strażników przyszło do Burtona i Frigate'a. Targoff spoglądał na Burtona ponuro, ten zaś wiedział, o czym myśli były komandor. Nie nie mógł na to poradzić, mógł tylko pomaszerować do „pałacu". Göring siedział w dużym, drewnianym fotelu i palił fajkę. Poprosił, by usiedli i poczęstował ich cygarami i winem.

– Co jakiś czas – wyjaśnił – lubię trochę się odprężyć i porozmawiać z kimś poza moimi kolegami, którzy nie są szczególnie błyskotliwi. Interesuje mnie szczególnie rozmowa z tymi, którzy żyli po mojej śmierci, a także z ludźmi swego czasu sławnymi. Jak dotąd nie mam ich zbyt wielu, ani jednych, ani drugich.

– Po tobie żyło wielu izraelskich więźniów – zauważył Frigate.

– Ach, Żydzi! – Göring machnął fajką. – To właśnie stwarza problem. Za dobrze mnie znają. Są ponurzy, kiedy próbuję z nimi rozmawiać i zbyt wielu chciało już mnie zabić, żebym mógł się czuć przy nich swobodnie. Zresztą nie mam nic przeciwko nim. Nie przepadam za nimi, ale wielu moich przyjaciół było Żydami...

Burton poczerwieniał.

Göring possał fajkę i mówił dalej.

– Führer był wielkim człowiekiem, ale czasem zachowywał się jak idiota. Ten jego stosunek do Żydów! Osobiście mniej się tym przejmowałem. Niemcy w moich czasach były jednak antyżydowskie, a jeżeli czło-

za dziobem, przełamał je i wywrócił. Cała załoga znalazła się w wodzie. „Hadżim" szarpnęło mocno; de Greystock spadł z pokładu, Burton przejechał po deskach, ścierając skórę z piersi, kolan i twarzy.

Wstrząs oderwał Esther od wiosła sterowego. Przetoczyła się po pokładzie, uderzyła o róg forkasztlu i znieruchomiała.

Burton spojrzał w górę. Żagiel płonął i nie było nadziei, by dało się go uratować. Loghu zniknęła, zapewne nie zdołała utrzymać się przy wstrząsie. Kiedy wstał, zobaczył ją i Greystocka, jak płyną w stronę „Hadżiego". W wodzie wokół nich pełno było marynarzy, którzy wypadli z czółna. Sądząc po wrzaskach, niewielu z nich umiało pływać.

Burton polecił mężczyznom wciągnąć na pokład wracającą dwójkę, a sam obejrzał uszkodzenia. Oba dzioby wąskich kadłubów rozpadły się przy zderzeniu, woda lała się do środka, wokół kłębił się dym z płonącego żagla; Alicja i Gwenafra kaszlały głośno.

Od północy szybko zbliżało się kolejne czółno; dwa szkunery żeglowały w ich stronę ostrym kursem.

Mogli walczyć i poranić wielu nieprzyjaciół, próbujących wziąć ich żywcem. Mogli też uciekać wpław. Tak czy tak, z pewnością zostaną schwytani.

Loghu i de Greystock weszli na pokład. Frigate zameldował, że Esther wciąż jest nieprzytomna. Ruach zbadał jej puls i rozsunął powieki, po czym wrócił do Burtona.

– Żyje, ale straciła przytomność na dłużej.

– Wy, kobiety, wiecie, co was czeka – powiedział Burton. – Naturalnie, decyzja należy do was, ale radziłbym zanurkować jak najgłębiej i mocno odetchnąć wodą. Jutro zbudzicie się jak nowe.

Gwenafra wyszła z forkasztlu i objęła go w pasie. Nie płakała, lecz była bardzo przestraszona. Przytulił ją mocno.

– Alicjo! – zawołał. – Zabierz ją ze sobą.

– Gdzie? – Alicja spoglądała na przemian to na zbliżające się czółno, to na niego. Zakaszlała, gdy owionął ją kłąb dymu i przeszła na dziób, stając pod wiatr.

– Na dół – wskazał ręką Rzekę.

– Nie mogę.

– Nie chcesz chyba, żeby ją dostali. Jest małą dziewczynką, ale to ich nie powstrzyma.

Alicja wyglądała, jakby miała się załamać i wybuchnąć płaczem. Opanowała się jednak.

– Dobrze – powiedziała. – Samobójstwo tutaj nie jest grzechem. Mam tylko nadzieję...

– Tak? – rzucił krótko. Nie zaciągał; nie było na to czasu. Czółno było już czterdzieści stóp od nich.

– Nowe miejsce może być nie lepsze, albo i gorsze od tego. A Gwenafra zbudzi się całkiem sama. Wiesz, jak niewielkie są szanse na ponowne wskrzeszenie razem.

– Nic na to nie poradzimy.

Zacisnęła usta, potem otworzyła je i rzekła:

– Będę walczyć do ostatniej chwili. Potem...

– Może być za późno.

Podniósł łuk i wyjął strzałę z kołczana. De Greystock stracił swój, więc złapał broń Kazza. Monat trzymał łuk Esther, gdyż także zgubił własny. Neandertalczyk włożył kamień w procę i zaczął go rozkręcać. Lev także przygotował się do rzutu.

– Odłóżcie broń – krzyknął po niemiecku dowódca czółna. – Nie zrobimy wam krzywdy.

W sekundę później runął z pokładu pomiędzy wioślarzy – strzała Alicji trafiła go w pierś. Jeszcze jedna strzała, zapewne de Greystocka, strąciła z platformy drugiego mężczyznę. Kamień trafił w ramię jednego z wioślarzy. Przewrócił się krzycząc głośno. Drugi kamień odbił się od głowy innego, który wypuścił wiosło.

Czółno zbliżało się ciągle. Ludzie na tylnej platformie popędzali załogę do chwili, gdy obaj runęli trafieni strzałami.

Burton obejrzał się. Oba szkunery zrzucały żagle. Najwyraźniej miały zamiar z rozpędu podpłynąć tak blisko, by marynarze zdołali zarzucić haki. Lecz jeśli zbliżą się za bardzo, mogą zająć się ogniem.

Dziób czółna huknął o burtę „Hadżiego". Z jego załogi czternaście osób było martwych lub zbyt ciężko poranionych, by brać udział w walce. Tuż przed zderzeniem napastnicy puścili wiosła i podnieśli w górę

małe, okrągłe skórzane tarcze. Mimo to dwie strzały przebiły osłonę i utkwiły w ramionach ludzi. Nadal jednak stosunek sił wynosił dwudziestu mężczyzn przeciwko sześciu, pięciu kobietom i dziecku.

Jednym z nich był jednak wysoki na pięć stóp, owłosiony osobnik o straszliwej sile, trzymający w ręku wielką kamienną siekierę. Kazz wyskoczył w górę tuż przed zderzeniem i wylądował w czółnie, gdy tylko się zatrzymało. Zgruchotał toporem dwie czaszki i wbił go w dno łodzi. Woda chlusnęła do środka. De Greystock skoczył Kazzowi na pomoc wykrzykując coś w swym średniowiecznym dialekcie z Cumberlandu. W jednym ręku ściskał sztylet, w drugim potężną dębową maczugę nabijaną kamieniami.

Pozostali na „Hadżim" ciągle strzelali z łuków. Nagle zobaczyli, że de Greystock i Kazz wspinają się z powrotem na pokład, a czółno tonie wraz z zabitymi, konającymi i przerażonymi wioślarzami. Wielu z nich utonęło; kilku odpłynęło lub próbowało wdrapać się na katamaran. Ci runęli w wodę z odrąbanymi lub zmiażdżonymi palcami.

Coś uderzyło o pokład obok Burtona, a w chwilę później coś innego opadło mu na ramiona. Odwrócił się błyskawicznie i odciął linę, która zaciskała mu się już na szyi. Odskoczył przed drugą i szarpnął potężnie trzecią, ściągając przez reling człowieka, który ją rzucił. Tamten wrzasnął i wylądował bokiem na pokładzie „Hadżiego". Burton zmiażdżył mu twarz siekierą.

Napastnicy zeskakiwali już z obu szkunerów, a liny padały jedna za drugą. Dym i płomienie przyczyniały się jeszcze do zamieszania, a załodze katamaranu pomagały bardziej niż atakującym.

Burton krzyknął, by Alicja wzięła Gwenafrę i skakała do Rzeki. Nie mógł jej dostrzec, a po chwili musiał bronić się przed wielkim Murzynem z włócznią. Tamten najwyraźniej zapomniał o rozkazie, by wziąć Burtona żywcem. Uderzał, chcąc zabić. Burton odbił włócznię i z krótkiego zamachu ciął go w szyję. Nim zdołał się odwrócić, poczuł ostry ból w żebrach i w ramieniu. Powalił jeszcze dwóch mężczyzn i znalazł się w wodzie. Spadł między burtami szkunera i „Hadżiego", zanurkował, puścił siekierę i wyrwał z pochwy sztylet. Wypłynął i zobaczył, jak wysoki, kościsty rudzielec oburącz unosi nad głową krzyczącą Gwenafrę i ciska ją daleko w wodę.

Zanurkował znowu, a gdy wypłynął zobaczył twarz dziewczynki o kilka stóp przed sobą. Poszarzała, a jej oczy zmętniały. Potem dostrzegł krew, barwiącą wodę wokół niej. Zniknęła, zanim zdążył podpłynąć. Zanurkował, złapał ją i wyciągnął na powierzchnię. Z pleców sterczał jej sztylet z rybiego rogu.

Wypuścił z rąk ciało. Nie wiedział, dlaczego ten człowiek ją zabił, skoro tak łatwo mógł ją wziąć do niewoli. Może to Alicja wbiła sztylet, a tamten uznał, że dziewczynka jest już właściwie martwa, więc rzucił ją rybom na pożarcie.

Z kłębów dymu wypadł jakiś człowiek, a zaraz za nim drugi. Pierwszy był martwy – miał skręcony kark. Drugi żył jeszcze. Burton zacisnął mu ramię na szyi i wbił sztylet pomiędzy ucho i szczękę. Tamten przestał się szarpać i jego ciało opadło w głębinę.

Z dymu wyskoczył Frigate; twarz i ramiona miał zalane krwią. Ukośnie uderzył o powierzchnię wody i zanurkował. Burton popłynął mu na pomoc. Nie było sensu nawet próbować powrotu na pokład. Był pełen walczących, a zbliżały się następne czółna i dłubanki.

Głowa Frigate'a wynurzyła się z wody. Był blady, przynajmniej tam, gdzie nie krwawił. Burton podpłynął do niego.

– Czy kobiety się wydostały? – zapytał.

Amerykanin pokręcił głową i nagle krzyknął:

– Uważaj!

Burton zgiął się w pół i pionowo zszedł pod wodę. Coś uderzyło go w nogi; płynął w dół, lecz nie potrafił się zmusić, by wciągnąć w płuca wodę, jak zamierzał. Będzie walczył, aż będą musieli go zabić.

Kiedy wypłynął, w wodzie roiło się od ludzi, którzy skoczyli za nim i Frigatem. Półprzytomnego Amerykanina holowano w stronę czółna. Trójka nieprzyjaciół zbliżyła się do Burtona. Dwóch z nich zdążył dosięgnąć sztyletem, lecz potem ktoś z dłubanki wyciągnął rękę z maczugą i uderzył go w głowę.

stowskim i uciekłem. Byłem w obozie rosyjskim i uciekłem. W Izraelu byłem w niewoli u Arabów i uciekłem. Może więc teraz też uda mi się uciec. Ale dokąd? Do kolejnego obozu? Wydaje mi się, że nie mają końca. Człowiek wciąż je buduje i zamyka w nich wiecznego więźnia – Żyda czy kogoś innego. Nawet tutaj, gdzie mogliśmy zacząć od nowa, gdzie wszystkie religie, wszystkie przesądy powinny zostać zmiażdżone pod młotem zmartwychwstania, prawie nic się nie zmieniło.

– Zamknij się – odezwał się mężczyzna siedzący obok Ruacha. Miał rude włosy, tak kędzierzawe, że wydawały się splątane. Twarz z niebieskimi oczyma byłaby przystojna, gdyby nie złamany nos. Był wysoki na sześć stóp i zbudowany jak zapaśnik.

– Jestem Dov Targoff – oświadczył z szorstkim oksfordzkim akcentem. – Były komandor marynarki wojennej Izraela. Proszę nie zwracać uwagi na tego człowieka. To jeden z Żydów starej daty, pesymista i płaczka. Woli skamleć pod murem niż powstać i walczyć jak mężczyzna.

Ruach aż się zakrztusił.

– Bezczelny *sabra*! Walczyłem i zabijałem! Nie jestem płaczką! Co teraz porabiasz, dzielny wojowniku? Czy nie jesteś niewolnikiem, tak jak my wszyscy?

– To stara historia – odezwała się jakaś kobieta, wysoka i ciemnowłosa. Gdyby nie była tak wychudzona, można by ją uznać za piękność. – Stara historia. Walczymy między sobą, a nasi wrogowie zwyciężają. Tak samo walczyliśmy, gdy Tytus oblegał Jeruzalem. Zabiliśmy więcej współbraci niż Rzymian. Tak samo...

Obaj mężczyźni zwrócili się przeciw niej i cała trójka kłóciła się głośno, póki wartownik nie zaczął bić ich kijem.

– Nie wytrzymam tego dłużej – powiedział później Targoff przez opuchnięte wargi. – Już wkrótce... sam zabiję tego strażnika.

– Masz jakiś plan? – zapytał gorączkowo Frigate, lecz Targoff nie odpowiedział.

Krótko przed świtem niewolników obudzono i poprowadzono do kamienia obfitości. Znowu dano im tylko odrobinę jedzenia. Potem, podzieleni na grupy, pomaszerowali do pracy. Burton i Frigate poszli nad północną granicę, gdzie z tysiącem innych harowali ciężko przez cały dzień, nadzy pod palącymi promieniami słońca. Jedyny wypoczynek przysługiwał im w południe, gdy zanieśli swoje rogi obfitości do kamienia i zostali nakarmieni.

Göring zamierzał wybudować mur pomiędzy górami a Rzeką; miał też zamiar postawić drugi mur, biegnący wzdłuż całych dziesięciu mil brzegu rozlewiska i trzeci na jego południowym końcu.

Burton i pozostali musieli kopać głęboki rów i wznosić mur z wykopanej ziemi. Była to ciężka praca, gdyż do dyspozycji mieli tylko kamienne motyki. Korzenie traw tworzyły splątaną gęsto, bardzo wytrzymałą sieć, którą można było przeciąć dopiero wielokrotnie powtarzanymi uderzeniami. Ziemię i korzenie zbierano drewnianymi szpadlami i rzucano na bambusowe sanie. Ludzkie zaprzęgi wciągały je na szczyt muru, gdzie ziemię rozrzucano, czyniąc ten mur jeszcze wyższym i grubszym.

Przed nocą niewolników odprowadzono do zagrody. Większość zasnęła niemal natychmiast, lecz Targoff – rudowłosy Izraelczyk przykucnął obok Burtona.

– Od czasu do czasu docierają tu jakieś plotki – powiedział. – Słyszałem o bitwie, jaką stoczyła twoja załoga. Słyszałem też, że odmówiłeś przyłączenia się do Göringa i tej jego świni.

– A co słyszałeś na temat mojej niesławnej książki? – zapytał Burton.

Targoff uśmiechnął się.

– Nic, dopóki Ruach mi nie opowiedział. Twoje czyny mówią same za siebie. Poza tym Ruach jest bardzo wyczulony na pewne sprawy. Trudno mieć do niego pretensję po tym wszystkim, co przeszedł. Lecz nie wydaje mi się, że zachowałbyś się tak, jak się zachowałeś, gdybyś był taki, jak on twierdzi. Myślę, że jesteś porządnym chłopem, takim, jakiego mi potrzeba. A więc...

Mijały dni ciężkiej pracy i niewielkich racji żywnościowych. Z plotek Burton dowiedział się o losie kobiet. Wilfreda i Fatima trafiły do apartamentów Campbella. Loghu była z Tulliusem. Alicję Göring zatrzymał na tydzień, by potem oddać ją swemu adiutantowi, niejakiemu Mandfredowi von Kreyscharft. Chodziły słuchy, że Göring skarżył się na jej oziębłość i chciał ją podarować swojej ochronie osobistej do zabawy, ale poprosił o nią von Kreyscharft.

Burton cierpiał. Nie mógł znieść podsuwanych mu przez wyobraźnię obrazów Alicji z Göringiem i von

Rany na głowie i ramieniu Frigate'a wymagały szycia, choć przestały krwawić. Plecy i nerki wciąż sprawiały mu ból, lecz nie był już tak straszliwie blady.

– Jesteśmy więc niewolnikami – powiedział. – Dick, wiele pisałeś o instytucji niewolnictwa. Co myślisz o niej teraz?

– To było niewolnictwo W s c h o d u – odparł Burton. – W tutejszym systemie niewolnik nie ma żadnych szans na odzyskanie wolności. Poza nienawiścią nie istnieje też żadne uczucie łączące go z właścicielem. W krajach Wschodu sytuacja była inna. Oczywiście, miała swoje wady, jak każda ludzka idea.

– Jesteś uparty – stwierdził Frigate. – Zauważyłeś, że co najmniej połowa niewolników to Żydzi? W większości z Izraela, z końca dwudziestego wieku. Ta dziewczyna, ta tam, mówiła, że Göring zapoczątkował niewolnictwo rogów obfitości rozniecając na tym obszarze antysemityzm. Naturalnie musiał tu istnieć zanim dało się go rozbudzić. Potem, kiedy razem z Tulliusem dorwał się do władzy, wtrącił w niewolę wielu swoich byłych zwolenników.

– Sytuacja dlatego jest wyjątkowo paskudna – kontynuował po chwili – że Göring, oczywiście relatywnie, nie jest naturalnym antysemitą. Osobiście interweniował u Himmlera, by ratować Żydów. Ale jest czymś nawet gorszym niż urodzony wróg Żydów. Jest oportunistą. Przez Niemcy przetaczała się fala antysemityzmu; żeby do czegoś dojść, trzeba było płynąć z falą. I Göring popłynął z falą, wtedy i teraz. Antysemici, tacy jak Goebbels czy Frank wierzyli w zasady, które wyznawali – perwersyjne i pełne nienawiści, ale jednak zasady. Podczas gdy dla wielkiego, grubego, beztroskiego Göringa Żydzi byli sprawą obojętną. Chciał ich tylko wykorzystać.

– Wszystko znakomicie – odparł Burton – ale co to ma wspólnego ze mną? Ach, rozumiem! Widzę to spojrzenie! Masz zamiar wygłosić mi kazanie.

– Dick, podziwiam cię jak wielu ludzi w życiu. Kocham cię tak, jak normalny mężczyzna może kochać mężczyznę. Jestem szczęśliwy i zachwycony tym, że wyjątkowy traf dał mi zmartwychwstać obok ciebie. Tak samo cieszyłby się Plutarch gdyby mógł spotkać, powiedzmy, Alcybiadesa czy Tezeusza. Nie jestem jednak ślepy. Znam twoje błędy, a było ich wiele, i boleję nad nimi.

– A o który chodzi ci tym razem?

– O tę książkę, „Żyd, Cygan i El Islam". Jak mogłeś to napisać? To dokument nienawiści, pełen kretyńskich bzdur, głupich bajek i przesądów! Rytualne morderstwa, dobre sobie!

– Byłem wściekły z powodu niesprawiedliwości, jakich doznałem w Damaszku. Być usuniętym z konsulatu przez kłamstwa wrogów, wśród których...

– To nie usprawiedliwia głoszenia kłamstw o całej grupie – oświadczył Frigate.

– Kłamstw! Pisałem prawdę!

– Mogłeś myśleć, że to prawda. Ale ja pochodzę z czasów, kiedy z całą pewnością wiedziano, że tak nie jest. Prawdę mówiąc, nawet w twoich czasach nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby w te brednie.

– Fakty mówią – rzekł Burton – że żydowscy lichwiarze z Damaszku pobierali od ubogich tysiąc procent lichwy. Fakty mówią, że ten potworny procent pobierali nie tylko od ludności chrześcijańskiej i muzułmańskiej, ale także od własnego narodu. Fakty mówią, że gdy w Anglii oskarżano mnie o antysemityzm, w Damaszku wielu Żydów wystąpiło w mojej obronie. Jest faktem, że protestowałem u Turków, gdy chcieli sprzedać synagogę damasceńskich Żydów greckiemu biskupowi ortodoksyjnemu, żeby mógł ją przerobić na kościół. Jest faktem, że zmusiłem osiemnastu muzułmanów do zeznawania na korzyść Żydów. Jest faktem, że chroniłem chrześcijańskich misjonarzy przed Druzami. Jest faktem, że ostrzegałem Druzów, że ta gruba i tłusta turecka świnia, Raszyd Pasza, podburza do powstania, żeby móc ich potem zmasakrować. Jest faktem, że kiedy przez oszczerstwa chrześcijańskich misjonarzy i kapłanów, Raszyda Paszy i żydowskich lichwiarzy odwołano mnie ze stanowiska w konsulacie, tysiące chrześcijan, muzułmanów i Żydów wystąpiło w mojej obronie, choć wtedy było już za późno. Jest też faktem, że nie muszę się tłumaczyć przed tobą, ani przed nikim innym.

Jakże to podobne do Frigate'a, żeby wywlec jakąś nieistotną sprawę w tak nieodpowiedniej chwili. Może chciał uwolnić się od poczucia winy obracając lęk i gniew przeciw Burtonowi. A może naprawdę przeżywał to, że jego bohater nie jest ideałem.

Lev Ruach siedział z twarzą skrytą w dłoniach.

– Witaj w obozie koncentracyjnym, Burton – odezwał się głucho podnosząc głowę. – Pierwszy raz masz okazję go zakosztować. Dla mnie to stara historia i od początku mi się nie podobała. Byłem w obozie nazi-



Rozdział 15

Wyprowadzono ich na brzeg koło wielkiej, drewnianej budowli, obok palisady z sosnowych bali. Przy każdym kroku głowa Burtona pulsowała bólem. Bolało go ramię i żebra, ale rany przestały już krwawić. Zbudowana z wielkich pni forteca miała wystające piętro. Wszędzie kręcili się strażnicy. Jeńcy weszli przez bramę zamykaną potężnymi wrotami, potem przeszli sześćdziesiąt stóp porośniętego trawą dziedzińca i kolejną bramę, prowadzącą do hallu o rozmiarach pięćdziesiąt na trzydzieści stóp. Stanęli przed okrągłym, dębowym stołem, wszyscy prócz Frigate'a, zbyt słabego, by utrzymać się na nogach. Chwilę trwało, nim w tym mrocznym, chłodnym wnętrzu potrafili rozróżnić postacie dwóch ludzi, siedzących po drugiej stronie.

Wszędzie pełno było straży uzbrojonej we włócznie, maczugi i kamienne siekiery. Drewniane schody w końcu hallu prowadziły na krużganek z wysokimi poręczami. Stamtąd przyglądały się im kobiety.

Jeden z mężczyzn za stołem był niewysoki, muskularny i mocno owłosiony. Miał czarne, kędzierzawe włosy, orli nos i brunatne oczy, dzikie jak oczy orła. Drugi był wyższy, jasnowłosy, o oczach chyba niebieskich – w półmroku trudno było to określić. Miał szeroką, teutońską twarz, a wystający brzuch i rysujący się wyraźnie drugi podbródek świadczyły o spożywaniu dużych ilości jedzenia i napojów, zabieranych z rogów obfitości niewolników.

Frigate usiadł na ziemi, lecz na znak blondyna podniesiono go na nogi. Amerykanin przyjrzał się mu uważnie.

– Wyglądasz jak młody Hermann Göring – oświadczył.

Natychmiast padł na kolana krzycząc z bólu. Drzewce włóczni trafiło go w nerki.

– Nie bijcie ich, póki nie rozkażę – powiedział blondyn po angielsku, lecz z wyraźnym niemieckim akcentem. – Niech mówią.

Przez kilka minut przyglądał się jeńcom badawczo.

– Tak, jestem Hermann Göring – oznajmił.

– Kto to jest Göring? – spytał Burton.

– Twój przyjaciel wyjaśni ci to później – odparł Niemiec. – Jeżeli będziesz miał jakieś „później". Nie

mam do was pretensji o świetną walkę, jaką stoczyliście. Szanuję tych, którzy potrafią walczyć. Zawsze przyda mi się parę dodatkowych włóczni, zwłaszcza że zabiliście mi sporo ludzi. Proponuję wam wybór. To znaczy wam, mężczyznom. Przyłączcie się do mnie, a będziecie mieli więcej jedzenia, alkoholu, tytoniu i kobiet, niż możecie zapragnąć. Albo zostaniecie moimi niewolnikami.

– Naszymi – wtrącił po angielsku drugi z mężczyzn. – Sapominasz, Hermann, sze mam do nich takie samo prafo jak ty.

Göring uśmiechnął się i parsknął.

– Naturalnie! – powiedział. – Użyłem tylko królewskiego ja, że tak powiem. Bardzo dobrze – naszymi. A więc przysięgniecie, że będziecie nam służyć. Jeżeli przysięgniecie wierność mnie, Hermannowi Göringowi i temu oto Tulliusowi Hostilliusowi, niegdyś władcy starożytnego Rzymu, dokonacie słusznego wyboru.

Burton przyjrzał się uważniej. Czy to możliwe, że ów człowiek był legendarnym rzymskim królem? Władcą Rzymu, gdy ten był tylko małą wioską, otoczoną plemionami Sabinów, Ekwitów i Volsków? Na których z kolei napierali Umbrianie, sami cofający się przed potężnymi Etruskami? Czy naprawdę był to Tullius Hostillius, wojowniczy następca pokojowego Numy Pompiliusza? Niczym nie różnił się od tysięcy mężczyzn, jakich Burton widywał na ulicach Sieny. Lecz jeśli naprawdę był tym, za kogo się podawał, można by go porównać do skrzyni pełnej historycznych i lingwistycznych skarbów. Pochodził prawdopodobnie z Etrusków, więc znał ich język, nie mówiąc już o przedklasycznej łacinie, mowie Sabinów, a może i kampanijskiej grece. Może nawet znał Romulusa, legendarnego założyciela Rzymu. Jakież historie mógłby opowiedzieć!

– A więc? – zapytał Göring.

– Co mielibyśmy robić, gdybyśmy się do was przyłączyli? – zainteresował się Burton.

– Przede wszystkim musiałbym... musielibyśmy... upewnić się, że jesteście ludźmi, jakich nam potrzeba. Innymi słowy ludźmi, którzy bez wahania i natychmiast wykonają każdy nasz rozkaz. Poddamy was maleńkiej próbie.

Wydał polecenie i nim minęła minuta wprowadzono do hallu grupę ludzi. Wszyscy byli wychudzeni i wszyscy okaleczeni.

– Ulegli wypadkom przy pracy w kamieniołomach albo przy budowie murów – wyjaśnił Göring. – Oprócz dwóch, których schwytano przy próbie ucieczki. Ci muszą zostać ukarani. Lecz zginąć powinni wszyscy, gdyż nie są już użyteczni. Nie musisz więc się wzdragać przed ich zabiciem. Zademonstrujesz w ten sposób, jak bardzo jesteś zdecydowany, by nam służyć. Zresztą – dodał – wszyscy są Żydami. Kto by się nimi przejmował?

Campbell, rudzielec, który wrzucił Gwenafrę do Rzeki, podał Burtonowi ciężką, nabijaną kamieniami maczugę. Dwaj strażnicy pochwycili jednego z niewolników i zmusili, by uklęknął. Był to wysoki blondyn o niebieskich oczach i greckim profilu; popatrzył na Göringa z nienawiścią i splunął.

– Jest arogancki jak cała jego rasa – roześmiał się Niemiec. – Gdybym chciał, mógłbym zmienić go w drżącą, wrzeszczącą masę mięsa, która żebrze o śmierć. Nie przepadam jednak za torturami. Mój przyjaciel chciałby mu dać pokosztować ognia, lecz ja jestem bardziej humanitarny.

– Mogę zabić broniąc swego życia, lub broniąc tych, którzy potrzebują ochrony – oświadczył Burton. – Nie jestem mordercą.

– Zabicie tego Żyda będzie działaniem w obronie własnego życia – odparł Göring. – Jeżeli tego nie zrobisz, zginiesz, z tą różnicą, że potrwa to dłużej.

– Nie – odparł Burton.

– Och, wy Anglicy – westchnął Göring. – No cóż, wołałbym mieć cię po swojej stronie, ale jeśli nie chcesz postępować rozsądnie, twoja sprawa. A ty? – zwrócił się do Frigate'a.

Amerykanin wciąż krzywił się z bólu.

– Twoje popioły wyrzucono na kupę śmieci w Dachau – powiedział. – Za to, co robiłeś i za to, kim byłeś. Czy chcesz popełniać te same zbrodnie w tym świecie?

– Wiem, co się ze mną stało – roześmiał się Göring. – Żydowscy niewolnicy powtarzali mi to wystarczająco często. Co to za dziwadło? – wskazał na Monata.

Burton wyjaśnił.

– Nie mógłbym mu ufać – zasępił się Göring. – Idzie do obozu. A ty, małpoludzie? Co powiesz?

Ku zaskoczeniu Burtona Kazz wystąpił naprzód.

– Zabiję dla ciebie. Nie chcę być niewolnikiem.

Chwycił maczugę. Strażnicy nastawili włócznie, na wypadek, gdyby miał inne niż Göring pomysły na wykorzystanie broni. Spojrzał na nich spod wystających brwi i zamachnął się. Trzasnęła kość i niewolnik runął na twarz. Kazz oddał maczugę Campbellowi i odstąpił. Unikał wzroku Burtona.

– Niewolnicy zbiorą się dziś wieczór – oznajmił Göring. – Przekonają się, co ich czeka, gdyby próbowali ucieczki. Uciekinierzy będą przez pewien czas przypiekani ogniem, potem skróci się ich cierpienia. Mój szanowny przyjaciel osobiście użyje maczugi. Lubi te rzeczy.

Wskazał palcem Alicję.

– Biorę ją.

Tullius wstał.

– Nie, nie. Potopa mi się. Weśmiesz resztę, Hermann. Dam ci je opie. Ale ona... chcę ją mieć, barco. Wyklęta na, jak to móficie, arystokratka. Mosze... królowa?

Burton ryknął wściekle, wyrwał Campbellowi maczugę i wskoczył na stół. Göring padł na plecy. Koniec pałki musnął niemal jego nos. Równocześnie Rzymianin pchnął włócznią, raniąc Burtona w ramię. Ten nie wypuścił broni, zamachnął się i wytrącił Tulliusowi dzidę.

Niewolnicy z krzykiem rzucili się na strażników. Frigate wyrwał komuś włócznię i jej drzewcem z całej siły uderzył w głowę Kazza. Neandertalczyk padł na ziemię. Monat kopnął jednego z przeciwników w krocze i złapał jego dzidę.

Burton nie zapamiętał nic więcej. Przyszedł do siebie na kilka godzin przed zmrokiem. Głowa bolała go jeszcze bardziej niż przedtem, klatka piersiowa i oba ramiona zesztywniały z bólu. Leżał na trawie w zagrodzie o średnicy jakichś pięćdziesięciu stóp, zbudowanej z sosnowych bali. Piętnaście stóp nad ziemią, wokół wewnętrznej części ogrodzenia, biegła drewniana galeryjka, po której spacerowali uzbrojeni wartownicy.

Siadając jęknął z bólu.

– Bałem się, że już z tego nie wyjdziesz – odezwał się Frigate, siedzący po turecku obok niego.

– Gdzie są kobiety? – spytał Burton.

Frigate załkał.

– Przestań ryczeć – Burton potrząsnął głową. – Gdzie one są?

– A jak myślisz, do diabła, gdzie mogą być? O Boże!

– Nie myśl o nich. Nie możesz im pomóc, przynajmniej na razie. Dlaczego mnie nie zabili, kiedy zaatakowałem Göringa?

– Nie mam pojęcia – Frigate ocierał łzy. – Może chcieli zachować nas obu na stos. Dla przykładu. Wolałbym, żeby nas zabili.

– Jak to? Tak niedawno dotarłeś do raju i już chcesz go porzucić? – Burton próbował się roześmiać, ale zrezygnował. Ostrza bólu rozdzierały mu mózg.

Później zaczął rozmawiać z Robertem Sprucem, Anglikiem urodzonym w 1945 roku w Kensington. Spruce twierdził, że Göring i Tullius przejęli władzę niecały miesiąc temu. Na razie zostawili sąsiadów w spokoju. W końcu oczywiście spróbują podbić terytoria położone wokół, w tym teren Indian Onondaga na drugim brzegu Rzeki. Jak dotąd żadnemu z niewolników nie udało się uciec, by ostrzec ich przed zamiarami Göringa.

– Przecież mieszkańcy terenów nadgranicznych sami widzą, że to niewolnicy wznoszą mury.

Spruce uśmiechnął się ponuro.

– Göring rozpuszcza pogłoski, że to wyłącznie Żydzi, że interesują go jedynie żydowscy niewolnicy. Nikt się więc nie przejmuje. Sam widzisz, że to nieprawda. Połowa niewolników to goje.

O zmierzchu Burtona, Frigate'a, Ruacha, de Greystocka i Monata wyprowadzono z zagrody i doprowadzono do kamienia obfitości. Było tam już około dwustu niewolników, pilnowanych przez siedemdziesięciu ludzi Göringa. Ułożono cylindry w zagłębieniach. Potem czekali. Kiedy błysnęły niebieskie płomienie, zdjęto rogi obfitości. Każdy niewolnik musiał otworzyć swój, a strażnicy zabrali tytoń, alkohol i połowę żywności.

Jacek Inglot

Sanctus Kobylarius, magister



Wszyscy nazywali go Kobylarzem. O takim przezwisku zdecydowała fizjonomia – pociągła twarz, szerokie czoło, cofnięta i niedogolona szczęka, wypukłe oczy skryte za silnymi szkłami. Wizerunku dopełniała zapadnięta klatka piersiowa, patykowate ręce i zaczątki garbu. Słowem, typowy jajogłowiec – kobyła Raskolnikowa na moment przed końcem.

Pierwszy raz zetknąłem się z nim w okresie pisania prac magisterskich. W holu Instytutu zwykliśmy zamieniać parę słów, najczęściej o postępach w pisaniu pracy. Już wtedy Kobylarz zdradzał symptomy filologicznego nawiedzenia – za temat obrał sobie analizę opisów w opasłej powieści jednego z wieszczów modernizmu. Po pobieżnym przejrzeniu tej pozycji można zauważyć, że opisy stanowią blisko połowę zasadniczego tekstu. Za każdym razem Kobylarz oznajmiał mi triumfalnie, do której strony właśnie dotarł. Patrzyłem wtedy na jego bladą od niewyspania i złego odżywiania twarz i myślałem o wieszczu, który z pewnością nie przypuszczał, że w sześćdziesiąt lat po śmierci będzie jeszcze komuś spędzał sen z powiek.

Dlaczego Kobylarz wybrał tak ambitny temat, zamiast – wzorem kolegów – sięgnąć po pierwszy lepszy problem i odbębniać swoje między jedną a drugą balangą? Kobylarz był inny, wierzył w naukową doniosłość tego, co robił. Na nic zdały się moje argumenty, że na dobrą sprawę nasze ewentualne odkrycia mają zerowe znaczenie dla narodu (i nieważne, jak tu zdefiniujemy pojęcie „naród"), co najwyżej zyskają przelotną aprobatę tego czy owego profesora. Jako prawy czciciel czystej nauki z pogardą odrzucał moje sugestie.

Później się dowiedziałem, że jego robota była rzeczywiście rewelacyjna, rzuciła na kolana komisję egzaminacyjną i zyskała opinię najlepszej pracy roku. W rezultacie Kobylarz wylądował w szkole podstawowej w niewielkiej wiosce, położonej parę kilometrów za miastem, gdzie wbijał półdebilnym dzieciom (z mizernym skutkiem, jak mi potem wyznał) zasady gramatyki i ortografii. Z czciciela nauki czystej został jej ofiarą, przed czym go zresztą przestrzegałem.

W tym momencie historia mogłaby zostać zakończona, bo i cóż może być intrygującego w zmaganiach młodego, hm, „siłacza" (to wieszcz), systematycznie wykańczanego przez indolencję systemu oświatowego. Proza życia, brutalna nauczycielka absolwentów wyższych uczelni, od razu dzieli swoje stadko na głupców i słabeuszy usiłujących pracować w zawodzie oraz na spryciarzy i kombinatorów, którzy zawczasu oddali się w pacht „byznesowi". Kobylarz uczestniczący w jakimkolwiek sensownym interesie był postacią nie do przyjęcia. Jego kobyla gęba a priori skreślała naszego delikwenta z listy osób mogących kiedykolwiek zrobić karierę.

A jednak Kobylarz zawsze mnie trochę intrygował, tak jak intryguje i zaciekawia każdy przedstawiciel ginącego gatunku. Na swój sposób był kimś ostatnim i wyjątkowym. Wyraźnie odbijał od reszty. I to chyba spowodowało, że został obiektem mego zainteresowania, nie tylko z czysto osobistych względów.

Przez dłuższy czas wieści o nim dochodziły urywane i niepełne. Jak wielu z tych pechowców, którzy z powodu braku oparcia w zamożnej i wpływowej rodzinie wylądowali w szkółkach na prowincji, w pokorze oczekiwał na swój koniec. Dopiero w jakiś czas później spotkałem go na ulicy, no, niezupełnie przypadkowo.

O dziwo, poznał mnie od razu. Ja go zresztą też – wyglądał jeszcze marniej niż przedtem, był nawet w tym samym, jeszcze studenckim, wytartym dżinsowym wdzianku. Kobyla gęba wyglądała na bledszą i bardziej zrezygnowaną. Zapytałem o pracę. Machnął niedbale ręką.

– Wiesz, sądziłem, że głupota ludzka ma jakieś granice, ale szybko mnie z tego wyleczono – powiedział. – Mam do czynienia z takimi ludźmi, że...

– Wiem, struktura grona pedagogicznego nie jest mi obca. Idę teraz coś zjeść, chodź ze mną.

W barze mlecznym szerokim gestem zaordynowałem dwie porcje naleśników. Za szkłami Kobylarza błysnęło coś łakomie. Musiał być głodny.

– Co właściwie robisz poza wojowaniem z belframi i dyrekcją?

– Piszę – przełknął i popił – artykuł krytyczny. Dla „Pamiętnika Literackiego". Jeden już wysłałem, a mam w robocie drugi.

– Zapłacili ci?

– Jeszcze nie...

Przechylił talerz i pił łyżeczką śmietanę. Rzeczywiście był głodny. Zrobiło mi się go żal, mogłem się szarpnąć na podwójne naleśniki. Jeśli naprawdę jedynym jego źródłem dochodu była nauczycielska pensja, to musiał często głodować.

– A poza tym? – sondowałem dalej.

– No, jeszcze takie... – pochylił się konspiracyjnie. – Piszę książkę. Powieść.

Tu cię mam, pomyślałem. Prawdę mówiąc, oczekiwałem podobnego wyznania. Byłoby wręcz dziwne, gdyby Kobylarz tego nie robił. Co drugi z nas opuszczał mury tutejszej Alma Mater z przekonaniem, że jest drugim Hłaską, albo chociaż Bursą. Kobylarz nie stanowił wyjątku. Zapewne zadziałał też wpływ wieszcza.

Wyszliśmy z baru, kierując się na przystanek. Kobylarz powoli włóczył nogami, patrząc gdzieś przed siebie. Wyglądał jak personifikacja siedmiu plag egipskich – przypominał teraz zgonionego wielbłąda.

– Ale nie wiem, czy skończę – ciągnął.

– Dlaczego?

– Choruję – wyjaśnił. – Zaawansowana dyskopatia połączona z zanikiem mięśni grzbietowych. Trudno powiedzieć, czy potrwa to rok, czy cztery...

– Nie starasz się leczyć?

– Po co? Ja nie mam po co żyć...

Nic nie odpowiedziałem, zatkało mnie. Żelazna logika

Kobylarza była nie do odparcia. Rzeczywiście, istnienie bądź nieistnienie Kobylarza było światu najzupełniej obojętne. Jemu samemu zapewne też.

Staliśmy milcząc na przystanku. Kobylarz pokiwał z melancholią głową – w tej chwili był najbardziej godnym pożałowania człowiekiem w całym mieście. Patrzyłem na niego spod oka zastanawiając się, czy już dojrzał, czy może jeszcze trochę poczekać. Kobylarz nie miał podobnych rozterek. Przyjechał tramwaj i pożegnałem go, obiecując sobie ponowne spotkanie.

Wróciłem do klubu „Simplex", gdzie trawiłem czas i społeczne pieniądze jako specjalista od przelewania pustego w próżne. Siedząc nad stosem biurowej makulatury zastanawiałem się nad umieszczeniem dotychczasowych wniosków w kwartalnym raporcie, ale w końcu odrzuciłem pomysł jako przedwczesny. Człowiek wymagał jeszcze dopracowania, choć reprezentował interesujące początki. Zwłaszcza jego egzystencjalny nihilizm, pozostający w sprzeczności z głoszonymi przedtem artystycznymi planami, wydawał mi się szczególnie obiecujący. Kobylarz dojrzewał – i w tym sensie nasze spotkanie było szczęśliwym „trafem". Dla niego i dla mnie.

Przed zanurzeniem się w kwity pewnej sponsorującej „Simplexowi" Młodzieżowej Organizacji pomyślałem, że jeśli cokolwiek wiem o tego typu osobowościach, to wkrótce powinien przydrałować tutaj z rękopisem powieści pod pachą. Nie myliłem się.

Kilka dni później, kiedy znudzony przekładaniem papierków szedłem odświeżyć się w klubowej kawiarni, zobaczyłem go czekającego przed wejściem. Kręcił się nerwowo, trzymając w dłoniach opasły brulion. W duchu zatarłem ręce – rozszyfrowałem go bezbłędnie. Jak każda zagubiona w czasie i przestrzeni, niepewna siebie osobowość twórcza, potrzebował wsparcia czytelnika. W tym mogłem mu pomóc.

– Cześć – powitałem go uprzejmie. – Pójdziemy się czegoś napić?

Wyglądał na skrępowanego. Spojrzał ukosem na witrynę kawiarni, gdzie za szybą kłębił się tłum młodzieżowych działaczy, Arabów i panienek do wszystkiego.

– Właściwie... – miał to być wstęp do szeregu obiekcji, ale nie dałem mu czasu.

– Bez gadania! Ze mną cię nie zjedzą.

Wejście Kobylarza wywołało niejakie zdziwienie wśród personelu kawiarni – rzeczywiście, nie wyglądał na stałego bywalca „Simplexu". Sam też nie sprawiał wrażenia zachwyconego towarzystwem w środku. Pociągnąłem go w kąt do wolnego stolika.

– Co u ciebie nowego? – spytałem.

Nie odpowiadał, ciągle z lekka oszołomiony atmosferą kawiarni. Zastanawiałem się, kiedy ostatni raz był w lokalu; nawet na studiach nie chodził na żadne prywatki. Jego filozoficznie nastrojoną duszę musiała zastanawiać programowa beztroska czy wręcz bezmyślność charakteryzująca bywalców klubu. Mimo to pierwsza impresja Kobylarza była dla mnie zaskakująca.

– Zombi – wyszeptał. – To jacyś zombi!

– Masz trochę racji – przyznałem. – Ale chyba nie spodziewałeś się zastać tu mogołów intelektu? Zresztą, wskaż mi w tym mieście miejsce, gdzie takowi przebywają.

– Tak, oczywiście...

Wydawał się zakłopotany. Przyszła kelnerka i postawiła na stoliku wino i pepsi. Kobylarz wina nie tknął, co uznałem za bardzo pomyślną oznakę – sądząc po jego stanie psychicznym, należało się raczej spodziewać zaawansowanego alkoholizmu, a to bardzo by skomplikowało moje plany. Potrzebowałem Kobylarza takim, jakim był teraz – inteligentem o krystalicznych ideałach, w początkowym stadium rozstroju nerwowego.

Parę stolików dalej usadowiła się z hałasem grupa aktywistów młodzieżowych. Uznałem to za świetną okazję, aby Kobylarza pozytywnie umotywować. Ten, niczego nie podejrzewając, powoli sączył pepsi i udawał, że słucha płynącej z podziemi klubu łomotaniny kapeli „Nawiedzony Kombajn". Pociągnąłem łyk wina i zacząłem ostrożnie wprowadzać go w temat.

– Widzisz tych tam pod oknem? – dyskretnie wskazałem grupę aktywistów. – To jest kierownictwo tutejszego oddziału Młodzieżowej Organizacji, kwiat jej aktywu, wielokrotnie chwalony i odznaczany za pozytywną działalność, wynoszony pod niebiosa przez władze nadrzędne. Innymi słowy, awangarda naszej młodzieży.

Kobylarz popatrzył w tamtym kierunku i na jego twarzy odbił się niesmak.

– I co z tego? – spytał całkiem rozumnie.

– Właściwie nic, gdyby nie to, że obecny tu prezes – to ten o wyglądzie wypuszczonego na przepustkę wzorowego skauta, zresztą gębę też ma pełną komunałów rodem ze skautingu – swym światłym kierownictwem doprowadził do zupełnego rozkładu ongiś rzeczywiście jakoś tam działającej organizacji, eliminując tych, którym chciało się cokolwiek robić. Część nawet demonstracyjnie rzuciła legitymacje na zebraniu, ale prezesa utwierdziło to tylko w słuszności raz obranej drogi. Typ jest odporny na wszelką argumentację, co było zapewne główną przyczyną, iż „góra" uznała go za jedynego człowieka zdolnego poprowadzić tutejszy oddział do kolejnych zwycięstw, które w istocie odnosi... na papierze. Co jakiś czas ogłasza nagłą sanację stosunków i gromkimi odezwami mobilizuje kadrę mającą go gdzieś. Po trzech dniach wszystko wraca do normy i cała działalność ponownie sprowadza się do rytualnej porcji demagogii.

– Ehm, a wygląda tak przyzwoicie!

– Tak? To popatrz sobie na jego sąsiada, tego wysokiego młodzieńca o urodzie świętego Franciszka z Asyżu, pełniącego obecnie funkcję zastępcy prezesa. Stanowi on przykład błyskawicznej kariery, co nie znaczy, że błyskotliwej. Do Młodzieżowej Organizacji wstąpił w grudniu, a już w lutym został jej wiceprezesem. Jedyną zasługą owego świątobliwego młodzieńca jest związek z pewnym wysoko postawionym wodzem z Oddziału Okręgowego. Sam dobrze nie wiem – nepotyzm czy pederastia?

Przerwałem, ponieważ zaskoczył mnie wyraz twarzy Kobylarza. Patrzył jak urzeczony na pseudo-Franciszka, który z rozmarzonym uśmiechem liczył muchy na suficie. W pewnym momencie spojrzał prosto na niego, na co Kobylarz zareagował gwałtownym skurczem żołądka. Toaleta! – syknął zduszonym głosem i pobiegł jak oparzony we wskazanym kierunku. Trochę się przestraszyłem; nie chciałem go aż tak poruszyć. Zamierzałem tylko utrwalić w nim stan ogólnego zwątpienia. Nie zamierzałem na razie doprowadzać do kryzysu.

Dość długo nie wracał. W tym czasie do kawiarni weszła Ewa, nieformalna muza „Simplexu", z którą naonczas się kochałem, tzn. utrzymywałem ożywione stosunki płciowe. Zdała właśnie jakiś zaległy egzamin, więc była w świetnym nastroju. Słuchałem jej rozkosznego szczebiotania i rozmyślałem ponuro o Kobylarzu, który przez moją durną brawurę zwymiotował już chyba duszę. Wreszcie przyszedł – spojrzenie miał jakby przytomniejsze. Usiadł i jednym haustem wypił pepsi do końca. Ewa kończyła właśnie opowieść o docencie-fetyszyście, u którego studentki zdawały egzamin przy pomocy papierowej torebki z intymną bielizną. Docent był koneserem, piątki stawiał tylko za autentyczne francuskie koronki, najlepiej z paryskiego porno-shopu. Kobylarz słuchał tego w milczeniu, starając się zachować kamienną twarz. Wreszcie spojrzał demonstracyjnie na zegarek i zaczął się żegnać.

– Nie zostawiłeś rękopisu – przypomniałem. Cały czas trzymał brulion na kolanach, w kurczowo zaciśniętej dłoni.

– Ach, to – popatrzył ze zdumieniem na zeszyt. – Prawie o tym zapomniałem. Gdybyś mógł...

– Mogę – stwierdziłem krótko i prawie że wyrwałem mu rękopis. – Przyjdź za tydzień, coś już będę w stanie powiedzieć.

Gdy wyszedł, Ewa spojrzała na mnie podejrzliwie. Zrobiłem najniewinniejszą minę na świecie, ale to nie pomogło.

– Ten twój przyjaciel – powiedziała wolno i z namysłem – jest jakiś dziwny. Czy to aby nie pedał?

Roześmiałem się, serdecznie ubawiony. W Kobylarzu było tyle seksu co w amebie.

– Pochlebiasz mu, kochanie. To stary kumpel z roku,

mamy wspólne interesy. A propos – czas chyba uczcić twój egzamin?

Poszliśmy na górę do biura, opustoszałego już o tej wczesnej popołudniowej porze – nie każdy tak kochał swoją pracę jak ja. Usiadłem za biurkiem i zacząłem segregować papiery, znamionujące kolejny okres kwitotwórczej aktywności prezesa. Ewa spoczęła na biurku kolegi, starego niechluja, od roku zaścielonym nie załatwionymi pismami. Wzięła jedno z nich i udając, że czyta, rytmicznie stukała piętą w drewno, w takt niosącego się po rurach najnowszego przeboju supergrupy „Mózg na Ścianie", która zastąpiła w piwnicy „Nawiedzony Kombajn".

– Mówią o tobie ostatnio dziwne rzeczy – wahlowała się kwestionariuszem, mrugając do mnie filuternie. – Wiceprezes twierdzi, że jesteś... zgadnij kim?

– Cóż mógł o mnie wymyśleć ten smutny pierdziel – podszedłem do okna i zaciągnąłem powoli zasłony. – Pewnie, że jestem wcielonym diabłem.

– Dokładnie! – zawołała ubawiona. – Skąd wiesz?

– No bo przecież nim jestem. Majtki nie będą ci potrzebne.

Odwróciłem się od okna – majteczki spoczywały już na maszynie do pisania. Ewa poruszyła się niespokojnie, jakby w uda zapiekły ją zaległe kwity mego niechlujnego kolegi. Uniosłem majteczki pod światło; były prawie przezroczyste, zrobione z najdelikatniejszej koronki.

– Przygotowałaś je dla docenta?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Papiery przyjemnie zaszeleściły.

– Wracając zaś do sprawy mego ewentualnego diabelstwa, to z tego, co wiem, penis szatana jest rozdwojony na końcu niczym język węża i tak jak i sperma zimny na kształt lodu. Co o tym sądzisz?

Znaczna część papierów upadła już na podłogę, przez co zaległości kolegi zmniejszyły się o blisko połowę. Ewa milczała, nad czymś się zastanawiając.

– To jest ciepłe – stwierdziła wreszcie.

Rękopis Kobylarza nosił enigmatyczny tytuł: „Spisek". Był to duży notatnik akademicki, wypełniony prawie do ostatniej strony drobnym, wyraźnym pismem. Na oko oceniłem objętość utworu na blisko osiem arkuszy autorskich, czyli że Kobylarz spłodził całkiem spore dzieło. Nie zwlekając przystąpiłem do lektury.

Bohaterem uczynił młodego urzędnika jakiegoś pomniejszego pionu administracyjnego, Jonasza K. (K jak Kobylarz?), prowadzącego spokojne i stateczne życie, człowieka pozbawionego większych aspiracji a nawet marzeń, pilnie baczącego, aby nie wystawać ponad obowiązującą przeciętność – co mu przychodziło bez trudu, jako że był urodzonym przeciętniakiem. Akcja rozpoczyna się pewnego wiosennego wieczoru, kiedy do kładącego się spać Jonasza K. przychodzi dwóch tajemniczych panów, którzy oświadczają, że od tej chwili K. jest spiskowcem. Nie wdając się w dalsze wyjaśnienia odchodzą, każąc czekać na dalsze instrukcje. Bohater, zupełnie w pierwszej chwili rozkojarzony, bierze w końcu rzecz całą za głupi dowcip niezbyt rozgarniętych kolegów.

Na tym się jednak nie skończyło – następnego wieczoru

Jacek INGLOT

Ur. 5.06.1962 r. w Trzebnicy. Studia polonistyczne na Uniwersytecie Wrocławskim ukończył w 1986 r. Autor SF, próbujący sił także w krytyce, m.in. na naszych łamach. W „Fantastyce" nr 4/88 przedstawiliśmy jego humoreskę utrzymaną w konwencji punkowsko-fanowskiej: „Scence and Fiction, Inc." – towarzyszył opowiadaniu komentarz, który miał być tylko dowcipny, a przez wielu czytelników został uznany przede wszystkim za złośliwy. Szkoda! Opowiadanie „Sanctus Kobylarius, magister" prezentujemy bez żadnej taryfy ulgowej. Ucieka Inglot w tym tekście od twardej SF, od fantasy; zbliża się do rzeczywistości. I mimo iż przymierza do niej uchwyty innych konwencji (postmodernistycznej?, demonologicznej?) osiąga ciekawy efekt literacki. Rzecz pomyślana i wykonana lekko staje się dobrym świadectwem naszej codzienności i drążących nas dylematów.

(mp)

odwiedza go smutny starszy pan w podniszczonej jesionce i wręcza mu niewielką paczuszkę, polecając odnieść ją pod wskazany adres. K. usiłuje wytłumaczyć, że zaszło jakieś nieporozumienie, ale starszy pan, nazywający siebie Łącznikiem, przypomina dobrotliwie o dyscyplinie organizacyjnej i odchodzi. K., wiedziony niezdrową ciekawością a trochę strachem przed konsekwencjami w wypadku nieposłuszeństwa, udaje się pod wskazany adres, do obskurnej kamienicy na przedmieściu. Po wymianie hasła paczuszkę odbiera młoda dziewczyna, dając w zamian pakiet papierów i nowy adres. K., zdumiony i lekko zafascynowany rysującą się tajemnicą, idzie pod wskazany adres, tym razem luksusowej willi, aby od czarnego służącego dostać nowy pakiet i adres... Do wczesnych godzin świtu krążył po mieście niczym nocna mara, aż wreszcie któryś z podanych adresów okazał się jego własnym. Łapczywie rzucił się na przeznaczony dla siebie pakiecik – w środku znajduje polecenie, aby czekać na dalsze instrukcje.

Od tej pory K. stał się częścią spisku. Łącznik wielokrotnie zrywał go nawet w środku nocy, aby zlecić tajną misję – zawsze było to takie samo zadanie, o kryptonimie „Nocny Listonosz", polegające na dostarczaniu paczuszek pod te same adresy, dokładnie według schematu z pierwszej nocy. K. powoli przywyka do tego osobliwego życia, z niektórymi odbiorcami nawet się zaprzyjaźnia. Odczuwa pociąg do dziewczyny z obskurnego domu, jak zauważa, nie bez wzajemności. Szczególnie polubił staruszkę z małego domku ukrytego w zapuszczonym ogrodzie. Staruszka zawsze czeka na K. z filiżanką gorącej kawy.

Z czasem dostrzegł w sobie i wokół siebie zmiany, które, jak sądził, są symptomatyczne dla każdego spiskowca. Przestał chodzić do pracy, za dnia czuł się źle, najchętniej siedział w zaciemnionym pokoju lub spał. Zaczął cierpieć na dziwne przywidzenia – wydawało mu się, że co i raz któryś ze znajomych czy przypadkowych przechodniów mruga do niego porozumiewawczo, kiedy wieczorem śpieszył w trasę ze swoimi paczuszkami. Przestał pokazywać się w dzień na ulicy, a i w nocy, zdążając pod swoje adresy, przemykał chyłkiem pod murami.

W tym też okresie pojawiły się u K. pierwsze wątpliwości dotyczące celu i istoty spisku. Żadna z nagabywanych osób nie potrafi mu nic powiedzieć, twierdząc, że go po prostu nie zna. „Po cóż cały spisek i tajemnica, skoro jego cel byłby powszechnie wiadomy, nawet wśród samych uczestników?" – pyta retorycznie portier, służący w domu miejscowego prokuratora. „Cel zna tylko Wielki Szef" – dodaje mieszkanka obskurnej kamienicy Lili, z którą K. nawiązał nocny romans, realizowany pośpiesznie w krótkich przerwach w czasie pełnienia kurierskich obowiązków. K. początkowo przystaje na to tłumaczenie, aż do momentu, kiedy przypadkiem zapytana o to, czy wie, co jest w przynoszonych przez niego pakietach, Lili odpowiada, że nie. „Zresztą – dodaje dziewczyna – zawsze zabierasz stąd ten sam pakiet, który poprzedniego wieczoru przynosisz. Nie zauważyłeś tego?"

K. jest wstrząśnięty i przerażony zarazem – niecierpliwie rozrywa przyniesiony właśnie Lili pakiet. W środku znajduje jedynie przeznaczoną dla siebie instrukcję, polecającą czekać na dalsze instrukcje. Zbulwersowany wraca do siebie, postanawiając nie robić niczego bez uprzedniego widzenia się z Szefem. Po kilku dniach przychodzi Łącznik i na postawione zarzuty odpowiada, że dotychczasowa misja była tylko próbą – tak naprawdę to właściwe Zadanie K. dopiero otrzyma. Przedtem też zobaczy się z Szefem. K. wyśmiewa go i oświadcza, że jutro złoży doniesienie na policji o wszystkim, co wie w związku ze spiskiem. Łącznik mu to odradza, jednakże jakby bez przekonania.

Następnego dnia K. udaje się na komisariat i żąda widzenia z naczelnikiem policji. Zostaje do niego wpuszczony i opowiada pokrótce o swoim uczestnictwie w spisku. Z niejakim zdziwieniem stwierdza, że Naczelnik nie wydaje się być poruszony. Patrzy na K. ze zrozumieniem i pewnym politowaniem. Na jego zeznanie odpowiada streszczeniem pewnej popularnej w bliżej nieokreślonych kołach teorii, tłumaczącej rzeczywistość jako niezwykle złożoną strukturę powiązanych ze sobą spisków, drążących świat od niepamiętnej pory. Nikt nie zna początku ani końca, a tym bar-

dziej celu. Nikt też nie może o sobie powiedzieć, że jest poza spiskiem, tak jak nie może powiedzieć, że jest poza rzeczywistością. K. uderza jedna uwaga rzucona przy tej okazji przez Naczelnika – „Spisek to nie stara koszula i nie sposób wyrzucić go do kosza na śmieci. Jesteśmy do swego spisku przypisani."

Wzburzony K. wybiega na ulicę – zrozumiał, że i Naczelnik należy do spisku. Ma wrażenie, jakby był zaszczutym zwierzęciem. Zamyka się w pokoju i czeka na Łącznika. Odcięty zupełnie od świata, wpada w malignę i przeżywa niezwykłe widzenie. W pokoju zjawia się zgrzybiały starzec przypominający biblijnego patriarchę i wyjaśnia dobrotliwym głosem, że K. ma wyjątkowe szczęście – spisek, w którym uczestniczy, został zawiązany specjalnie dla niego. To on, K., jest celem i przyczyną. Dopiero po zniknięciu starca K. uświadamia sobie, że przemawiał do niego sam Wielki Szef. Nie oczekuje już niczego – wie, że teraz przyjdzie Łącznik z Zadaniem.

Rzeczywiście, Łącznik zjawił się jak zwykle późnym wieczorem. Zaznajamia K. ze specjalnym Zadaniem – ma on zastrzelić renegata i zdrajcę, który usiłował zadenuncjować spisek. Wręcza mu pistolet i kartkę z nazwiskiem i adresem zdrajcy, po czym odchodzi, dając czas do rana. K. nawet nie czyta kartki – doskonale wie, czyje na niej widnieje nazwisko. Próbuje się desperacko ratować, ale spostrzega na ulicy dwóch mężczyzn, pilnie śledzących jego okna. Zrozumiał, że nie ma żadnych szans. Kiedy do pokoju wpadają pierwsze promienie słońca, bierze pistolet i przykładając lufę do skroni szepce: „Jak szczur". I było to tak, jakby absurd miał go przeżyć.

Z Kobylarzem umówiłem się wieczorem w biurze, chcąc mieć pewność, że nikt nam nie przeszkodzi. Do generalnego rozstrzygnięcia przygotowałem się starannie, spędzając wiele godzin nad „Spiskiem". Główny bohater, K., wykazywał sporo interesujących cech – całkowitą bezradność wobec rzeczywistości i poczucie osaczenia przez bliżej nieokreślone, nieznane siły, które bawią się nim, jakby był pingpongową piłeczką. Bezwolnie podąża z prądem życia, podawany z rąk do rąk, wykorzystywany jako ofiara nonsensownego i okrutnego żartu. Chwilami nawet odnosiłem wrażenie, iż sprawia mu to jakąś masochistyczną przyjemność. Cechowała go zupełna niewiara we własną podmiotowość – ba, wątpi, czy coś takiego w ogóle jest możliwe. Jedyną potencjalną podmiotowością jawi się Wielki Szef, mityczna instancja skupiająca w swoim ręku węzłowe nici wszystkich spisków. Moim zdaniem chodziło tu o ukrytą personifikację Boga, widzianego jako swego rodzaju Nad-Spisek, o pozapojęciowych przyczynach, celach i skutkach, którego terenem działania jest cały wszechświat.

Wobec tak rozumianego świata jednostka ukazuje się jako element składowy wielkiej struktury, której nigdy nie pozna i na którą nie ma żadnego wpływu. Zaciera się pojęcie między wolą własną a wolą Spisku – nigdy nie wiemy, czy podjęta przed chwilą decyzja nie została przez kogoś już kiedyś przewidziana i włączona do jakiegoś planu. Tak rozumiany system nie daje jednostce żadnych szans; już klasyczny Pan Bóg był bardziej przystępny i przecież podatny na modlitwy, przynajmniej w założeniu. Spisek nie gwarantuje nic.

Kobylarz przyszedł o ustalonej porze. Wyglądał gorzej niż zwykle, nienaturalnie blady, o przekrwionych oczach. Zauważyłem, że drżą mu ręce. Kryzys narastał, nie mogłem dłużej czekać. Opadł ciężko na fotel.

– No i co? – spytał chropawym, zmęczonym głosem. – Czytałeś?

– Tak. Cóż mogę powiedzieć... gdyby Kafka żył teraz i nazywał się Pynchon, to z pewnością napisałby „Spisek".

Moje oświadczenie bynajmniej go nie zaskoczyło. Uśmiechnął się z rezygnacją.

– Nie sądziłem, że to widać.

Chciał się podnieść, ale go powstrzymałem.

– Nie użyłem słowa „plagiat", zresztą, nie byłoby ono do końca odpowiednie. Rzecz idzie o coś innego – „Spisek" przekonał mnie, że jesteś człowiekiem, którego od dawna szukam.

Kobylarz popatrzył na mnie zdziwionym wzrokiem.

– Nie rozumiem.

– To dosyć złożona sprawa. Ja właściwie jestem, jeśli można tak powiedzieć, reprezentantem pewnej instytucji, która ma tu swoje określone i ważne interesy...

– Mówisz o Młodzieżowej Organizacji?

Skrzywiłem się kwaśno.

– Nie, ta śmieszna firma to jedynie parawan dla moich rzeczywistych działań... mój prawdziwy, hm, „pracodawca" zajmuje się zupełnie czym innym.

Po minie Kobylarza poznałem, że rozumie coraz mniej. Postanowiłem ostrożnie wyjawić mu istotę rzeczy.

– Nie muszę ci tłumaczyć, że żyjemy w czasie powszechnej deprecjacji rzeczy, wartości i ludzi. Wszystko jest w coraz gorszym gatunku i coraz pośledniejsze. Także to, co interesuje moich pracodawców, ostatnio bywa coraz rzadsze... zwłaszcza że są zainteresowani tylko towarem najwyższej jakości.

– O co chodzi, czego właściwie nie ma? – spytał niecierpliwie.

– Ludzi. Pełnowartościowych, całą gębą ludzi.

Kobylarz milczał, patrząc gdzieś w bok.

– To zgrywa, tak? Wpuszczasz mnie w kanał?

– Nie, mówię serio – starałem się być maksymalnie przekonujący. – Przeżywamy mały kryzys; świat zaroił się od cinkciarzy i sklepikarzy, kombinatorów najrozmaitszego autoramentu. Małe cele, małe ideały, spłaszczony intelekt i chciejstwo. Wyobrażasz sobie osobowość takiego typa? Ja tak – widzę to jako czarną, zgliwiałą czeluść, cuchnącą i mroczną. Bez wartości.

– Jest aż tak źle? – zainteresował się uprzejmie. Ciągle uważał to za zgrywę.

– Gorzej niż kiedykolwiek. Wiedział już coś o tym Szekspir: „Czymże jest człowiek, jeżeli najwyższym /Jego zadaniem i dobrem na ziemi/ Jest tylko spanie i jadło? Bydlęciem, / Szczerym bydlęciem." Miał zupełną rację – taką perłę jak jego osobowość trafia się raz na sto lat. Wiem coś o tym.

– Doprawdy?

Patrzył teraz prosto na mnie i zdawał się świetnie bawić.

– To wcale nie jest śmieszne. Co zaś się tyczy Szekspira, to on przyjął naszą propozycję. Ale ty mi ciągle nie wierzysz!

Kobylarz wzruszył ramionami.

– Jak mam w to wierzyć – zaprasza mnie kolega z roku i usiłuje wmówić, że jest...

– Dokończ!

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Przecież to śmieszne!

– Tak sądzisz? – podniosłem zachowaną wśród papierów na biurku kasetę, którą przygotowano mi w zeszłym tygodniu. Podszedłem do ustawionego w rogu pokoju magnetowidu i wsunąłem ją do środka.

– Ci, którym zdarzyło się coś takiego widzieć, mówią... zresztą, sam zobaczysz – włączyłem wideo i odstąpiłem krok w bok. Monitor zamigotał szybko zmontowanymi obrazami.

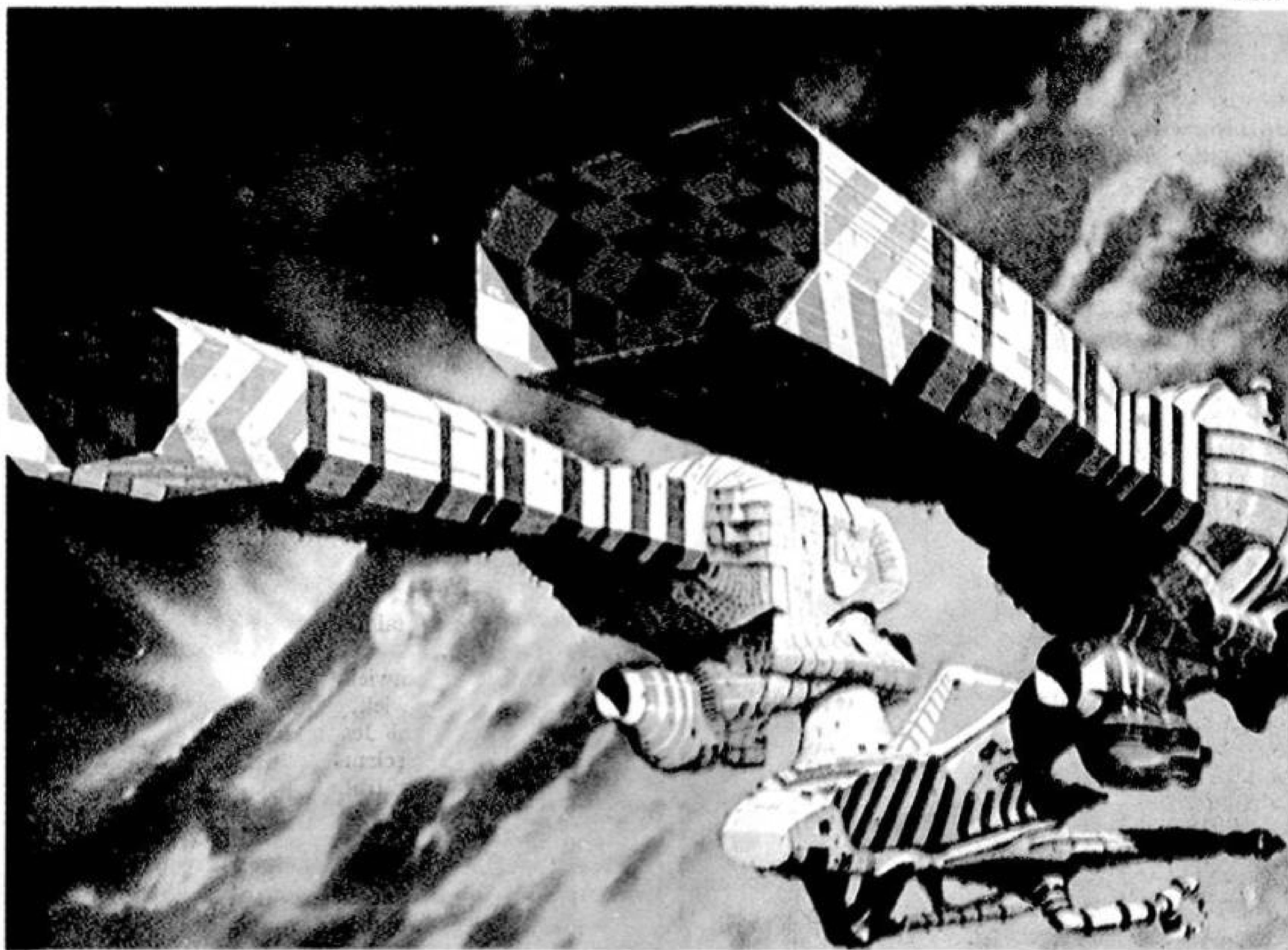
– poranek biegnie skrajem lasu sama radość istnienia – spróchniały pień wierzby w środku sekret – mały ołtarzyk z jarmarczną świętą – kładzie wiązankę polnych kwiatów – modlitwa święta maria matko boża – bębnienie w pień krzyki wrzaski śmiech – na zewnątrz małpie twarze wyrostków.

W miarę jak oglądał, kpiący uśmieszek powoli znikał mu z twarzy. Zaczynał kojarzyć poszczególne ujęcia, identyfikować osoby i miejsca, a wraz z tym procesem niedowierzanie zaczęło ustępować przerażeniu. Wpił palce w poręcz fotela i zagryzł wargi; cały skurczony, patrzył z coraz większym napięciem. Kiedy zaczął jęczeć, wyłączyłem magnetowid. Więcej mógłby nie wytrzymać. Dyszał ciężko, nadal wpatrzony w ciemny ekran. Wyglądał na bliskiego obłędu.

– Zastanawiasz się teraz pewnie, skąd ta taśma i skąd na niej te sceny, przecież nikt w twojej rodzinie nie miał kamery ani nawet aparatu fotograficznego – ciągnąłem, chcąc go ostatecznie pogrążyć. – W końcu ktoś mógł je zrobić z ukry-

Chris Foss

Dune



cia, ale po co? Kogo może obchodzić jakiś niewydarzony szczeniak z wielodzietnej rodziny, chłopak i zupełnie przeciętny uczeń, później śmieszny student i oryginał? Doskonale wiesz, że to zupełnie nieprawdopodobne, ba, wręcz niemożliwe, chyba, że dla tego kogoś czas i przestrzeń nie stanowią problemu... tak jak dla nas.

– Kim jesteś? – wychrypiał.

– Nikim specjalnym, urzędnikiem, a właściwie kimś w rodzaju agenta werbunkowego...

Przerwałem i spojrzałem na Kobylarza – wciąż zdawał się nie rozumieć, do czego zmierzam.

– Sprawa jest prosta – podjąłem. – Proponuję ci udział w naszym spisku. W jakimś sensie twoja książka ma rację – świat to wypadkowa toczonych od wieków gier i kontr-gier, inicjowanych to przez nas, to przez tamtych... A ja chcę, abyś grał po naszej stronie.

Kobylarz, cały czas pochylony, podniósł nagle głowę. Zobaczyłem jego szyderczy wzrok i wykrzywione drwiąco usta.

– Ja?! Takie zero?

– Każdy przedmiot w grze jest zerem, chyba że awansuje do roli podmiotu. Dlaczego akurat ty? – ponieważ byle prostaczek wzięty z ulicy nie jest zdolny do bycia podmiotem, do tego trzeba ludzi z r e a l n ą osobowością. Prostaczkowie wolą kontemplacyjne zbydlęcenie.

– Przedmiot wobec podmiotu... a wobec czynników nadrzędnych? – spytał, jakby wreszcie zaczynał myśleć.

Sapnąłem ciężko.

– Oczywiście, że przedmiotem, działamy w hierarchii. Nie mogę ci przecież ofiarować stanowiska Wielkiego Szefa! Ale można awansować, jak wszędzie.

Podszedł do okna i dłuższą chwilę wyglądał na zewnątrz, na ciemne zaśmiecone podwórko, otoczone murami starej kamienicy. Wśród śmieci grzebało się kilka gołębi. Przebiegł jakiś zbłąkany pies i chmara ptaków uniosła się do góry.

– To by było tak – mówił powoli, wciąż odwrócony do mnie tyłem – jakbyś ofiarował więźniowi kacetu stanowisko kapo, z nieśmiałą sugestią, że z czasem może zostanie esesmanem. O niczym innym przez całe życie nie marzyłem! – dodał gorzko.

Odwrócił się od okna i stanął wyprostowany, patrząc mi prosto w twarz. Oczy miał twarde i zdecydowane.

– Nie!

Nie próbowałem mu przeszkadzać, kiedy wychodził. Czas jakiś bezmyślnie bawiłem się piórem, potem coś bezwiednie wystukałem jednym palcem na maszynie. Nie czułem się przegrany – jedno rozdanie nigdy nie przesądza o końcowym wyniku gry. Jednak byłem nieco zawiedziony, przywykłem już do błyskotliwych zwycięstw, w pierwszym starciu. Opór Kobylarza trochę mnie zdziwił i zaskoczył, sądziłem, że pójdzie znacznie łatwiej. Ten jest naprawdę wart swojej ceny – podsumowałem rzecz filozoficznie. I prawdopodobnie ma tego świadomość.

Chciałem już przejść nad sprawą do porządku dziennego i zająć się czymś innym, kiedy wzrok mój padł na wystukany na maszynie tekst: „Ja, Kobylarz, oświadczam, co następuje..." Brzmiało to jak początek staroświeckiego cyrografu. Ze złością wyszarpnąłem kartkę i zmiętą rzuciłem w kąt. Do Diabła! – zakląłem. – On tu m u s i przyjść. Jonaszu K., czy ma pan inne wyjście?

Jacek Inglot


Donata Jasnoch

Emma Popik

Na zawsze piękni i młodzi

Ledwo postawili stopy za progiem, poczuli, że jest coś niedobrego w tym świecie. Ta rzeczywistość była niby strup, spod którego wypływa zielona materia. Dziewczyna podniosła ostrzyżoną główkę i wciągnęła gęste powietrze: jakby zapach przyschniętej krwi. Spojrzała na wahającego się chłopca z wyzwaniem – Tak mnie kochasz?

Może pod wpływem tego zapachu i przesyconego wilgocią powietrza w wielkich oczach chłopca pojawił się obraz z głębokiego dzieciństwa. Nigdy o nim nie pamiętał, zobaczył go dopiero teraz: „Zerwał się ze snu i otworzył oczy słysząc krzyk matki. Pchała drzwi ramionami, starała się je zamknąć. Jedna ręka mężczyzny usiłującego się wedrzeć do domu napierała na futrynę, druga wgniatając się w zamek

blokowała go, by się nie zatrzasnął. W białej smudze światła paznokcie pozdzierane i czarne. Czy się wygrzebał z ziemi, z grobu? Nagle jego twarz w czerni przedpokoju. Biała, zalana krwią. I, tak! Z wyrwanym okiem. – To ojciec! – krzyknął i zakrył głowę poduszką". Nie pamiętał zakończenia. Czyżby ów potwór napierał usiłując wejść?

Chłopiec z dziewczyną odeszli już kawałek od niekończącego się ciągu budynków okolonych murem, które nazywali swoim światem. Jasne ulice pod lampami, cicho szumiące pojazdy, radosne sklepy i weseli ludzie podjadający lody lub frytki, chodzący wśród donic z drzewkami na trotuarach, stąpali po kafelkach w desenie, łagodni w złotym klimacie a wieczorem zasypiali, gdy gaszono światła. Gdzieś za murem był świat drugi, nieznany i zakazany.

– Cii – mówiła matka kładąc palec na ustach, gdy pytał o mieszkańców tajemniczej krainy. – Oni są, no, inni. – Kiwała powoli głową, jakby widząc straszne obrazy, nie mogła się z nimi pogodzić. Czy i jej jawił się ojciec okaleczony, którego należało wypchnąć za bramę, bo nikomu stamtąd nie pozwalano żyć tu, wśród pięknych ludzi.

Szli długą, prostą ulicą w słońcu i kurzu mając za plecami mur, stąpali po ziemi niczyjej, była jeszcze szansa, by zawrócić, ale ciągnął ich cel: mieszkanie w drugim końcu miasta, gdzie się wykochają za wszystkie czasy w ciągu nadchodzącej nocy. Tam będzie gniazdko załatwione dzięki nielicznym, grzesznym kontaktom ze znajomymi, którzy kiedyś, podobnie jak oni wyszli i nigdy nie zdołali powrócić. A może pchała ich przede wszystkim ciekawość i chęć złamania strasznego zakazu? Musieli się dowiedzieć. Nie znali ceny, jaką im przyjdzie zapłacić, bo by się cofnęli, by krzycząc zakryć głowy poduszką.

Na końcu suchej ulicy stał wielki, szary gmach szpitala pokryty płaskorzeźbami. Przedstawiały ludzi – żywe przed sekundą istoty nagle zakrzepłe w bólu i o wargach obsuniętych poza zęby, z palcami zakrzywionymi w szpony. Chłopiec z dziewczyną szli wciąż przed siebie trzymając się za ręce, które spocone wciąż się rozplatały. Na końcu ulicy obejrzeli się przez ramię, jeszcze zdołaliby dobiec do zbawczej bramy, ale przed nimi stał okrakiem szpital i tylko przez jego drzwi prowadziła droga. Zza budynku dobiegał szum wielkich tłumów przelewających się gniewnie na placu, a także uderzenia i na przemian jęki i krzyki.

– Znowu demonstrują – powiedział chłopiec . – O co im chodzi?

– Dlatego trzeba ich trzymać w szachu, za bramą – dodała dziewczyna.

Drzwi szpitala się otworzyły i wypadł z nich mężczyzna, rzucił się ku nim i już miał ochotę pochwycić parę i wciągnąć ją do środka, gdy spojrzawszy w twarz chłopca stanął jak uderzony. W jego jedynym oku odbiło się zdumienie i wściekłość, oczodół drugiego był zaklęsły, lecz chłopcu się wydało, że widzi spływającą z niego strużkę krwi. Ta chwila zwłoki ich uratowała, przynajmniej teraz, pędzili wzdłuż bryły budynku, potem wpadli pomiędzy prostokątne domy o tynku popękanym od upału, jakby cierpiącym odwieczne pragnienie i gnali po burych brukach w przestrzeni geometrycznej złożonej z płaszczyzn i krzywizn, wśród których wiatr wysuszał nieliczne ziarnka piasku, a słońce lśniło na nich ostro.

Wpadli w jakieś przejście pomiędzy domami i nagle się znaleźli w świecie zupełnie odmiennym. Stanąwszy w kwadratowym podwórku spoglądali na stojące wokoło domy o ścianach poprzerastanych gałęziami roślin jak wieprzowina tłuszczem. Kwadraty okien i drzwi oplecione pnączami były nieomal niewidoczne, na tynkach rozpełzały się cienkie gałązki tworząc niby system krwionośny. Było tu gorąco i parno, a liście olbrzymie niby dłonie w kolorze intensywnej zieleni wydzielały zapach jak trujące rośliny. Ich warstwa zewnętrzna, cienka błona komórkowa, była przejrzysta; pod nią przelewały się żarłoczne płyny, łączące się w grudki plazmy. Czym się karmiły te zachłanne rośliny, komu dawały życie? Trudno tu było oddychać, więc stanęli zadyszani po biegu.

Domy wydawały się zupełnie puste, ale na spękanym betonie stała ogrodowa słodka ławeczka opleciona wieńcami liści otulającymi białe szczebelki. Siedziała tu miła staruszka robiąca na drutach.

– Do mnie dzieci, zbliżcie się – zawołała ciepło. Podchodzili bliżej usiłując sobie przypomnieć, z jakiejże to okrutnej bajki mogłaby być postacią. Już widzieli jej łysą czaszkę o pofałdowanej skórze i twarz całą w bliznach i szwach. Olbrzymie wypukłe oczy o wodnistych soczewkach tkwiły w srebrnej blaszce czujników umożliwiających przekazywanie obrazów do mózgu.

– Babciu, dlaczego masz takie wielkie oczy? – pomyślała dziewczyna.

Starowina się uśmiechnęła, spod rozciągniętych, cienkich warg, których w istocie wcale nie było, bo je dawno sprzedała, wyszczerzyły się zęby ruchome jak wielkie, żółte klawisze. Wstawiono je niedbale, były widać tanie i klekotały przy każdym słowie.

– Babciu, dlaczego masz takie wielkie zęby? – pomyślała dziewczyna.

Kiedy się zbliżyli druty zamigotały szybciej. Kobieta robiła olbrzymią skarpetkę zdolną pomieścić nogę słonia; jej własne nogi okrywała od kolan dera, ale chłopiec odniósł wrażenie, że wcale ich nie miała. Tuż obok leżał tłusty, leniwy pies, jak i jego pani wiekowy, będący na wpół tylko żywym stworzeniem. Także jego ciało się zrosło z drobnymi urządzeniami zastępującymi mu żołądek, płuca, czy umożliwiającymi przeczołganie się kilku kroków.



Donata Jasnoch

– Witajcie, Jasiu i Małgosiu – powiedziała z uśmiechem staruszka.

– Nie nazywam się Jaś – rzekł chłopiec, a dziewczyna zadrżała.

– Owszem, tak – rozciągnęła w uśmiechu szparę po ustach i zęby się poprzesuwały. – I ja byłam kiedyś taką ładną Małgosią, szłam przez las suchymi ulicami wśród prostokątnych domów.

– Czy spotkała pani Babę Jagę? – zapytała dziewczyna.

– To mnie spotkał zły wilk, który polował na takie ładne dziewczątka – ogarnęła krótko ostrzyżone włosy dziewczyny pożądliwym spojrzeniem. – I wyżarł mi usta! – wrzasnęła i zaśmiała się. – I kłami poorał twarz wyrywając kawałki skóry. A ten wilk wciąż poluje na takie ładne buzie, łakomy jest na skórę napiętą i na jędrne policzki. Nie spotkaliście go? E, musieliście.

– A po co wilkowi cudza skóra? – zapytał rzeczowo chłopiec.

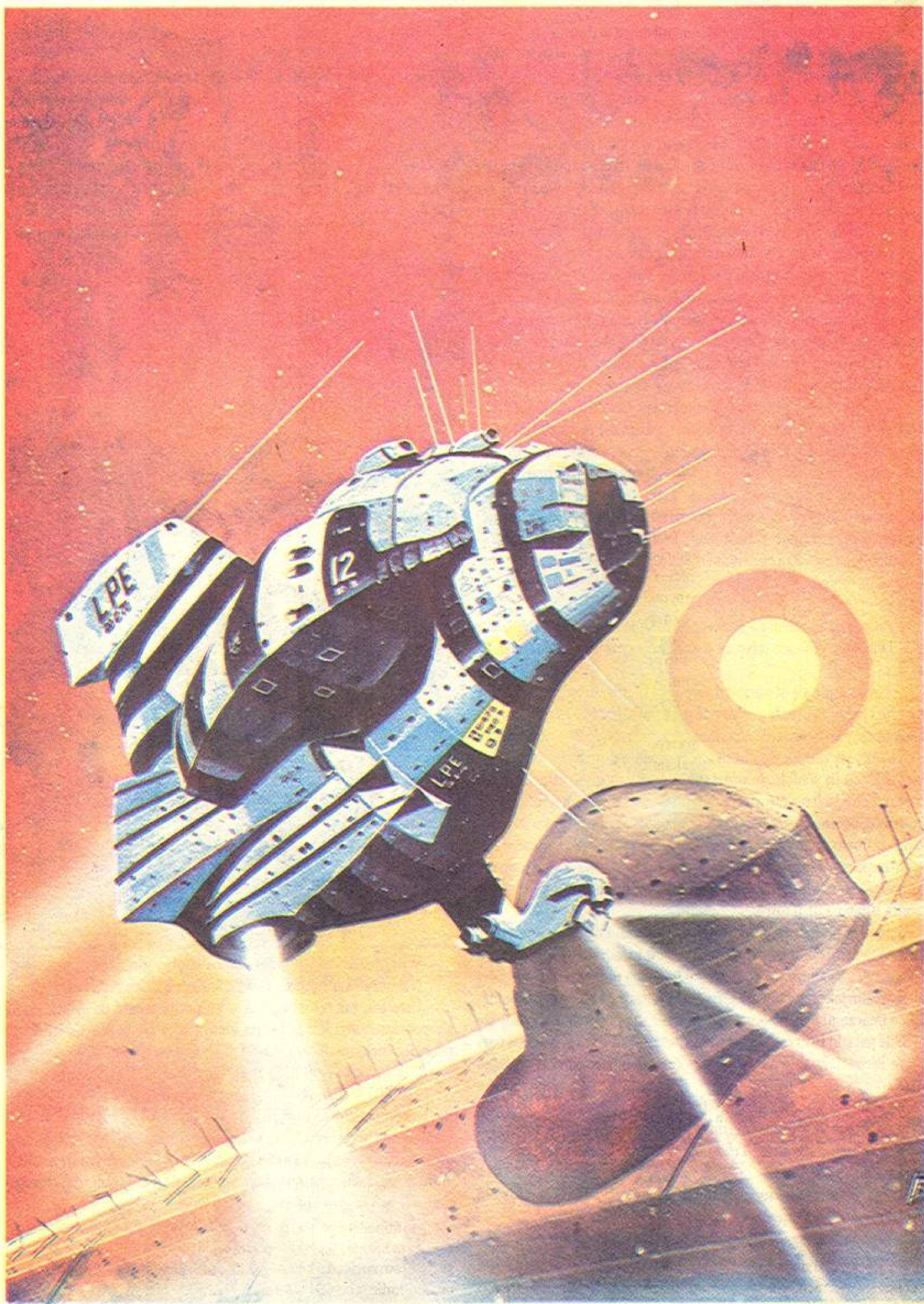
– I mnie by się przydała – rzekła łakomie stara. – Patrz! – szybkim ruchem odrzuciła derkę z nóg, które nie istniały. Widok był odrażający. Od kolan ciągnęły się rury i przewody łącząc je we wspólnym z

☞

Chris

Foss

GALERIA



psem krwiobiegu, a najdłuższa rura ciągnęła się aż do budynku i wnikała w zieleń ssąc chlorofil. W taki sposób człowiek, zwierzę i rośliny podtrzymywały nawzajem swoje życie.

Dziewczyna zasłoniła twarz, chłopiec chwycił ją odruchowo w ramiona, a kiedy stara zaśmiała się chichotliwie, ocknęli się i rzucili pędem przed siebie.

Kiedy już zniknęli w plątaninie podwórek i zieleni, kobieta zaczęła trząść głową, a potem rzuciły się jej łzy i płakała nad swoim zmarnowanym życiem i pokaleczonym ciałem. Przecież nie była jeszcze stara, a musiała aż do śmierci tkwić w opuszczonej dzielnicy, gdzie wszyscy umarli a jej pozwolono żyć w uznaniu zasług.

Właśnie z naprzeciwka wyszedł mężczyzna, a kobieta mimo że od lat nie musiała się go bać, zadrżała.

– Połujesz, wilku – pomyślała.

– Gdzie oni pobiegli?

– A co dostanę, jak powiem?

– Nic.

– Jestem zasłużona – wyciągnęła skądś papier – mam dyplom. Byłam dobrą dawczynią – przeciągnęła ręką po twarzy – jak widać. W nagrodę tu mieszkam.

Wilk wyrwał dokument z jej ręki i przedarł go powoli na pół patrząc jej w oczy. – Każdy dawca to bydlę.

– Przecież mnie schwytali, ledwo wyszłam za bramę i zawlekli do szpitala. A tam zawsze zrobią, cokolwiek zechcą. Wypuszczona z ich łap nie byłam zupełna.

– Po co wyłaziłaś z pięknej dzielnicy? – przedarł znowu dokument z bezczelnym spokojem.

– Pokochałam.

– Na rozpustę, na łajdactwo wyszłaś. Nie szklij, znam się na babach i na waszej miłości.

– Musiała ci jakaś zaleźć za skórę – rzekła cicho, a on patrząc ponad jej głową, zacisnąwszy zęby darł z pasją dyplom, który otrzymała w zamian za wszystkie skrawki swego ciała teraz zrośnięte z innymi ludźmi, których było stać na długie życie i wieczną młodość. – To dla niej sprzedałeś swoje lewe oko? – zapytała cicho. – Jeżeli tak było, wiesz dobrze, że nie mogłam powrócić i musiałam sprzedawać z siebie coraz więcej, by mieć z czego żyć. Nie ma wyjścia, tacy jak my muszą się degenerować. Inni jeszcze mają siłę protestować – nasłuchiwała przez chwilę jęków rozganianego tłumu. A potem przypomniała sobie swój los. – Dasz mi policzki tej dziewczyny? Dasz jej włosy? Świeżą skórę, pachnącą i jędrną?

Stał przed nią w rozkroku z rękoma wpartymi w pas.

– Mam pieniądze – wygrzebała z zakamarków kiecek plik banknotów. – Mogę kupić młodość tej dziewczyny.

Wyrwał pieniądze z jej ręki.

– Wycofane z obiegu – schował je do kieszeni. – Tobie już nie będą potrzebne.

– Oddaj! Zapłaciłam za nie skórą, nogami, zbierałam całe życie.

– Takim, jak ty nie sprzedaje się niczego – warknął. – Nie wiesz o tym? Ani skrawka, ani jednej komórki.

– Nie, to nieprawda! – krzyknęła. – Jestem zasłużona dla państwa, przecież mieszkam tu w uznaniu, zapracowałam!

– Mów, stara, gdzie poszli? – podskoczył ku niej i zaczął szarpać za ramiona, a wtedy jej pies poruszył się i pochwycił go zębami za nogę. Mężczyzna odwrócił się rozwścieczony i zakląwszy – Ty, bydlę! – zaczął go kopać nieprzytomnie. Pies skomlał, jęczał i usiłując wydostać się spod razów wczołgiwał się pod ławkę. Od ciosu, nagle, rurka pękła, kobieta chwyciła się za gardło, zabrakło jej tchu, pies wpełzał coraz głębiej pod ławkę, kobieta trzepała rękami w powietrzu, jej pocięta twarz siniała, otwierała usta łapiąc powietrze, lecz upadła do tyłu i znieruchomiała. Mężczyzna ocknął się, a potem powoli otarł sobie but miękkimi roślinami. Nie spojrzawszy nawet na zwłoki poszedł przed siebie. Na ławce leżało nieruchome pół ciała człowieka, a pod nim zdychał stary pies odłączony od dawczyni życia.

Biegli pomiędzy prostokątami domów, a pnącza przyklejały się im do odzieży. Piękne i błękitne oczy chłopca rozszerzył strach, gładkie policzki dziewczyny spurpurowiały od wysiłku. Zobaczyli nagle przed sobą żelazną bramę na wpół otwartą, ale wrośniętą w ziemię i oplecioną gęstwą kleistej zieleni. Choć była zardzewiała i rzeźbiona w dziwaczne wzory, przypominała wejście do ich dzielnicy. Pomyśleli, że być może okrążyli miasto i dotarli do niego od tylnej strony, więc bez namysłu wpadli w cień i mroczność gęstych drzew.

Był to stary cmentarz. W ciemnozielonej trawie stały olbrzymie grobowce z czarnego gładkiego kamienia, a bramki prowadzące do ich wnętrza odsunięto na bok, więc wyraźnie zobaczyli czarne trumny z zetlałymi resztkami tiulu po brzegach i wysuszone zwłoki prześwitujące przez gnijące wieka. Wysokie drzewa łączyły się u góry gałęziami nieomal całkowicie zasłaniając niebo. W ciemności zobaczyli stojący na polanie olbrzymi, czarny karawan, suto ozdobiony lśniącymi złoceniami w kształcie liści i trupich czaszek. Nie opodal pasły się dwa czarne konie, ich zady lśniły aksamitną czernią w wąskim promyku słońca między liśćmi.

Stanęli zadyszani i oślepieni światłem w mroku. Nagle usłyszeli szumy i ze wszystkich grobowców zaczęli wychodzić ludzie. Niektórzy, właśnie obudzeni wydostawali się z trumien odstawiając na bok wieka. Stanęli kręgiem i po chwili jak zahipnotyzowani wpatrywali się w chłopca i dziewczynę. A oni zaczęli krzyczeć w przerażeniu obejmując się ramionami i zaciskając powieki, lecz co chwila je otwierali i patrzyli czy nie wyciągają się po nich pazury kościotrupów. Toteż nie spostrzegli, skąd wyszedł mężczyzna.

– Nie bójcie się – powiedział. – Jesteśmy żywi, jak i wy.

Pozostali z otwartymi oczami, milknąc. Mężczyzna nie miał włosów, oskalpowano go, a blizna ciągnęła się wzdłuż brwi.

– Jestem tu przywódcą, ufam, że pozostaniecie z nami. Skoro tu przyszliście, macie świadomość, że jest to jedyne bezpieczne miejsce na świecie. Żyje się nam, jak u Pana Boga za piecem. Tylko my możemy się nazwać ludźmi szczęśliwymi.

Właśnie w tym momencie usłyszeli dzikie wycie dobiegające z pobliskiego grobowca. Spojrzeli w tamtą stronę. W okienku na wpół wrośniętym w ziemię za przerdzewiałymi kratami pojawiła się biała twarz.

– Nie zwracajcie uwagi, to biedna kobieta. Jej mężowi wydarli serce.

– Kto?! – wykrzyknęli jednocześnie.

– Ci sami, przed którymi uciekacie. My wszyscy wydostaliśmy się z ich szponów uzbrojonych w skalpele. Każdy z nas jest mniej lub więcej pokaleczony i niecałkowity.

Dopiero wtedy rozejrzeli się przytomniej po milczącym tłumie, a ludzie kolejno odchylali koszule na piersi i podwijali rękawy. Ciała pokryte bliznami, powycinane płaty skóry, odpiłowane żebra, usunięte rzepki kolanowe, wyjęte oczy, usunięte muszle uszu.

– Dlaczego? – krzyknął chłopiec.

– Ludzie z pięknej dzielnicy wykorzystują nas jako budulec, to im zapewnia zdrowie, młodość, przedłuża życie.

– To nie nasza wina – wyrwało się dziewczynie. – My mamy wszystko naturalne, swoje – i ukryła policzki w dłoniach.

– I my pochodzimy z dzielnicy. Każdy z nas ją opuścił z ważnych powodów i został złapany za bramą. Takie jest prawo, czy niepisany obyczaj: człowiek spoza dzielnicy musi stać się pacjentem szpitala.

– Nie można powrócić?

– Kto raz został okaleczony, należy do kalek. Piękny świat ich nie przyjmie, by się nie skazić. Trzeba pozostać w mieście i dalej handlować kawałkami swego ciała, by mieć z czego żyć. A ci, którzy się buntują, są bez praw. Kto nie ma siły na protest, przychodzi do nas. Tu jest zaklęte terytorium.

– Czy nie ma innego świata? – krzyknęła dziewczyna.

Mężczyzna zamyślił się – Podobno poza miastem rośnie las. Gdybyście tam dotarli... Ale poza tą bramą – wskazał na zardzewiałe wejście – stajecie się łupem krążących wilków. Najlepiej będzie, jak pozostaniecie z nami – zakończył, a kobieta w grobowcu znowu zawyła.

– Wy tu jecie, a nocą potraficie zasnąć, kochać się? – zapytał chłopiec.

– Żyjemy normalnie.

– Nie moglibyśmy – powiedziała dziewczyna. – Patrząc na wasze blizny, nieustannie czulibyśmy wyrzuty sumienia.

– Nie umiałbym tulić się z nią w grobowcu – rzekł ponuro chłopiec.

– Za tą bramą... – zaczął mężczyzna.

– Karawan! – przerwała mu dziewczyna. – Możesz nim zawieźć nas do granic miasta.

Potrząsnął przecząco głową.

– Zawieź nas tam, dokąd idziemy – poprosił chłopiec.

– Kolega czeka na nas w swoim pokoju. Niedaleko stąd. On nam pomoże.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę, wreszcie zaczął powoli zaprzęgać konie. Mieszkańcy cmentarza wciąż stali napawając się urodą przybyszów, aż nagle z grobowca zdołała się uwolnić kobieta w białej sukni. W ręku trzymała czaszkę. Ten ludzki szczątek leżał w ziemi wiele lat i pożółkł od starości, lecz szalona tuliła go do piersi.

– To on – szeptała ustami spieczonymi od gorączki. Oprzytomniała nagle widząc obcych.

– Nie zamykajcie mnie – poprosiła. – Wiem, że utraciłam zmysły, ale teraz mi wróciły. Pragnę stąd odejść i oddać szpitalowi siebie całą. Nie chcę żyć, nie mam po co. – Odłożyła na grobowiec czaszkę opierając ją na połamanej szczęce.

Ludzie chcieli ją schwytać, lecz dowódca powstrzymał ich.

– Ona ma prawo wybierać, niech idzie.

Biała suknia kobiety szargała się w trawie, gdy szła ku żelaznej bramie. Stanęła, odwróciła się ku ludziom i wciągnąwszy powietrze z głębokim westchnieniem zdecydowanie przekroczyła granicę. Milczenie pochłonęło ją bezpowrotnie.

Konie już były wprzęgnięte, stały obijając ogonami o nogi, a czarna sierść już nie lśniła przypominając skórę demonów. Mężczyzna stał przy karawanie przytrzymując ramieniem uchylone drzwiczki i zapraszał ich do środka. Wzdrygnęli się, jakby mieli wejść do trumny, dziewczyna chwyciła chłopca w pół i powoli się zbliżywszy po ciemnej trawie wstąpili po dwóch stopniach do czarnego wnętrza. Po chwili przyzwyczaiły się ich oczy. Było to czarne pudło, jak grób zaiste, zanim zdążyli pomyśleć, drzwi zatrzasnęły się za ich plecami. Przeszył ich dreszcz, karawan szarpnął, upadli na podłogę, nie przybito tu ławki, musieli leżeć, więc się objęli ramionami, by szarpnięcia pojazdu nie turlały ich po podłodze. Pierwszy raz w życiu ciała naparły na siebie, marzyli kiedyś o tym, gotowi wszystko poświęcić, a teraz czuli się niby dwie drewniane klepki wstrząsane regularnie na zakurzonej podłodze. Dziewczyna wtuliła policzek w ramię chłopca, by się nie rozkrwawić o deski, a on próbował wzrokiem przeniknąć ciemność. Jechali powoli, noga za nogą i wydawało się, że świata nie ma, a poza ich ruchomym grobem nie istnieje życie.

Nagle się zatrzymali i po chwili drzwiczki zostały otworzone. Oślepieni słońcem trzymając się karawanu i macając stopami wysiedli, mając wciąż zaciśnięte powieki. Zanim je otworzyli, karawan bezgłośnie odjechał.

Była to dzielnica wielkich, pustych wieżowców na tle lasu. Ale zieleń pochłaniała domy, leżąc na ich dachach olbrzymią ośmiornicą i obejmując ściany mackami gałęzi. Wślizgiwały się przez okna, by się rozprzestrzenić po podłogach setek pokoi milionami liści. Już nie wiadomo było, co jest starą płytą betonową, a co ścięgnami żywego drewna, tak się wszystko poprzerastało wzajemnie. Tu i ówdzie z przerdzewiałych rur wyciekała woda w tej kiedyś nowoczesnej i wymarzonej dzielnicy. I tu nikt nie mieszkał.

Dopiero teraz zrozumieli, jak mało jest ludzi w tym wielkim mieście i dlaczego ciało, narządy i kości są tak bezcennym budulcem. Wiedzieli, że niektórzy muszą dostarczać materiału tym, którzy mogą przeżyć, już się jakoś z tym pogodzili, ale gdzie jest wróg prawdziwy w ogóle nie wiedzieli, ani nie odgadywali przyczyny. Myśleli tylko o tym, by odnaleźć przyjaciela, już nie po to, by skorzystać z jego mieszkania, na samą myśl o tym czuli teraz zawstydzenie, ale trwała w nich wiara w pomoc i przewodnictwo tego człowieka. On im powie, jaką drogą przejść przez skłębioną dżunglę, by dotrzeć do innych światów.

Wstąpili w białe, betonowe pudło stojące na mniejszym z boków i szli wśród pełznącej po schodach zieleni i resztek dawnego życia. Walały się buty, rozwłóczyły wzorzyste suknie, zsypywały się stosy zetlałych książek, lecz w pustych, szalonych od zieleni pokojach nie było ludzi. Potrącili skrzynkę jakiegoś aparatu, a ta spadła w dół po piętrach czyniąc łoskot na każdym z żelaznych stopni. Zatrzymali się przerażeni, ale nie było żadnego odzewu. Dopiero, kiedy hałas ucichł usłyszeli słaby krzyk. – Do mnie, tutaj! – i głos zamilkł.

Po chwili potrzebnej na uspokojenie bicia serca zaczęli biec, gdzie wzywano. Chłopiec rozpoznał głos przyjaciela, z którym się bawił w zamierzchłym pięknym dzieciństwie. Potem przyjaciel zniknął, nikt nie chciał wyjaśnić, co się z nim stało, toteż niedawno usłyszany głos w telefonie wzbudził w chłopcu radość, zwłaszcza że propozycja skorzystania z pustego apartamentu rozwiązywała problemy. Jadąc tu karawanem myślał o koledze jako ostatniej szansie ratunku. I cóż zastał! Jedną ścianę zarastała zieleń, a tamten leżał na niej rozkrzyżowany, tysiącem rurek łączących się z rdzeniem drzewa. Jego twarz była zupełnie blada i pergaminowa, a oczy wpadnięte i mętne. Ciało już prawie zostało wessane przez roślinę, trawiła resztki kości nóg plącząc się pomiędzy jelitami. Jakże człowiek mógł jeszcze żyć w takim stanie! On zresztą konał już. Nie powie o żadnej drodze przez las, ani o sposobie wydostania się na wolność. Chłopiec spojrzał na zbitą pilśń lasu. Nie ma żadnej ścieżki, ani przesmyku. Nie ma wolności, świat nie istnieje. Poza tym okrutnym miastem jest tylko zieleń, która czyha i pochłania.

Dziewczyna drżąc obejmowała chłopca wtulając twarz w jego ramiona i starała się nie patrzeć na straszny widok. Odruchowo przytulił jej głowę.

– Oszukał mnie – szepnął z rozpaczą.

– Czekałem tak długo, przyjacielu – myślał umierający. – Wierzyłem, że mnie uratujesz. Te rośliny pozwalają nam beztrosko żyć, póki jesteśmy zdrowi, w razie choroby to one wyciągają z nas soki. Mógłbyś mi dać kawałek siebie, to nic złego, naprawdę, w przyszłości i ja poświęciłbym wszystko, czego byś zażądał. Ten wilk... – myśl się urwała, a z korytarza wyszedł mężczyzna, który śledził parę od samego początku. Stanął zasłaniając wejście ale i tak nie zdołaliby uciec. Chłopiec wpatrywał się w jego twarz.

– Chciałem wam oszczędzić tego widoku. Czekałem na was już przed szpitalem, ale mi umknęliście, więc musiałem się ukryć.

– Zdradziłeś mnie, przyjacielu – pomyślał chłopiec wpatrując się w twarz mężczyzny. I wtedy zobaczył ją w innym świetle. Pada na nią ostra smuga z lampy, z oczodołów płynie krew.

– Ojciec! – krzyknął.

– No to co? – rzekł tamten twardo.

– Dlaczego? – jęknął chłopiec, a dziewczyna odchyliła głowę i spojrzała z ciekawością i nadzieją.

– Ja też zrobiłem to z miłości. Tak! Dla twojej matki. Żyliśmy w nędzy, więc sprzedałem swoje oko i uciekłem ze szpitala przekopując się przez ziemię. A ona! Przeniosła się do pięknej dzielnicy. I wiesz, co zrobiła! Ty mnie nie obchodzisz! – podskoczył i wbił synowi w ramię igłę zastrzyku, po którym chłopiec osunął się na ziemię. Dziewczyna, nim z nią uczyniono to samo, zobaczyła, jak ciało na ścianie traci wodę i zamienia się w suchą rzeźbę człowieka z bolesnym grymasem twarzy, taką jak na gmachu szpitala.

– Dlaczego tu jest tak ciemno? – zapytał chłopiec, ale dziewczyna mając wyciętą skórę na policzkach nie mogła wyjaśnić, że ojciec kazał wyjąć mu dwoje oczu. Teraz turlają się na podłodze karawanu, który z litości czekał na nich przed szpitalem; a mężczyzna z cmentarza wyniósł nieprzytomnych, by uratować ich i dać im szansę życia wśród grobowców. Bo piękna dzielnica jest przecież przeszłością i dzieciństwem, innego świata nie ma, a my wszyscy jesteśmy mniej lub bardziej okaleczeni.

Emma Popik

Emma POPIK

Magister filologii polskiej, była redaktorka Instytutu Morskiego, asystentka WSP w Bydgoszczy, nauczycielka języka angielskiego. Namiętnie i w sposób zorganizowany zajmuje się UFO-logią. Autorka zbioru opowiadań „Tylko Ziemia" (Iskry, 1987) ma na koncie także powieść kryminalną „Raport" (Czytelnik – 88). Popik, najbardziej chyba męska osobowość wśród polskich autorek SF, uprawia fantastykę czarną; pełno w jej prozie światów potrzaskanych, dekadenckich, rysowanych poetyckim językiem z okrucieństwem i wyszukanym estetyzmem. W „Fantastyce" ukazały się dotąd dwa jej opowiadania: „Mistrz" (nr 3/83) i „Szaman" (nr 5/85); w „Małej Fantastyce" (nr 3/88) przedstawiła się E. Popik od zupełnie innej strony, dając tam pełne humoru limeryki: „Chimeryki dla niezbyt starych dzieci".

(mp)


„Narzeczona Frankensteina", 1935

Pierwsze pięćdziesiąt lat (2)

Peter Nicholls

Hollywoodzki gotyk naukowy

„Doktor Jekyll i pan Hyde" proponuje naukowe wyjaśnienie tego, co miało przecież być nadnaturalne – takie podejście stało się hollywoodzką normą. Nawet dziś większość filmowej fantastyki naukowej jest raczej horrorem niż SF. Elementy nauki (jak w „Tarantuli" lub „Squirm") stosowane są po to, by stworzyć gotyckie zagrożenie. Dziwne tylko, że reguła ta nie potwierdziła się w pełni w przypadku wielkiego pierwowzoru tego nurtu. „Frankenstein" (Frankenstein, 1931) nie jest zapewne pierwszym filmem o potwornej parodii życia ludzkiego, stworzonej przez naukę (honor ten dzierży prawdopodobnie „Homunculus" z 1916 r.), lecz stał się potężnym wzorem do naśladowania dla swych następców. Wszyscy pamiętamy mroczne aspekty tej opowieści, lecz równie przecież ważne było prometejskie dążenie Colina Clive'a grającego barona Frankensteina do rzeczy wyższych, jak też uczucie doniosłości nauki i wywoływanej przez nią intelektualnej ekstazy („to żyje!") jest wzmagane przez widok trzaskającego elektrycznością laboratorium umieszczonego w młynie. Baron Frankenstein nie jest wcale przedstawiony jako szaleniec, ale jako człowiek z lekką zaledwie neurastenią.

Powieść Mary Shelley nigdy nie została uczciwie przeniesiona na ekran, chociaż telewizyjny film „Frankenstein: The True Story" (Frankenstein: Historia prawdziwa, 1973) zawierał przejmujące zakończenie w pustce arktycznych lodów. We „Frankensteinie" z 1931 roku najbardziej niewybaczalnym odstępstwem od oryginału był pomysł umieszczenia w czaszce sztucznego człowieka mózgu szaleńca. Dało to zbyt oczywiste wytłumaczenie jego potwornych postępków, których motywacja byłaby znacznie bardziej interesująca, gdyby wynikały one z bolesnych ran, które potwór odniósł w okresie swej niewinności.

Reżyser „Frankensteina", James Whale, znany był wcześniej raczej ze swych prac teatralnych. Człowiek wybitnie inteligentny, zrobił wszystko, by jego trzeci film i pierwszy horror wyglądał jak najlepiej. Odniósł w tym niewątpliwy sukces i – ku swemu rozczarowaniu – został zakwalifikowany jako czołowy hollywoodzki specjalista od straszenia. Film stworzył też gwiazdę z grywającego do tej pory ogony Borisa Karloffa, któremu wykonano próbne zdjęcia w tej roli (w charakteryzacji Jacka Pierce, najsłynniejszej charakteryzacji monstrum w filmie) po tym, jak odrzucił ją Lugosi. „Frankenstein" powstał celem zdyskontowania sukcesu „Draculi" (którego grał Lugosi) i fakt, że odrzucił on tę rolę (ponieważ jego twarz będzie niewidoczna) był pierwszą w szeregu fatalnych decyzji, które aktor ten podjął w czasie swej tragicznie drugorzędnej kariery. Karloff z kolei dzięki temu filmowi stał się gwiazdorem, którym pozostał do końca.

Filmowany z podziwu godną dyscypliną „Frankenstein" zawiera momenty wspaniale efektowne – przede wszystkim pierwsze, stopniowe pojawienie się potwora i późniejszą scenę utonięcia małej dziewczynki. Niestety, niezdarna cenzura większości wersji z powodzeniem zatarła fakt, że utopiła się ona przypadkiem i w ten sposób ważna scena ukazująca pierwotną niewinność potwora została zniszczona.

Niewinność tę pokazano lepiej w kolejnym filmie, w „The Bride of Frankenstein" (Narzeczona Frankensteina, 1935), będącym jako całość niewątpliwie najlepszym dziełem w serii. „Narzeczona ..." reżyserowana była przez Whale'a i grał w niej Karloff. Doskonała jest przede wszystkim scena, w której potwór wpada przypadkiem do chaty pustelnika i tam przekonuje się do prostych uroków życia – łącznie z paleniem papierosów. Gra Karloffa, zwłaszcza jeśli będziemy pamiętać o tym, że większą część twarzy miał przykrytą sztywną charakteryzacją, jest niezwykle ekspresyjna.

„Narzeczona Frankensteina" jest raczej czarną komedią niż horrorem. W ironicznym prologu, który często bywa pomijany, Elsa Lanchester, grająca Mary Shelley („Przerażoną przez grom, bojącą się ciemności"), wyjaśnia swemu mężowi („moja Mary to anioł" – mówi poeta) i wytwornemu Byronowi (uzupełniającego parę do „eleganckiego trójkąta"), w jaki sposób w poprzednim filmie potwór uniknął płomieni. „To wcale nie był koniec..." – po tych słowach cięcie prowadzi nas wprost do Uny O'Connor mówiącej: „środek zawsze pali się ostatni" i w chwilę później pojawia się już potwór.

Whale pokazał lwi pazur obsadzając Elsę Lanchester także w roli sztucznej kobiety, mającej być towarzyszką stworzenia zrodzonego z „ciał wygrzebanych ze starych grobów". Moment, w którym zostaje ona przywołana do życia, jest jednym z najstraszniejszych w całym fantastycznym kinie – dzięki ogromnemu laboratorium pełnemu skomplikowanej, elektrycznej maszynerii (zaprojektowanej przez Kennetha Strickfadena), szumiącej i pobłyskującej iskrami, dzięki strasznemu skrzekowi, którym narzeczona po raz pierwszy pozdrawia potwora, dzięki jej niesamowitemu wyglądowi (i fryzurze) i mechanicznym, nieludzkim ruchom głowy i szyi, a także dzięki wściekłemu sykowi, przypominającemu syk rozzłoszczonego kota, w chwili, w której potwór przyciska mającą dokonać dzieła zniszczenia dźwignię. Wszystko to jest doprawdy niesamowite, być może dlatego, że narzeczona, choć zdecydowanie dziwaczna, nie jest jednak nieładna.

Film wydaje się jeszcze bardziej barokowy dzięki niezwykłej i niespokojnej pracy operatorskiej (choć niewiele jest w nim zdjęć wykonywanych ruchomą kamerą), a także dzięki wprowadzeniu nowej postaci, tym razem prawdziwego już szalonego naukowca. Doktor Pretorius, grany przez Ernesta Thesigera, jest osobą przedziwną i sardoniczną („Czy pan lubi gin? To moja jedyna słabość... Tworzenie życia jest czarujące, czarujące, nie uważa pan?"). Jednak wprowadzenie go jest w rzeczywistości jedyną słabością filmu. Grana w sposób nieco zbyt oczywisty dla śmiechu, postać ta osłabia wiarę widza w opowiedzianą historię. Najwyraźniej daje się to odczuć w scenie, w której doktor pokazuje swe homunculusy: małego króla, królową, biskupa i innych, wyhodowane z ziaren i trzymane w butelce.

Jako wprawka w dziedzinie czystej fantazji, „Narzeczona Frankensteina" jest jednym z niewielu prawdziwych klasyków gatunku. Ma wiele wspaniałych momentów: ukryte nawiązanie do ukrzyżowania Chrystusa (zwłaszcza w scenie, w której potwór zostaje przywiązany do drewnianej belki, a następnie kamienowany), użycie dźwięku ślubnych dzwoneczków na ścieżce dźwiękowej podczas przebudzenia narzeczonej i – przede wszystkim – wykorzystanie błyskawicy jako symbolu zarówno potęgi, jak i nieprzewidywalności nauki.

Universal wyprodukował jeszcze pięć filmów z tej serii. Wszystkie one są do siebie podobne tym, że rozczarowują. Karloff grał tylko w pierwszym z nich, w „The Son of Frankenstein" (Syn Frankensteina, 1939). Ostatni zaś, „Abbot i Costello Meet Frankenstein" (Abbot i Costello spotykają Frankensteina, 1948), szalona parodia, był jednocześnie – zdumiewające – najlepszy.

Niedługo po sukcesie „Frankensteina" MGM wypożyczyła Karloffa do zupełnie innej roli: niesamowicie orientalnego Fu Machu w „Masce doktora Fu Machu" (The Mask of Fu Machu, 1932). Był to je-

den z tych filmów przygodowych, które pięćdziesiąt lat później doskonale sparodiowali „Poszukiwacze zaginionej arki" (Riders of the Lost Ark, 1981). Tak, jak w „Poszukiwaczach", istotą „Fu Machu" była mieszanina pseudonauki z okultyzmem, symbolizowana przez czaszkę i aparaty w warsztacie Fu. Plan doktora dotyczył, oczywiście, podboju świata, do którego potrzebne mu były maska pośmiertna i miecz Dżyngis Chana jako symbole mogące ożywić współczesny odpowiednik mongolskich hord. Przeciwko Fu wystąpił Nayland Smith (Lewis Stone), jego dawna Nemezis, wykorzystujący na końcu elektryczny aparat swego przeciwnika (jeszcze trochę efektów Strickfadena) do wybicia jego generałów. Fetyszyści całego świata wspominają to dzieło z łezką w oku ze względu na: egzotyczną maszynę tortur, wielkich, nubijskich niewolników i Myrnę Loy (przebiegłą córkę Fu), która najpierw biczuje, a później pieści jednego z pomocników Lewisa Stone'a. Warte wspomnienia są również: seplenienie Karloffa, tarantule, serum zombie i ożywający pomnik Dżyngis Chana. Wszystko to wyreżyserowali spokojnie Charles Brabin i Charles Vidor, znakomitą, niesamowitą scenografię zaprojektował Cedric Gibbons.

Pierwszy „klasyk z potworem"

Potwory występowały wcześniej: w „Świecie zaginionym" pojawiły się dinozaury, a we „Frankensteinie" coś, co było raczej zdeformowanym człowiekiem niż bestią, lecz dopiero „King Kong" (King Kong, 1933) stał się sztancą, z której do dziś powiela się kolejne produkcje „z potworem".

Reżyser filmowy Carl Denhem (Robert Armstrong) dowiaduje się o dziwnym miejscu, tajemniczej Wyspie Czaszek, na której wysoki mur ukrywa „Coś", co ubóstwiają krajowcy. Kiedy jego zespół dociera do wyspy, Ann (Fay Wray) zostaje porwana jako ofiara dla „Boga" krajowców, którym okazuje się być wielki jak góra goryl imieniem Kong. Główny bohater, prostolinijny Bruce Cabot, ściga Konga, uciekającego za mur wraz z porwaną Ann. Ludzie Cabota i on sam walczą z prehistorycznymi potworami (jest ofiar wiele...), ratują Ann, ścigającego ich Konga usypiają granatami gazowymi i – związanego przez zachwyconego Denhama, który planuje go wystawić za pieniądze – transportują do Nowego Jorku. W dniu swego wielkiego debiutu Kong zrywa jednak łańcuchy i ucieka; szaleje po Manhattanie szukając Ann, do której ma wielką słabość, znajduje ją wreszcie, wynosi na szczyt Empire State Building i zostaje z niego zestrzelony przez eskadrę bojowych dwupłatowców!

Opis taki brzmi głupawo, lecz doskonały scenariusz wraz z reżyserią Meriana C. Coopera i Ernesta B. Schoedsaca nadają opowieści ładunek wielkiego dostojeństwa. Film bywa współcześnie pokazywany w telewizji i ci, którzy zaczynają go oglądać dla śmiechu, często kończą płacząc. „King Kong" wykreował bowiem mit, nowy sposób widzenia starej dychotomii między naturą a cywilizacją. W Kongu nie ma nic sentymentalnego, jest on dziki i budzi trwogę, jest jednak także majestatyczny, królewski. Jego nędzna śmierć powoduje, że widz czuje żal i wstyd, spotęgowane także tym, że akcja filmu umieszczona jest w czasie Wielkiego Kryzysu – widzimy żałosne tłumy mieszkańców Nowego Jorku spragnione każdej rozrywki, która da im zapomnienie na krótki choćby czas. Sytuacja, w której spodziewają się znaleźć przekonywające oszustwo, a widzą wspaniałą rzeczywistość, pokazana jest wręcz doskonale. Bogactwo wyobraźni wizualnej, zwłaszcza w scenie ukazującej nieskładną obronę Konga przed bzyczącymi, brutalnymi, wstrętnymi i małymi maszynami wojny jest takie, że film może obywać się dialogami, które w innym kontekście nie znaczyłyby nic. Przypomnijmy zdanie, wypowiedziane przez cynicznego wyzyskiwacza, filmowy symbol kapitalizmu, Denhama mówiącego na zakończenie: „Nie, to nie samoloty. To Piękna zabiła Bestię".


„King Kong", 1933

I rzeczywiście, Piękno przeciwstawione Potworności tworzą jedną z wielu opozycji funkcjonujących w tym filmie. Inne wydają się jednak ważniejsze: prostota przeciwstawiona jest złożoności współczesnego świata, natura – technice. Można ten film odczytywać jeszcze inaczej: Kong może być symbolem wyzyskiwanej czarnej rasy, a nawet (zwłaszcza kiedy wystawiony jest na pokaz skuty łańcuchami w sposób przypominający ukrzyżowanie) symbolem jakiejś istoty przypominającej niezrozumianego Chrystusa. Interpretacje takie rzeczywiście są sugerowane, lecz taktownie – nie mają one w filmie centralnego znaczenia.

Nic by z tego nie wyszło bez Willysa O'Briena i jego poklatkowej animacji Konga i innych prehistorycznych potworów. Spotkaliśmy się już z nim, jako geniuszem efektów specjalnych, przy okazji „Świata zaginionego". Nigdy więcej nie udało mu się stworzyć czegoś lepszego od „King Konga", ale nie udało się to także żadnemu z jego następców. Nie ujmując nic wielkim talentom animatorów takich, jak Ray Harryhausen, Jim Danforth i David Allen stwierdzić można, że żaden z nich nie zbliżył się nawet do tego, czego O'Brien dokonał w „King Kongu". Jego osiągnięcie opisać można prostymi słowami: King wygląda jak żywy.

Surrealiści

Podczas, gdy najpierw w Niemczech, a później w Hollywood kształtowała się komercjalna forma filmu fantastycznego, w Europie kilku bardzo niekomercyjnych, indywidualnych reżyserów przygotowywało nowy i najzupełniej inny wkład w dzieje interesującego nas gatunku. W bardzo krótkim czasie artystyczny kierunek surrealizmu znalazł jednak drogę także do produkcji o wartościach przede wszystkim komercyjnych.

Surrealizm jako osobny, dający się zdefiniować, kierunek artystyczny ukształtował się około roku 1924, wyrastając częściowo z wcześniejszego ruchu dadaistycznego, podkreślającego przede wszystkim wartość absurdu w sztuce. Patrząc wstecz możemy dostrzec także, że pewne jego elementy widoczne były bardzo wyraźnie, choć tak ich wcześniej nie nazywano – przede wszystkim u XIX-wiecznych, francuskich symbolistów.

Nie jest to najlepsze miejsce, by zagłębiać się w długie definicje i określać, co jest surrealizmem, a co nie. Możemy jednak stosunkowo łatwo wskazać cztery jego podstawowe cechy, które przyczyniły się do powstania charakterystycznej atmosfery tego nurtu i wszystkie cztery znaleźć możemy w jednym, pierwszym prawdziwie surrealistycznym filmie „L'Age d'Or" (Złoty wiek, 1930), reżyserowanym przez Luisa Bunuela. Malarz-surrealista, Salvador Dali, wymieniany jest jako współtwórca tego dzieła na równi z Bunuelem. W rzeczywistości nie miał on z nim wiele wspólnego, choć w pełni współpracował z Bunuelem przy produkcji jego pierwszego, krótkiego surrealistycznego filmu „Pies Andaluzyjski" (Un Chien Andalou, 1929).

A oto cztery wspomniane wyżej cechy:

a) Surrealizm jest niesamowity. Brak w nim prymatu „rzeczywistości", a więc – przez implikację – nie ma w ogóle tego, co nazywamy rzeczywistością. W jednej scenie i w połączeniu wielu scen występuje element groteski, absurdu, jawnej dowolności skojarzeń. Tak więc w „Złotym wieku" Gaston Modot, jego energiczny bohater, wyrzuca z okna najpierw żyrafę, a później biskupa w pełnym ceremonialnym stroju (groteska), potem akcja przenosi się do średniowiecznego zamku, z którego wychodzi czterech orgiastycznych arystokratów, ukształtowanych najwyraźniej na wzór Markiza de Sade (arbitralność łączenia scen), a postać de Sade'a wygląda dokładnie jak Chrystus (absurd).

b) Surrealizm spłaca daninę snom i działaniom podświadomości, jest wyraźnie post-freudowski. Większość „Złotego wieku" rządzi się tajemniczą logiką marzenia sennego, a wyobrażenia Madota cechuje coś w rodzaju snu na jawie. Na przykład: wyobraża on sobie kobietę, którą kocha (Lya Lys), siedzącą na idealnie czystym sedesie; cięcie pokazuje nam ławę wypływającą z wybuchającego wulkanu (każdy może to sobie wytłumaczyć, jak chce, ale wyobraźnia bohatera niewątpliwie jest rozogniona).

c) Surrealizm jest wywrotowy, wypowiada się przeciw uciskowi, wali w pysk burżuja, jest politycznie, religijnie i seksualnie radykalny. „Złoty wiek" pełen jest odpowiednich przykładów; niektóre podaliśmy wyżej. Na początku filmu łódź pełna dygnitarzy dobija do plaży, na której ma się odbyć jakaś ważna uroczystość. Zostaje ona jednak przerwana orgazmicznymi krzykami dwójki zaproszonych gości (Modot i Lya), przewracających się w błocie w gwałtownych, seksualnych pieszczotach. W scenie późniejszej ich schadzkę przerywa telefon. Modot wychodzi, a sfrustrowana Lys lubieżnie ssie palec u nogi klasycznego posągu. Bunuel odniósł wielki sukces próbując zaszokować publiczność. Przez wiele lat wyświetlanie jego filmu było zakazane.

d) Surrealizm obserwuje to, co go interesuje, oczami szeroko rozwartymi, z całą prostotą dziecka. Najzupełniej niezależ-

nie od tego, jak niewinnym lub niewłaściwym może się okazać obserwowany obiekt, hipnotyzująca intensywność badania nadaje mu pewnego abstrakcyjnego znaczenia. Nie wiemy, co owe „coś" oznacza, ale wiemy, że może coś znaczyć i że może później odkryjemy co? Z tego powodu „Złoty wiek" rozpoczyna się dokumentalnym w stylu zbliżeniem trzech walczących ze sobą skorpionów. Pozornie nie ma to nic wspólnego z następną sceną (grany przez Maxa Ernsta bandyta obserwuje lądujących na skalistym brzegu czterech biskupów, w następnym ujęciu na skałach leżą cztery szkielety), ale efekt pierwszej, zapamiętanej sceny rządzi jednak filmem narzucając nam pewien sposób widzenia życia – jako pełnego owadziego, beznamiętnego okrucieństwa skorpionów. W rzeczywistości surrealizm często bywa cyniczny, przywołując obrazy kosmicznego, absurdalnego okrucieństwa, które ranią nas nie z wyrachowania, lecz niejako przypadkiem.

„Złoty wiek" ma swoje wady i łatwo dziś uznać pewne jego części za pretensjonalne, lecz z pewnością jest to jeden z najważniejszych okresów w historii filmów fantastycznych.

Wszystkie wymienione tu cechy pojawiają się od czasu do czasu w kinie fantastycznym, najwyraźniej w świadomie artystycznych filmach kręconych dla „inteligencji", lecz także w produkcjach komercyjnych, przede wszystkim horrorach. Oto kilka przykładów z pierwszej grupy: „Zero de Conduite" (Przewodnictwo zerowe, 1933, reż. Jean Vigo), „Orphée" (Orfeusz, 1950, reż. Jean Cocteau), „Celine et Julie vont en Bateau" (Celina i Julia idą pływać, 1974, reż. Jacques Rivette). Jeśli zaś chodzi o świadomie nawiązujące do surrealizmu horrory, należy tu wymienić przede wszystkim „Eraser-head" (Głowica ścierna, 1976, reż. David Lynch), „La Bête" (Bestia, 1975, reż. Walerian Borowczyk), „El Topo" (Ćma, 1971, reż. Alexandre Jodorowsky). Bywa także wiele innych surrealistycznych horrorów, specjalnie (z jakichś powodów) dotyczy to włoskich „spaghetti" takich, jak „Inferno" (Piekło, 1980, reż. Dario Argento), „The Beyond" (Poza, 1981, reż. Lucio Fulci). Z innych wymienić należy „It's Alive!" (To żyje!, 1973, reż. Larry Cohen), „Phantasm" (Fantasma, 1978, reż. Don Coscarelli) i „The Evil Dead" (Diabelski nieboszczyk, 1982, reż. Sami Raimi). Polscy reżyserzy wydają się szczególnie uwrażliwieni na poetykę surrealizmu; przykładem służy praktycznie cała twórczość Polańskiego, „Possession" (Opętanie, 1981, reż. Andrzej Żuławski) i „Shout" (Wrzask, 1978, reż. Jerzy Skolimowski). Jej wyraźny wpływ daje się także zauważyć w kinie niemieckim.

Mówiąc krótko to, co w swej niewinności rozpoczął Bunuel, stało się prawdopodobnie najważniejszą częścią kina fantastycznego od czasu niemieckiego filmu gotyckiego. Czasami wpływ surrealizmu jest bezpośredni, czasami zaś pośredni, spowodowany samym jego językiem, który stał się częścią naszego sposobu myślenia. Język ten znany jest milionom ludzi nic nie wiedzących o Bunuelu lub André Bretonie, o których nic nie wspominają przecież telewizyjne reklamówki.

Dziwne może jedynie wydawać się to, że dwa najoczywiściej surrealistyczne filmy lat trzydziestych nie miały żadnych jawnych powiązań z ruchem surrealistów, chociaż ich reżyserzy z pewnością zdawali sobie sprawę z jego istnienia. Filmy te to „Vampyr" (Wampir, 1931-32) Carla Dreyera i „Freaks" (Dziwolągi, 1932) Toda Browninga.

Nienormalne wizje

Krytyk William K. Everson opisał „Wampira" jako „niekwestionowane arcydzieło gatunku" i – po dłuższych wahaniach – postanowiłem nie polemizować z jego zdaniem. Wahania te spowodowane były faktem, że ocalałe kopie są kiepskiej jakości i trudno ustalić, do jakiego stopnia ich bladość spowodowana jest latami kopiowania, a w jakim była zamierzonym efektem Dreyera.

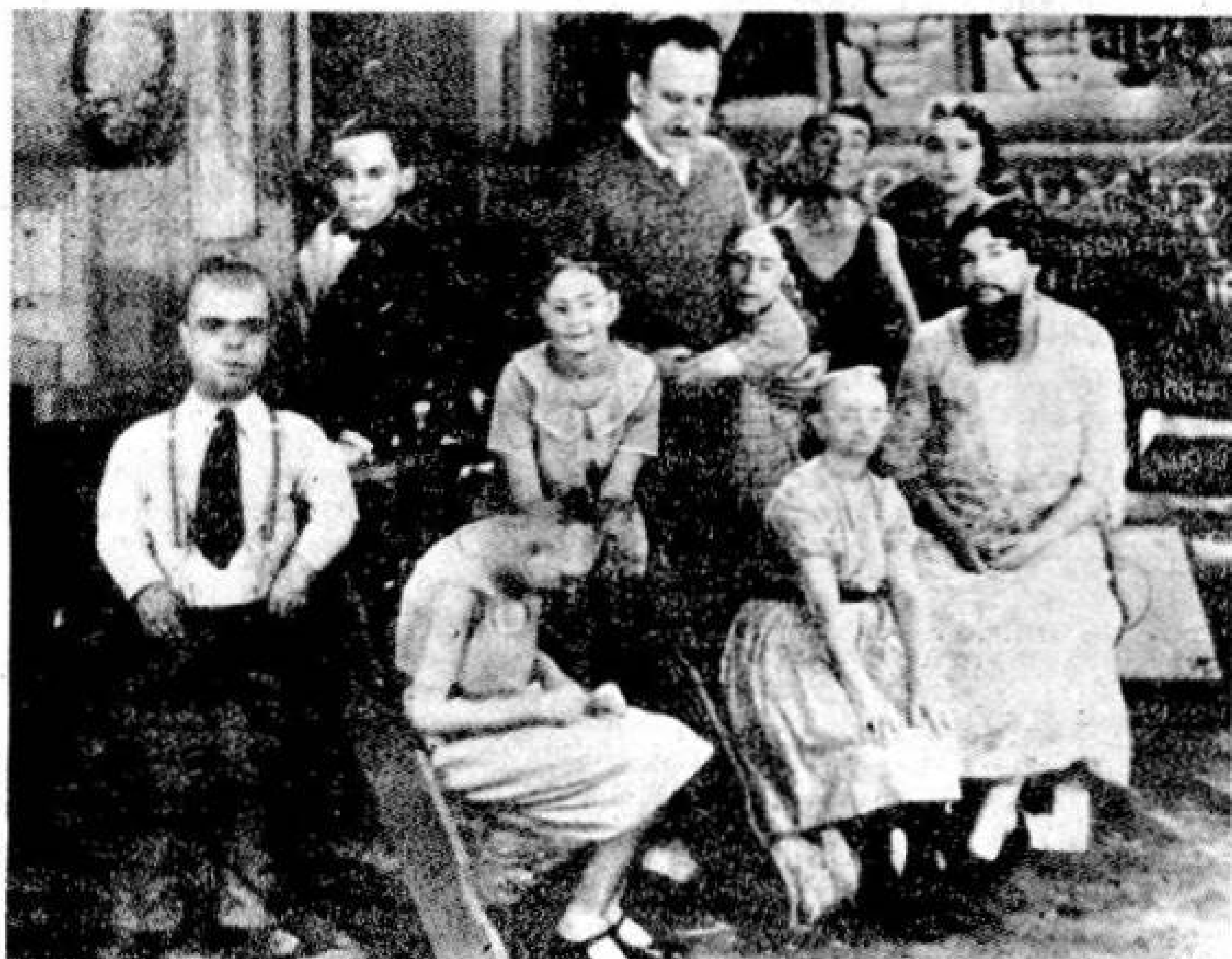
Film oparty jest na wątkach słynnej ekranizowanej później kilkakrotnie powieści Josepha Sheridana Le Fanu „Carmilla", opowiadającej o żeńskiej odmianie wampira. Niewiele jest w nim bezpośredniego strachu, przeważa duszna, klaustrofobiczna atmosfera niewytłumaczalnego. Powolna, bez wątpienia senna akcja sugeruje wyraźne związki z surrealizmem, poparte naciskiem kładzionym na niewyjaśnialne: cień policjanta odchodzi pozostawiając swego właściciela, czekający na prom wieśniak z kosą staje się na moment obrazem śmierci, pomarszczony starzec pojawia się w niewyjaśnialny sposób w sypialni bohatera, szepcząc mu na ucho: „Ona nie może umrzeć", bohater śni o tym, że został zamknięty w trumnie i jest w niej niesiony na cmentarz (umieszczona w trumnie kamera powtarza to, co widzi on sam), wampir (inaczej niż w powieści) nie jest piękną dziewczyną lecz starą kobietą, jej ludzki towarzysz, lekarz, zostaje tajemniczo uwięziony wewnątrz młyna i dusi się delikatnym, białym pyłem kompletnie zasypującym kamerę, co jest dziwnym nawiązaniem do pokazanych wcześniej zdarzeń.

Prolog przygotowuje nas do niezwykłej, sennej akcji filmu. „Jest grupa istot, których życie samo wydaje się nie do rozerwania związane z tym, co nadnaturalne. Pragną samotności. Samotności i snu – ich wyobraźnia wykształciła się w ten sposób, że sięgają marzeniami ponad to, co dostępne większości ludzi". Tak więc somnambuliczny, zadziwiająco pasywny bohater nie jest niewinnym obserwatorem występującym w większości filmów o wampirach, ale wydaje się, że to on sam dzięki swej osobowości, stwarza filmowe zagrożenia. Pośród nich najbardziej przerażające są te, które pokazano najsubtelniej. W jednym z ujęć, które szeroko lecz bez powodzenia naśladowano, Sybille Schmitz, ukąszona już przez wampira, leży słaba w łóżku. Powoli obraca głowę i czyniąc to, zmienia wyraz twarzy – z niewinności w zmysłową złośliwość; jednocześnie przesuwając językiem po zębach. Brak kłów, brak efektów specjalnych, osiągnięto jednak wrażenie grozy.

Oto jeszcze jeden z wielkich punktów zwrotnych na drodze rozwoju filmu fantastycznego – dzieło, pokazujące błyskotliwie, w jaki sposób tworzone przez umysł fantazje wpływają na sposób obserwacji rzeczywistości. Cały film nakręcony został w półświetle brzasku i zmierzchu, w nie istniejącym świecie spokoju i mgły. Operatorstwo Rudolpha Mate jest doskonałe, w odróżnieniu od jego późniejszych prac reżyserskich (było między nimi także „Zderzenie światów" – When Worlds Collide, 1951).

„Wampir" jest filmem mówiącym o nienormalnych wizjach. O tym samym, jakkolwiek w zupełnie inny sposób, mówią także „Dziwolągi". Podobnie jak „Złoty wiek", w odróżnieniu od większości produkcji hollywoodzkich, film ten przeleżał wiele lat na półce. Było to spowodowane przede wszystkim udziałem prawdziwych, cyrkowych kalek, wśród których między innymi wystąpiły bliźnięta syjamskie i kilka postaci tak dalece zdeformowanych, że nie sposób nie zdumiewać się, jakim cudem w ogóle pozostały przy życiu (przykładem może być mężczyzna, którego ciało kończyło się tam, gdzie normalnie zaczyna się klatka piersiowa). Film stawiał proste pytanie o to, gdzie zaczyna się „normalność". Olga Baclanova grała ładną i najzupełniej normalną artystkę występującą na trapezie, którą ubóstwia Hans (Harry Earles), karzeł, zaręczony z karlicą (graną przez jego siostrę, Daisy Earles). Kiedy artystka orientuje się, że Hans jest bogaty, godzi się na ślub, ale następnie próbuje go otruć. Cyrkowe kaleki odkrywają jej plan i mszczą się strasznie.

Fabuła jest melodramatyczna, ale melodramat podkreśla to, co film ma do przekazania – rzeczywistość rodzi się w oku obserwatora. Piękna akrobatka i jej przyjaciel-siłacz są w istocie nienormalni, bowiem nie znają uczuć, to znaczy – zwykłych, ludzkich uczuć. Z kolei szybko


„Dziwolągi", 1932



uczymy się patrzeć na kaleki jak na normalnych ludzi, może tylko łatwiejszych do zranienia. Usprawiedliwia to w pełni często krytykowana decyzja Browninga obsadzenia filmu prawdziwymi karłami. Jest to w gruncie rzeczy bardzo humanitarne i – co zdarza się rzadko – film pokazuje kaleki bez współczucia i bez sentymentalizmu jako zwykłe istoty ludzkie.

Karły oczywiście są bardzo świadome swego istnienia w zamkniętej grupie, jednak nie bardziej niż zdarza się to w znanych i w naszym świecie środowiskach uciskanych: wśród czarnych, kobiet czy homoseksualistów. Olga Baclanova nie może się radować wesołą pieśnią, którą śpiewają na jej weselu: „Jedna z nas, jedna z nas, trala-lila jedna z nas", myśl o uznaniu jej za karlicę budzi w niej wstręt. „Dziwolągi!" – krzyczy, a film jest nieco zbyt uładzony tym, że w końcu ona sama stanie się „dziwolągiem": karły ścigają ją przez błoto i deszcz (te, które los pozbawił członków, toczą się ku niej w scenie przerażającego, czarnego surrealizmu) i zmieniają ją w kobietę-kurę, całą pokrytą piórami i patrzącą na świat jednym błyszczącym okiem. Uważano, że jest to w złym guście – zbyt groteskowy jak na film, pokazujący w przejmujący sposób to, co może być normalne w najbardziej nieoczekiwanym otoczeniu. Zarzut ten jest chyba jednak nieco zbyt pompatyczny. „Dziwolągi" są raczej czarną komedią niż tragedią, a ich szokujące zakończenie – obrazem, z którego sam Salvador Dali byłby najprawdopodobniej dumny – jest na pewno najpotworniej najśmieszniejsze w całym filmie.

Jest to niewątpliwie najlepsze z dzieł Browninga, bez porównania doskonalsze od „Draculi". Współczucie i niewymuszona przyjaźń, jaką czuje on do kalek, ma z pewnością swe źródło w tym, że w młodości związany był z cyrkiem. Co najciekawsze, poza chirurgicznie niemożliwym zakończeniem, jest to film fantastyczny dlatego, ponieważ to my sami traktujemy kaleki jako istoty spoza granic rzeczywistości – „Dziwolągi" z wielką siłą zmuszają każdego z nas do przedefiniowania pojęcia fantastyki. MGM było jednak najwyraźniej innego zdania. Przerażona filmem wytwórnia pocięła go gęsto, skracając być może aż o 15 minut i dodała przesłodzony i niezupełnie zgodny z prawdą prolog o słynnych „potworkach" w historii, umieszczając w nim kilka postaci najzupełniej fikcyjnych (!) Zapewne nigdy nie dowiemy się, co straciliśmy. Oryginał był prawdopodobnie bardziej niespokojny i bardziej „czarny", z pewnością zawierał scenę kastracji siłacza, której dziś trudno domyśleć się na podstawie filmu.

Jeżeli chodzi zaś o moralność, wyrażającą się użyciem w filmie kalek, osoby interesujące się tego rodzaju kwestiami etycznymi powinny obejrzeć dzieła Browninga łącznie z dwoma innymi filmami: „Sisters" (Siostry, 1972) Briana De Palmy i „The Sentinel" (Strażnik, 1976) Michaela Winnera. O ile w drugim z nich, będącym przykładem wykorzystania najbardziej brutalnego sadyzmu, karły użyte są jako symbol świata opanowanego przez potworne zło, o tyle pierwszy można ocenić względnie pozytywnie. I w nim przeróżne potworki oznaczają „odstępstwo od normy", lecz tym razem z kontekstu wynika, że to pozornie „normalna" bohaterka postawiona zostaje twarzą w twarz ze swą własną nienormalnością.

cdn.

Przełożyli
Krzysztof Sokołowski
Paweł Ziemkiewicz

Szablicki Janusz
(ur. 1937)
Ekonomista, autor SF

Urodził się 20 października 1937 r. w Sosnowcu. Ukończył Akademię Ekonomiczną w Katowicach. Pracuje w resorcie handlu zagranicznego.

Jako autor SF debiutował w 1972 r. opowiadaniem **„Gra w berka"** zamieszczonym na łamach „Młodego Technika". W 1976 r. uzyskał wyróżnienie w konkursie „Nurtu" za tekst **„Autotranslacja"**. Swoje utwory publikował na łamach „Młodego Technika", „Nurtu", „Panoramy", „Tak i Nie". Wydał trzy zbiory opowiadań: **„Konflikt"** (Nasza Księgarnia, Warszawa 1978; zawartość: Śledztwo, Autotranslacja, Komórki do wynajęcia, Nowa teoria nieskończoności, Stan wyższej konieczności, Konflikt), **„Trzecie stadium ewolucji"** (Śląsk, Katowice 1980; zawartość: Holoman, Kłamstwo, Android, Śmieciarze przestrzeni, Ucieczka, Olimpijczyk, Trzecie stadium ewolucji), **„Dla każdego inny raj"** (Śląsk, Katowice 1984; zawartość: Misja, Alternatywa, Zawsze będziesz sobą, Rekompensata, Dla każdego inny raj).

Opowiadania Janusza Szablickiego nawiązują do przygodowych, popularnych wzorców fantastyki naukowej lat sześćdziesiątych. Autor próbuje oddać swoistość świata przedstawionego za pomocą neologizmów. Na uwagę zasługują utwory „Holoman", „Kłamstwo", „Ucieczka" będące przykładami psychologicznej i ekologicznej odmiany SF.

Recenzje wybrane:
– M. Łukaszewski (w:) „Nowe Książki" 1978/21.

■

Szarłat-Kierlańczyk Aleksandra
(ur. 1952)
Filolog, tłumacz, autorka SF

Urodziła się we Wrocławiu 13 stycznia 1952 r. Ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim. Absolwentka Studium Doktoranckiego Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizuje się w teorii literatury (zagadnienia prozy kryminalnej). W latach 1984–1985 pracowała w redakcji fantastyki naukowej Krajowej Agencji Wydawniczej, następnie w Instytucie Prasy i Wydawnictw „Novum". Tłumaczka literatury rosyjskiej autorka powieści kryminalnej „Nie chodź do parku w niedzielę", nowel filmowych i scenariuszy telewizyjnych, sztuk dla dzieci i młodzieży.. W 1981 r. opublikowała powieść **„Bogowie naszej planety"** (współautorka: Ewa Szymańska, KAW, Warszawa) mówiącą o wyprawie w przeszłość naszej cywilizacji i wynikających stąd konsekwencjach.

■

Szczepański Ludwik
(1872–1954)
Poeta, dziennikarz, powieściopisarz, krytyk literacki

Urodził się 5 marca 1872 r. w Krakowie. Rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Wiedeńskim, kontynuował je na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Jako poeta debiutował w 1892 r. tomem liryków „Srebrne noce". Był założycielem i pierwszym redaktorem „Życia" krakowskiego. Liczne artykuły, recenzje, omówienia zamieszczał na łamach „Dziennika Krakowskiego", „Gazety Lwowskiej", „Przeglądu Tygodniowego". W latach 1903–1913 wydawał „Nowiny dla wszystkich", a w latach 1914–1916 pracował w redakcji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego". Autor pracy „O co się wojna toczy i kiedy będzie pokój" (1915) oraz wielu felietonów satyrycznych.

W 1916 r. władze austriackie, aby zapobiec jego działalności publicystycznej powołały go karnie do armii osadzając w obozie wojskowym pod Linzem. Zwolniony z obozu w 1917 r. pracował jako urzędnik we Lwowie. W 1918 r. redagował „Dziennik Polski". W 1919 r. był członkiem redakcji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego". W tym czasie opublikował kilka powieści współczesnych i antologię „Pieśń polska w latach wielkiej wojny" (1917). Autor wielu prac z zakresu mediumizmu i spirytyzmu, m.in. „Wiedza tajemna, wróżbiarstwo, magia dni naszych" (1939), „Czy umarli mówią z nami? Spirytyzm współczesny" (1936), „Mediumizm i wielkie media polskie" (1936). W 1923 r., otrzymał Srebrny Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury, w 1973 r. tytuł seniora Syndykatu Dziennikarzy Polskich. W 1944 r., unikając represji hitlerowskich uciekł na Węgry. Wrócił do kraju w 1945 r. Napisał w celach zarobkowych kilka poradników kulinarnych, broszur o reformie obyczajów. Ostatnie lata życia spędził w całkowitej nędzy. Zmarł w szpitalu w Krakowie 10 lutego 1954 r.

Fantastykę naukową reprezentują w twórczości Szczepańskiego dwie powieści: **„Król powietrza. Powieść z najbliższej przyszłości"** (przedruk w: „Dziennik Powszechny" 1908–1909; wyd. osobne Kraków G. Gebethner, 1909) oraz **„Przewrót. Powieść z najbliższej przyszłości"** (G. Gebethner Kraków 1911). Oba utwory należą do popularnego nurtu powieści militarnych prognozujących szybkie wyzwolenie Polski oraz wybuch pierwszej wojny światowej. Bohaterem książek jest inżynier Jan Silnicki wynalazca statku powietrznego, aeromobilu o nazwie „Wolność", który okaże się obiektem przetargowym w walce z Prusami i otworzy aliantom drogę do ich stolicy. Losy niezwykłego statku przekształconego na pancernik powietrzny ukazane na tle teatru działań wojennych oraz perypetii miłosnych bohatera stanowią właściwą treść książek.

Recenzje wybrane:
– (a.st.) w: „Gazeta Lwowska" 1909/289,
– A.E. Balicki (w:) „Przegląd Polski" 1909/78–81,
– (...) w: „Tygodnik Ilustrowany" 1909/26,
– (m.p.) w: „Nowa Gazeta" 1911/233,
– A. Drogoszewski (w:) „Książka" 1912.

■



Król powietrza. Powieść z najbliższej przyszłości

Ludwik Szczepański

Naokoło statku powietrznego, lśniącego w promieniach południowego słońca, zgromadziło się około pięćdziesięciu dziennikarzy, uczonych, kilku ciekawych dygnitarzy, adiutant cesarski, prezydent policji i kilku starszych komisarzy...

Inżynier Silnicki podszedł ku nim w towarzystwie Kruszka – i zmieszany trochę owacją, jaką mu zebrani zgotowali, począł z wielką prostotą i skromnością tłumaczyć im zasady konstrukcji. Nie wyjawił jednak wszystkich szczegółów wynalazku, a na pytania Kreutzmana dawał wymijające odpowiedzi:

– Statek waży 2000 kilogr., a udźwignąć może 500 do 1.000 kilogr. balastu. Chyżość lotu przy spokojnym powietrzu dosięga do 120 kilometrów na godzinę, a z pomyślnym wiatrem może być jeszcze znacznie większa. Aeromobil ten, dzięki sprawności swych maszyn, może się oprzeć nawet silnemu wiatrowi, czy zdołałby stawić opór nawet huraganowi, o tym oczywiście powątpiewać należy; ale aeromobil mój ma możność zawsze za pomocą odpowiedniego wzniesienia się w górę wydobyć ze sfery burzy. Statek wznosi się dzięki wirowaniu obu kół wiatrakowych, które mają po trzynaście metrów średnicy, wprowadzają je w ruch dwa elektromotory, które prąd elektryczny czerpią z akumulatorów.

Z akumulatorów? – przerwał profesor Kreutzmann – Chyba pan ma jakieś specjalne akumulatory o nadzwyczaj małej wadze? Wszakże potrzebuje pan, jak sądzę, co najmniej 120 koni siły do wprowadzenia kół w ruch?

Inżynier Silnicki uśmiechnął się:

– Profesor ma zupełną rację, posiadam własnego systemu akumulatory, które są wprawdzie w porównaniu z obecnie używanymi bardzo lekkie, niemniej jednak tworzą główną część ciężaru mojego aparatu. Naładowane elektrycznością, dają mi one możność utrzymania kół w ruchu wirującym przez 4-6 godzin tylko, mogę jednak dzięki pewnemu wynalazkowi, który na razie pominę milczeniem, uzupełniać ładunek elektryczny akumulatorów bez potrzeby lądowania.

– Elektryczność bez drutu? – spytał zdumiony Kreutzmann.

– O nie – odpowiedział Silnicki – ale darujecie panowie, że przed opatentowaniem tego sposobu nie będę się nad nim rozwodził. Powiem tyle tylko, że działa tu termoelektryczność, do wytwarzania której wystarczą promienie słońca. Zresztą nie myślcie panowie, że uniósłszy się w powietrze muszę zużywać tak wiele siły elektrycznej. Trudny jest tylko sam wzlot, albowiem przy wzlocie, muszę kołom nadać największą możliwie ilość obrotów, aby statek podźwignąć, następnie jednak utrzymuje się on w powietrzu nie tylko dzięki działaniu kół, ale także dzięki działaniu tych płaszczyzn nośnych rozpiętych pod kołami, a tworzących zarazem rodzaj spadochronu. Im chyżej statek porusza się w linii horyzontalnej, tym łatwiej oczywiście utrzymuje się w powietrzu i płynie lotem żaglowym i falistym, jak to panowie zapewne obserwowaliście podczas mego wzlotu pod Berlinem.

Do poruszania mego statku w linii horyzontalnej służą te dwie śruby, umieszczone z obydwu końców aparatu. Śruby te o pięciometrowej średnicy wprowadza w ruch benzynowy motor turbinowy o sile 150 koni, który może nadać śrubom 400 obrotów na minutę. Cały aparat jest 32 metry długi, koła wiatrakowe mają, jak wspomniałem po 13 metrów średnicy. Jak panowie widzicie, jest to drobiazg wobec takiego kolosu jakim jest balon waszego Zeppelina, który liczy 130 metrów długości i którym można manewrować tylko przy zupełnie spokojnym powietrzu i który przeto nie ma wielkiej praktycznej wartości – a tylko dwa razy większy od latawców braci Wright, Farmana i Delagrange'a, którzy wszyscy, aczkolwiek wznoszą się w powietrze, praktycznym wymaganiom zadość uczynić nie mogą i narażeni są w locie na wielkie niebezpieczeństwa z powodu chwiejnej równowagi.

– Dlaczego pan używa akumulatorów elektrycznych do pędzenia kół wiatrakowych, zaś benzynowego motoru do obracania śrub a nie na odwrót?

– Koła wiatrakowe utrzymują statek w powietrzu, potrzebuję więc do ich popędu maszyny, która by ich nigdy nie zawiodła, taką są akumulatory, gdy natomiast benzynowy motor nie rzadko odmawia posłuszeństwa.

– Jak pan zdołasz utrzymać równowagę w powietrzu zwłaszcza, jeśli nagle z boku silny prąd wiatru uderzy o statek?

– Utrzymanie równowagi istotnie najwięcej sprawia wciąż kłopotu wszystkim francuskim i amerykańskim wynalazcom konstruktorom aeroplanów. Przy moim aeroplanie-śrubowcu, w którym główny ciężar umieszczony jest bardzo nisko, trudność ta prawie nie istnieje. Zresztą za pomocą wstrzymywania lub przyśpieszania obrotu kół wiatrakowych mogę w danym wypadku automatycznie przywracać równowagę.

I długo jeszcze inżynier Silnicki tłumaczył zebranym szczegóły konstrukcji swego aeromobilu.

– Czy zamierza pan statek oddać państwu na cele wojskowe?

– O bynajmniej. Ten nowy środek komunikacji powinien służyć celom kultury nie wojny"...

Szczepański Ludwik, Król powietrza. Powieść z najbliższej przyszłości, G. Gebethner, Kraków 1909 r, wybór ze stron 21-24.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Tryumf walca

Wielkie antyutopie XX wieku. Spróbujmy ostrożnie wymienić: „My" Zamiatina (1921), „Nowy wspaniały świat" Huxleya (1932), „Zaproszenie na egzekucję" Nabokova (1938), „1984" Orwella (1948), „Fahrenheit 451" Bradbury'ego (1954), wreszcie „Mała apokalipsa" Konwickiego (1979). Listę tę można by zapewne wzbogacać: rzecz bardziej w tym, że po okresie zastoju wydawniczego coś się na rynku księgarskim ruszyło (mam na myśli repertuar, nie tempo edycji) i na przełomie roku niektóre z wymienionych tytułów czytelnik polski otrzymał po raz pierwszy oficjalnie, zaś innych powinien wkrótce poszukiwać w księgarniach. W ten prosty sposób – dzięki odwołaniu zakazów – książka wraca u nas na należne jej miejsce, stając się czołowym medium życia kulturalnego.

Opisy społeczeństw szczęśliwych, rządzonych i urządzonych sprawiedliwie, projekty zmian, które by do tego prowadziły zajmują myśl największych filozofów i literatów od tak dawna, że nawet Tomasz Morus nie był pierwszym, który się w nie włożył. Jego „Prawdziwie złota książeczka, równie pożyteczna jak dowcipna, o najlepszym urządzeniu republiki i o nowej wyspie Utopii" z roku 1516 dała wprawdzie nazwę całej dziedzinie owych zmagań z niemożliwością, lecz dopiero wiek XX obrodził porządnie odwrotami od społecznej kwadratury koła. „Nowy wspaniały świat" Aldousa Huxleya uznać można za ostateczne skompromitowanie zacnej idei Utopii. Huxley podkreślił podwójną linią liczące co najmniej dwadzieścia pięć stuleci zmagania z problemem.

Na czym polega rewelacja „Nowego wspaniałego świata"? Huxley zlikwidował ojcostwo i macierzyństwo, wprowadzając sztuczne hodowanie embrionów na koszt państwa. Także całe wychowanie nowego obywatela spoczęło w odpowiedzialnych i wysoce kwalifikowanych państwowych rękach. Ot, cała tajemnica. Rzecz w tym, że projektując rewolucyjne zmiany w układzie społecznym nie sposób obejść się bez przekształcenia pojedynczego elementu społeczeństwa – żywego człowieka. Jak daleko owo przekształcenie ma sięgać, jak zadać je bezboleśnie? Nowoczesna biologia pokazała drogę: trzeba się za człowieka zabrać dostatecznie wcześnie, a rozmiar odkształceń w jego naturze, psychice i zachowaniu zależeć będzie tylko od woli projektodawcy. W Londynie 2541 roku, 632 lata po śmierci Henry'ego Forda, który wprowadził produkcję taśmową i dał początek nowej epoce (i nowej rachubie lat), w tym Londynie dzieci produkuje się taśmowo, w butlach wypełnionych świńską otrzewną, dostarczając płodom wszystkiego, czego im trzeba do właściwego rozwoju.

A właściwy rozwój to rozwój według planu. Każdy embrion jest z góry przeznaczony do wykonywania określonych funkcji społecznych. Dzwoni telefon, warczy telex: „Zamawiam tysiąc górników". „Zróbcie mi tam pięćset kelnerek, wysokich blondynek". „Stu windziarzy – natychmiast!" Niemożliwość zglajchszaltowania tych funkcji sprawia, że ludzie muszą rodzić się różni, a mimo to nie naruszać egalitaryzmu Republiki Świata. Osiąga się to, poddając rosnące embriony obróbce cieplnej i chemicznej, dozując im tlen i rozmaite zabiegi. Niedomiar tlenu, jak wiadomo, ma istotny wpływ na obniżenie inteligencji noworodka, a na przykład wszczepiane mu porcje alkoholu powodują skarłowacenie (być może dlatego niedobrze palić w ciąży i pociągać z flaszy). Maksymalnie zunifikowane społeczeństwo Republiki Świata liczy więc sześć kast, od alfy do epsilona. Każdy egzemplarz poszczególnej kasty otrzymuje zajęcie stosowne do swych zdolności, co pozwala mu uniknąć stresów i tęsknot do innego życia.

W cenie jest zatem konkret: puder, pas maltuzjański, osiem rodzajów perfum. W pracy – kontrolowanie wąskiego wycinka. *Bo aby rozumnie pracować, jakieś ogólne pojęcie rzecz jasna mieć muszą – choć możliwie najmniejsze, jeśli mają być dobrymi i szczęśliwymi członkami społeczeństwa. Wiedza o szczegółach bowiem, jak każdy wie, przydaje cnót i szczęśliwości, zaś wiedza ogólna to dla umysłu zło konieczne. Nie filozofowie, lecz pracowite mrówki i zbieracze znaczków tworzą kręgosłup społeczny.* Żeby zaś odchyłka standardowa nie bruździła w tym społecznym raju, po drodze od narodzin do wejścia w życie jest jeszcze warunkowanie à la psy Pawłowa i kształcenie hipnopedyczne (tysiąc powtórzeń równa się jedna prawda). Wszyscy otrzymują tabletki somy, czyli jakby bezalkoholowego i bezkacowego środka odurzającego, który likwiduje wszelkie niepokoje.

O dziwo, tak pomyślana maszyneria obraca się gładko, nikt nie narzeka, nie protestuje. A jednak, czujemy to instynktownie, coś tu jest nie w porządku. Najpierw dlatego, gdyż zmiana stosunków społecznych każdorazowo pochłania hekatomby ofiar. Cóż wart jest najbardziej bajeczny porządek, zaprowadzony na gorach ludzkich kości? Po wtóre: decydowanie z góry o przeznaczeniu człowieka, sprowadzające się do fizycznego redukowania jego szans, zawsze będzie zbrodnią. Po trzecie: powodzenie takiego modelu zależy od skuteczności naukowych i technicznych metod, od nieomylności dozoru. Żaden z tych czynników nie jest niezawodny, teraz ani w przyszłości. Po czwarte wreszcie: tak zaprogramowane społeczeństwo może i będzie trwać w pomyślności – ale tylko trwać. Gra sił utrzymujących je w homeostazie toleruje bardzo niewielki margines niespodzianek. Teoretycznie więc (ale tu wszystko jest teorią) zupełnie śmieszny powód może spowodować wytrącenie go z koleiny stabilności i nieuchronny rozpad, gdyż ubezwłasnowolnienie wpisane w system powoduje utratę jakiejkolwiek inicjatywy przez jednostki.

Sprawa nawigatora Calena

Jerzy Grundkowski nie jest na obszarze literackiej fantastyki nową postacią: zwrócił na siebie uwagę dwoma borgesowskimi tomami opowiadań o wymyślonej cywilizacji Annopolis. Później przyszło zainteresowanie prozą bliższą science fiction, choć na druk czeka również obszerna powieść Grundkowskiego klimatem nawiązująca do cyklu o Annopolis. Na razie otrzymali czytelnicy krótką powieść pod atrakcyjnym komercyjnie tytułem „Śmierć w kosmolocie". Ale zarówno tytułu, jak i całej powieści nie można odczytywać wprost, zgodnie z sugerowaną przez samego autora strategią lekturową. To bynajmniej nie jest przyszłościowy kryminał – powieść Grundkowskiego bliższa jest tradycyjnej prozie psychologicznej niż trywialnym opowiastkom sensacyjnym. Cóż, mamy do czynienia z pisarzem, który potrafi nasycić trywialną formułę treścią głębszą i intrygującą.

Czym więc jest „Śmierć w kosmolocie"? W tej zwartej, skróconej postaci, w jakiej powieść została wydana (znam z lektury maszynopisu jej poprzednią, o wiele obszerniejszą wersję, gdy jeszcze nosiła tytuł „Sprawa nawigatora Calena") jest to wartka opowieść o umysłowej dewiacji, jakiej ulega powracający z dalekiej wyprawy kosmonauta. Skazany na nieustanne towarzystwo drugiego człowieka oraz maszyn, znużony podróżą i powtarzalnością rutynowych czynności, znajduje się w stanie swoistego umysłowego odrętwienia. I wtedy dostrzega, że coś się wokół niego dzieje, że drobne zdarzenia, na które w normalnych warunkach nie zwróciłby uwagi, układają się w – dla niego wyraźny – łańcuch. Jeszcze nie wie, co to znaczy. Myśli o nich, kojarzy i dochodzi do wniosku, że ktoś (coś?) pragnie jego śmierci, że pokładowy komputer aranżuje takie sytuacje, które mogą spowodować jego, Calena, śmierć. Komputer nie może go zabić, bo nie pozwala na to program, ale może dążyć do jego śmierci w sposób bardziej okrężny. Powód? Część zapasu wody została skażona i z wyprawy może powrócić tylko jeden kosmonauta – dla dwóch nie wystarczy wody. Z beznamiętną logiką i konsekwencją komputer dąży więc dostępnymi sobie środkami do wyeliminowania jednego z członków dwuosobowej załogi. Calen chce przeciwdziałać... Jak? Tego nie zdradzę, bo mimo moich wcześniejszych zastrzeżeń i ten sensacyjny wątek nie jest mało ważny. Bez niego powieść straciłaby wiele ze swojej atrakcyjności.

Oczywiście miłośnicy tradycyjnej, przygodowej fantastyki, jak i jej bardziej wyrafinowanych odmian przyjmą powieść Grundkowskiego z rezerwą, ponieważ element psychologiczny przeważa w niej nad fantastycznym. Z fantastyki wziął w gruncie rzeczy Grundkowski tylko dekorację i pretekst narracyjny, zresztą możliwy i w innych warunkach. To, co stanowi treść książki, to opis kolejnych faz zapadania się Calena (również narratora „Śmierć w kosmolocie") w obłęd, opis tego, co dzieje się w jego udręczonej podejrzeniami i niepewnością psychice. Grundkowski przy pomocy tradycyjnych środków narracyjnych stara się oddać istotę procesów myślowych, do których literatura przystępowała już z najróżniejszymi narzędziami i różne efekty osiągała. Narracja „Śmierci w kosmolocie" jest spokojna, konwencjonalna i, w pewnym sensie sztuczna, bo przekładająca i upraszczająca język myśli na język literatury. Nie wzbudza to oporów, bo to literacka norma i dlatego powieść jest w tym wszystkim, wiarygodna.

Dopiero samo zakończenie budzi wątpliwości: Calen wpakowany w śmiertelną pułapkę dokonuje zbyt trzeźwej i wyważonej, jak na sytuację, w jakiej się znalazł, analizy swego postępowania. W tym jest jednak jakiś fałsz psychologiczny – rozumiem, że wynikający z przyjętej konwencji, analogiczny do fałszu opery, w której śmiertelnie raniona diwa ma jeszcze siłę, by wpół leżąc odśpiewać wspaniałą arię finałową. A jednak... Dzisiejsza powieść stara się unikać takich „podejrzanych" sytuacji, dba o większe prawdopodobieństwo, wyraźnie dąży do prawdy psychologicznej. No, ale z drugiej strony przed powieścią Grundkowskiego stały jednak również zadania komercyjne i to musiało narzucić niektóre rozwiązania pisarskie.

Leszek Bugajski

Jerzy Grundkowski: *Śmierć w kosmolocie*. Pomorze, Bydgoszcz 1988. Cena 320 zł.

Rzecz jasna model ten kompromituje się w konfrontacji z doświadczeniem czytelnika, który żyjąc pod koniec XX wieku ma wokół siebie świat urządzony inaczej (choć nie pod każdą szerokością geograficzną tak samo). Huxley, jakby dla testu, wprowadza w lśniący ład zakłócenia w osobie Dzikusa, reprezentującego wszystkie dobre i złe cechy świata starego, sprzed zmiany, skazanego na wymarcie. Dzikus widzi to, czego uwikłani w grę członkowie tego społeczeństwa dostrzec nie są w stanie: postępującą surowość obyczajów, rozdęty konsumpcjonizm, dobrowolne niewolnictwo, rezygnację z wolnej woli i własnego sądzenia faktów – czyli z podstawowych atrybutów człowieka.

Kiedy więc Dzikus występuje przeciw choremu porządkowi tej błyszczącej, pachnącej i szczęśliwej cywilizacji, jego bunt wydaje się naturalny, choć niczego odwrócić nie może. Zginie zgwałcony (także dosłownie) przez cywilizację przemysłową, która jednakowymi metodami produkuje rzeczy powszechnego użytku i zaspokaja duchowe potrzeby obywateli. Dzikus, nieco śmieszny w swej staroświeckości, dziś niemal anachroniczny, budzi przecież szacunek konsekwencją w postępowaniu i tym, że za wytrwanie przy wyznawanych wartościach gotów płacić najwyższą cenę.

Cóż bowiem zaszło w nowym, wspaniałym świecie? *Otóż dokonano monstrualnej manipulacji świadomością jednostek, uzyskując paradoksalną jedność przeciwieństw: kastowy egalitaryzm egzemplarzy z butli, szczęśliwe niewolnictwo, prymitywizm supercywilizacji, pełnię pustki*, pisze w świetnym posłowiu Bogdan Baran, z wykształcenia filozof i matematyk, z konieczności tłumacz (ale dobry!). Trzeba to utrzymywać w tajemnicy, więc w Londynie 2541 roku nie ma książek, kadłubowa prasa dba, by nie mącić przyjemnego nastroju, a wszelka niekonwencjonalna myśl jest dławiona w zarodku. Formy ekspozycji uczuć sprowadziły się do paru formuł typu *Tul mnie miły z całej siły* (w miłosnym szale) albo *Lepsza mikstura niż awantura* (gdy konflikt). Naczelne dewizy epoki AF 632 brzmią: „Historia to bujda" oraz „Każdy należy do każdego". Samotność nie jest dobrze widziana, podobnie jak opieszałość w orgiach-porgiach i przywiązanie do jednego partnera. Boga oczywiście nie ma, a krzyże, w takiej masie odziedziczone po dawnej, skandalicznej epoce, przekształcono w symbole T (oznaczające Forda) poprzez prosty zabieg: obcięcie górnego ramienia.

Czy po półwieczu od powstania „Nowego wspaniałego świata" zaprezentowana tam wizja zyskała większe szanse ziszczenia? Przecież w USA i innych krajach zachodnich bożek konsumpcji wydaje się czczony nie gorzej niż u Huxleya. Także, jak się rzekło, nauka wydaje się na tropie nieodzownych narzędzi. Pojawiły się jednak niespodziewane bariery, które najprościej określić jako granice wzrostu. Swoje veto powiedziały ekologia i demografia (u Huxleya uszczęśliwieniu podlega populacja dwumiliardowa). Mimo iż człowiek nadal pozostał niepokojąco plastyczny na kształtowanie w palcach zręcznych socjotechników, zabieg à la Huxley wydaje się ryzykowny.

„Nowy wspaniały świat", utopia tak doskonała, że zamienia się we własne przeciwieństwo i zgodnie z intencją autora kompromituje przy okazji własny rodzaj, pochodzi z obszaru literackiego pogranicza, gdzie chętnie wbija swoje tabliczki socjologiczna odmiana science fiction. Swoje trzy grosze wtrąca tu i filozofia. Leszek Kołakowski w rozprawie „Jeśli Boga nie ma" przytacza za Leibnitzem opinię, że świat nasz został stworzony jako dzieło optymalne, to znaczy o najkorzystniejszych z możliwych proporcjach dobra i zła. Huxley, dyskutując z tym werdyktem, przedstawia świat, gdzie proporcje te zostały naruszone. Jakkolwiek by było, optimum Leibnitza jest na tyle szerokie, że zezwala na dokonywanie w jego obrębie grubych nadużyć na skalę już nie jednostek, ale narodów i kontynentów. Dlatego winniśmy spać czujnie i dbać, by pogłowie Dzikusów w społeczeństwie utrzymywało się na stałym, wysokim poziomie. Trzeba dbać i walczyć o każdego Dzikusa, w nich cała nadzieja. Dopóki Dzikusy chodzą po ulicach, nic nam się stać nie może.

Marek Oramus

Aldous Huxley: *Nowy wspaniały świat*. Tłumaczył Bogdan Baran. Seria „Fantastyka – Groza". Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988. Cena 540 zł.

Prawo sępów

Jeden z moich znajomych porównał kiedyś polskich edytorów do stada sępów, kołujących nad trupem wędrowca w oczekiwaniu aż ostygnie – to znaczy, aż upłynie przepisowe 25 lat i można będzie rozszarpać spuściznę po nim, nie płacąc nikomu ani centa. Ta obrazowa metafora towarzyszyła mi nieodparcie przy lekturze zbioru Henry'ego Kuttnera „Twonk" – trzeciego już w czytelnikowskiej serii „z kosmonautą", piątego w ogóle w ciągu ostatnich kilku lat i zarazem najsłabszego, jaki dotąd w Polsce wydano.

Uczyńmy tu publiczną własnością fakt, że dwudziestopięcioletni nieboszczyk jest dla naszych wydawców skarbem zgoła nieocenionym. Wiadomo, że żebranie wśród zachodnich pisarzy o zgodę na druk za złotówki jest czynnością niewdzięczną – z reguły nie kolekcjonują oni makulatury, a spora część nie znajduje przyjemności w udzielaniu jałmużny. Trzeba nie tylko przemóc wstyd, ale i zmitrężyć wiele czasu, starać się, no i mieć zielone pojęcie o fantastyce. Edytorów spełniających zwłaszcza te dwa ostatnie wymogi można u nas policzyć na palcach jednej ręki. Pozostali SF owszem, używają, ale się nią brzydzą, a spytani publicznie o produkowaną przez siebie fantastykę zachowują się niczym szacowny mieszczuch przyłapany w domku pod czerwoną latarnią. Przygotowaniu pozycji SF poświęca się w tych oficynach niewiele uwagi. „To" nie musi być dobre, „to" ma się sprzedać i zarobić na utrzymanie rodzimych literatów z nominacji.

Najłatwiej zatem pochwycić w pacht jakiegoś szacownego nieboszczyka i tłuc, tłuc, tłuc, aż do ostatecznego wyskrobania. Inna sprawa, że ostatnio wokół „dojrzałych" już do zaprezentowania krajowej widowni zewłoków robi się coraz większy tłok, o zarezerwowanie opcji na stygnącego pisarza toczą wydawcy zupełnie nie homeryckie boje prawem i lewem – ubawiłoby czytelników parę szczegółów lecz niestety nie wolno mi ich podać. I tak już jedno ze zjechanych na tych łamach wydawnictw wygrażało mi uparcie prokuratorem, czym chełpię się bezwstydnie, nie tając, iż ogromnie to dowartościowało recenzencką połowę mojej duszy.

Uczciwie trzeba przyznać, że ścierwojady, acz mało sympatyczne, są stworzeniami pożytecznymi. Edytorskie prawo sępów działa na korzyść czytelnika, przynajmniej z początku. Dostajemy klasykę amerykańskiej SF, to cieszy, i nie pozwoliłbym sobie na powyższe szyderstwa przy omawianiu takich jak „Świat należy do mnie" czy „Stos kłopotów".

Kuttner, znany nam dzięki swej przedwczesnej śmierci, rzadko bywa wymieniany w pierwszym garniturze gigantów SF. Niewątpliwie jednak był znakomitością, choć jego opowiadania z teoretyczno-literackiego punktu widzenia są proste jak konstrukcja parasola. Pod tym względem niewiele różni Kuttnera od legionu wyrobników, odwalających pańszczyznę dla magazynów SF – może tylko niezwykła lekkość pióra i wyczucie dowcipu. O jego wielkości zadecydowało to, co stanowiło jedyną istotną sprawę SF „złotego wieku" – pomysły. Amerykański pisarz miewał pomysły genialne w swej prostocie, jego konstrukcje fabularne, budowane z żelazną logiką, pełne są zaskakujących paradoksów, odkrywczych point, olśniewających erupcji humoru. Będąc rozrywką bezpretensjonalną, są jednocześnie rozrywką niezwykle inteligentną. Dla profesora, który może śledzić z uwagą, jak z naukowego wywodu opartego na naukowych przesłankach powstaje totalna paranoja, i dla szarego czytacza, który rży nad przygodami genialnego wynalazcy-alkoholika Galleghera (chyba, że ma zwoje mózgowe z szamotowej gliny i usposobienie skacowanego grabarza). Warto przypomnieć, że nadużywane u nas określenie „literatura rozrywkowa" oznacza właśnie literaturę dla każdego, a nie, jak to zdołali przeforsować w społecznej świadomości główlonurtowcy, literaturę tylko dla półgłówków. Półgłówki zresztą nie czytają w ogóle.

Powyższe dotyczy oczywiście najlepszych tekstów Kuttnera. W omawianym tu zbiorze znalazły się takie dwa: „Potrzask" i „Tubylerczykom spełły fajle" – chyba przez niedopatrzenie. Cała reszta, w zestawieniu z poprzednimi zbiorami, jest wielkim rozczarowaniem. Jakieś juwenilia, spady z warsztatu znakomitego pisarza, w najlepszym wypadku lokujące się na poziomie przeciętnym. Można by tę książkę reklamować (gdyby było warto) hasłem: „Kuttner, jakiego na pewno nie znacie". Blisko jedną trzecią objętości zbioru zajęła naiwna bzdura „Nocne starcie", na wspomnienie której autor do dziś musi się zrywać w trumnie na równe nogi i długo, przeraźliwie wyć. Niestety, wyje za cicho, albo za daleko. Należy się spodziewać, że wydawcy wytłuką na drukarskich prasach absolutnie wszystko, co zdarzyło mu się w życiu popełnić, bez żadnej litości. Dopiero wtedy rozejrzą się za świeżym trupem.

Odnoszę wrażenie, że „Czytelnik" bezładnie upchał między okładki wszystko, co udało mu się wyrwać sprzed dziobów innych sępów. Trudno tu mówić o dokonaniu wyboru, chociaż ktoś na pewno wziął za to pieniądze. Kto – nie wiadomo, wstydzi się przyznać. To też znamienne, że coraz więcej w SF wydawniczych anonimów. No, bij łbem o ścianę, nie dowiesz się, kto publikację opracował, chałtura pozostaje sierotą. Swego czasu, oglądając obrazki w rosyjskich książkach, zauważyłem, że podaje się w nich nie tylko nazwisko redaktora – co stanowi absolutne minimum przyzwoitości – ale także krytyków, którzy zaopiniowali tekst do druku. Można by tak i u nas, hę?

Nie wiem zatem, komu podziękować za rozgoryczenie, w które wprawiła mnie lektura „Twonka". Pomyśleć, że kiedy zaczynałem swój flirt z fantastyką, „Czytelnik" był w tej dziedzinie niekwestionowanym liderem wśród polskich wydawnictw. To nie przypadek, że umieszczany na okładkach kosmonauta z każdą książką karleje, osiągając ostatnio rozmiar łebka od tapicerskiego gwoździa. „Sic transit gloria mundi", jak mawiali starożytni. Każdy blask matowieje i wygasa. Temu, kto nazbyt się do niego przyzwyczaił, pozostaje ponura ciemność i wsłuchiwanie się w krakanie kołujących w oddali sępów.

Rafał A. Ziemkiewicz

Henry Kuttner: *Twonk. Opowiadania*. Czytelnik, Warszawa 1988. Cena 450 zł.

Robot – jeden z nas

Robot jest postacią dość często wykorzystywaną w literaturze i filmie science fiction, zazwyczaj jako istota antropomorficzna i zarazem wroga człowiekowi. Od Marii z „Metropolis" Fritza Langa przez R2D2 z „Gwiezdnych wojen" aż po „Terminatora" można by już ułożyć sporą ich galerię. Niedawno doszedł do niej kolejny egzemplarz. Zabawny i wzruszający Johnny V – główny bohater filmu „Krótkie spięcie", który oglądaliśmy na ekranach naszych kin. Przypomnijmy w skrócie jego treść: koncern elektroniczny NOVA wyprodukował kilka superrobotów, które mogą być wykorzystane dla celów wojskowych. W jednego z nich, oznaczonego numerem pięć, trafia jednak piorun, co wywołuje tytułowe krótkie spięcie w jego obwodach i sprawia, że maszyna zyskuje świadomość.

Johnny V – bo takie imię przyjmuje bohater (Johnny – ponieważ jest w nim coś ludzkiego, cyfra V przynależy do jego części mechanicznych) wzbudził sympatię widzów i nie trzeba było długo czekać na powstanie kolejnej opowieści o jego przygodach. „Krótkie spięcie 2" krąży już w obiegu wideo. Być może czeka nas cała seria, gdyż – co nie zdarza się często – druga część jest lepsza od pierwszej, więc Johnny V nie straci zapewne na swej popularności.

Realizatorom udało się spełnić podstawowy warunek dobrego serialu: wykreowanie sympatycznego bohatera, z którym widz pragnie się identyfikować i którego przygody chce oglądać. Cóż z tego, że jest nim robot? Sama okoliczność, że bezduszni wojskowi planują jego użycie, stawia nas po jego stronie. Zabawny wygląd, a także wrażliwość i sympatyczny charakter naiwnego dziecka, oraz walka ze złymi ludźmi daje założony wynik. Widzowie zostali kupieni.

Znakomity jest pomysł wykorzystania uderzenia piorunu w celu przemiany mechanicznej zabawki w istotę świadomą. Przemawia zarówno do naszej wyobraźni technicznej (piorun = prąd = ożywienie mechanizmu) jak i do świadomości mitycznej (piorun = ingerencja sił nadprzyrodzonych = obdarzenie istoty duszą), wreszcie literackiej („Frankenstein" Mary Shelley).

John V myśli i czuje. Wzrusza swoim lękiem przed śmiercią. Podobnie jak androidy w „Blade Runnerze" (choć oba filmy pod względem ich znaczenia są oczywiście nieporównywalne) rozumie czym jest unicestwienie. Walczy o swoje prawo do życia. Bardzo naiwny, mimo swej nadludzkiej zdolności kumulowania informacji (co zresztą jest jego pasją: *Więcej danych! więcej danych!*), przyswaja fakty, nie jest jednak w stanie pojąć bezwzględności ludzkiej i braku empatii naszego gatunku w stosunku do innych istot. W naszym świecie uosabia jednostkę odmienną, o większej wrażliwości, nie skażoną cywilizacją, której jest wytworem. Łączy cechy dziecka z ogromną wiedzą (ten sam schemat jest wykorzystywany z powodzeniem przy filmach o tak zwanych cudownych dzieciach). W rezultacie staje się wybitną jednostką wyobcowaną z przeciętnego społeczeństwa. Znamy to, ale jeszcze ciągle potrzeba zrozumienia i miłości potrafi nas wzruszyć. A szczególnie podatna na taką fabułę jest młodsza widownia. Oczywiście jeżeli scenariusz nie jest zbyt czułostkowy.

Pierwsze „Krótkie spięcie" było filmem łatwym, lekkim i przyjemnym, ale obarczonym dużą wadą: nie bardzo było wiadomo dla jakiej publiczności został on przeznaczony. Dla dorosłych był zbyt infantylny, dla dzieci niepotrzebnie przeładowany skojarzeniami erotycznymi. Któryś z recenzentów zaszufladkował go nawet jako melodramat.

„Krótkie spięcie 2" jest filmem znacznie lepszym. Przede wszystkim tym razem zastosowano strukturę kryminalną, która pozwoliła na rozegranie sprawnej, szybkiej akcji. Nie oznaczało to oczywiście rezygnacji z wątku romantycznego, który również wypadł ciekawiej dzięki paru pomysłowym, niekonwencjonalnym scenom (np. pierwsza randka z Johnnym V w roli podpowiadacza miłosnych wyznań).

Jednak największym plusem filmu i najlepiej rozegraną kartą jest czysta jak łza dusza robota. Johnny V wierzy ludziom, pragnie być lubiany i akceptowany. Nie znajdując zrozumienia, zaczyna się czuć wyobcowany. Właściwie nic dziwnego, przecież tak naprawdę jest istotą obcą. Jego samotność jest jednak samotnością człowieka.

Poza wątkiem kryminalnym mamy też w filmie warstwę obyczajową. Pokazano ludzi z punktu widzenia myślącego robota. Pomysł to nie nowy, ale zawsze dający niezłe rezultaty (ten sam zabieg stosowano w „Starmanie", „Kokonie", „Blade Runnerze" itd.). Można by się zastanawiać czy cała twórczość SF, świadomie lub nieświadomie, nie ma na celu takiego właśnie spojrzenia na nas z boku, z pozycji obcego – choć rzekomo to my ich obserwujemy.

Dobrze jest kiedy film lekki, mający bawić, niesie jakieś głębsze treści. Nie przeceniając „Krótkiego spięcia" można ten film zaliczyć do takiej właśnie grupy.

Z bohaterów niewątpliwie najlepiej wypada Johnny V, którego projektantem był Frank Serafine. Pogratulować pomysłu. Z opiekunem Johnny'ego, Benem Jahrvi (w tej roli Fisher Stevens) spotkaliśmy się także w pierwszej części, ale tam jego rola była drugoplanowa. Wyjście z cienia w „Krótkim spięciu 2" zdecydowanie pomogło mu rozwinąć skrzydła. Nieco z boku pozostaje tym razem jego nowy partner Fred Ritter (Michael McKean). Zobaczymy, może w ewentualnym „Krótkim spięciu 3" on z kolei wysunie się na pierwszy plan. W jedynej damskiej roli sympatyczna Sandy Banatoni (Cynthia Gibb).

Jedynie pod koniec filmu realizatorzy, czy może raczej scenarzyści zbytnio się rozpędzają. Scena umierania robota, z cieknącym z niego elektrolitem/krwią – nie, nie to już trochę za dużo, wystarczyłby zanik pamięci (przecież Johnny mówi: *Moja pamięć to ja*). No i wreszcie przyznanie robotowi obywatelstwa Stanów Zjednoczonych – to bardzo amerykańskie, ale wydaje się, że europejskiego widza takie pomysły trochę drażnią. Chociaż dzieciaki na pewno będą zachwycone.

No i dzięki temu mamy prawdziwy happy end. Nie pozostaje więc nic innego tylko życzyć Państwu przyjemnego popołudnia w gronie rodzinnym z nową zabawką mass mediów – Johnnym Piątką.

Dorota Malinowska

KRÓTKIE SPIĘCIE 2 (Short Circuit 2). Reżyseria: Kenneth Johnson. Scenariusz: S.S. Wilson and Brent Maddock. Zdjęcia: John Mc Pherson. Muzyka: Charles Fox. Obsada: Fisher Stevens, Michael McKean, Cynthia Gibb, Jack Weston. USA, 1988.

Raport policyjny

NAZWISKO: Piątka, Johnny.
WIEK: 3 lata (!?).
WZROST: 4-6 stóp.
WAGA: 700 funtów.
RASA: nieznana. KOLOR: ochronny szary.
OCZY: niebieskie, podejrzany najprawdopodobniej nosi szkła korygujące.
UBRANIE: płaszcz przeciwdeszczowy, czapka, tenisówki.
ZARZUTY: włamanie, kradzież sklepowa, zakłócenie porządku publicznego, wandalizm, umyślne czynienie szkód, włóczęgostwo.

Świadkowie zaobserwowali zamieszanie w miejskiej księgarni wywołane przez nielegalną istotę obcą. Sprzedawcy wykazali zaniepokojenie gdy podejrzany przeczytał 2947 książek ani jednej nie kupując. Podejrzanemu udało się opuścić miejsce zbrodni, ale policjanci zidentyfikowali go później dzięki opisowi świadków (patrz wyżej). Nie wydaje się, żeby w tym przypadku zachodziła możliwość pomyłki.

Pan Piątka twierdzi, że nie wie z jakiego powodu został aresztowany. Zgodnie z tym, co mówi, wracał właśnie do domu z kościoła po spowiedzi. Potwierdził to ojciec Murphy, który jednak odmówił dalszego komentarza i oddalił się do pobliskiego seminarium duchownego na medytacje.

Podejrzanego odprowadzono na posterunek, gdzie zdjęto mu odciski palców, sfotografowano go i zarejestrowano. Podejrzany nie utrudniał pracy policjantów, poza tym, że wyrecytował treść wszystkich 2947 tomów zanim sierżantowi O'Leary'emu udało się go uciszyć.

Oficerowie, którzy dokonali aresztowania zasugerowali, że pan Piątka może być psychicznie niezrównoważony w wyniku sytuacji, w której się znalazł. Psycholog policyjny, dr Norbert F. Delton przeprowadził badania wstępne i ustalił, że podejrzany reaguje normalnie, a także że potrafi przeczytać i zapamiętać ogromną ilość tekstu wydrukowanego.

Właściwie dr Delton stwierdził, że Piątka zdolny jest prawie do wszystkiego – poza popełnieniem zbrodni.

Podejrzanego zwolniono, oddając go pod opiekę Bena Jahrvi. Jego sprawa nie została rozstrzygnięta.

Wszystkie oskarżenia zostały wycofane na polecenie burmistrza w chwili gdy oskarżony otrzymał obywatelstwo amerykańskie. Burmistrz zapewnił, że podobne incydenty nie zdarzą się już w przyszłości.

Czy jesteśmy o tym przekonani?

Przełożyła D.M.

Stanisław Lem

W styczniu 1989 r. w serii kieszonkowej wydawnictwa Fischera ukazała się powieść Stanisława Lema „Fiasko". Jest to drugie wydanie tej powieści w RFN – poprzednie, w twardej oprawie opublikował również Fischer. W pierwszej połowie tego roku ma się także ukazać (tym razem nakładem wydawnictwa Insel we Frankfurcie) tom opowiadań Lema pod wspólnym tytułem „Irrläufer" (z przedmową autora, w przekładzie Hanny Rottensteiner). Książka zawiera siedem wczesnych opowiadań Lema, które w Polsce nie zostały opublikowane w formie książkowej: „Ogród ciemności", „Obcy", „Exodus", „Człowiek z Hiroshimy", „D-Day", „Plan Anty-V" i „Miasto atomowe".

Natomiast jesienią 1989 r. również w przekładzie Hanny Rottensteiner ukaże się pierwsze opowiadanie, jakie napisał Lem: „Człowiek z Marsa" (w 1946 zamieszczone na łamach „Nowego Świata Przygód").

Nagrody Hugo 1988

Na początku września 1988 r. podczas World Con w Nowym Orleanie ogłoszono tegorocznych laureatów nagrody HUGO:

- najlepsza powieść: David Brin – „The Uplift War",
- najlepsza mikropowieść: Orson Scott Card – „Eye for Eye",
- najlepsza nowela: Ursula K. Le Guin – „Buffalo Gals, Won't You Come Out Tonight",
- najlepsze opowiadanie: Lawrence Watt-Evans – „Why I Left Harry's All-night Hamburgers",
- najlepsza książka non-fiction: Michael Whelan – „Michael Whelan's Works of Wonder",
- najlepszy film: „The Princess Bride",
- najlepszy wydawca profesjonalny: Gardner Dozois,
- najlepszy grafik profesjonalny: Michael Whelan,
- najlepszy magazyn półprofesjonalny: „Locus" (wyd. Charles N. Brown),
- najlepszy pisarz nieprofesjonalny: Mike Glyer,
- najlepszy grafik nieprofesjonalny: Brad Foster,
- najlepszy fanzin: „Texas SF Inquirer",
- Special Con Hugo – Oral History Society,
- nagroda im. Johna W. Campbella dla najlepiej zapowiadającego się autora – Judith Moffett,
- nagroda Big Heart – Andre Norton.

Nagrody „Locus 1988"

- najlepsza powieść SF: David Brin – „The Uplift War",
- najlepsza powieść fantasy: Orson Scott Card – „Seventh Son",
- najlepszy debiut powieściowy: Emma Bull – „War for the Oaks",
- najlepsza książka non-fiction: Alan Moore i Dave Gibbons – „Watchmen",
- najlepsza mikropowieść: Robert Silverberg – „The Secret Sharer",
- najlepsza nowela: Pat Murphy – „Rachel in Love",
- najlepsze opowiadanie: Pat Cadigan – „Angel",
- najlepszy zbiór opowiadań: Lucius Shepard – „The Jaguar Hunter",
- najlepsza antologia: „The Year's Best SF – Fourth Annual Collection" (wyd. Gardner Dozois),
- najlepszy grafik: Michael Whelan,
- najlepszy magazyn: „Isaac Asimov's SF Magazine",
- najlepsze wydawnictwo: Tor.

1983 (dokończenie)

1880. SPYCHALSKI Czesław: *Radiestezja w domu i w ogrodzie.* Poznań. Państw. Wyd. Rol. i Leśne. 8° ss.190, nlb.2. 30 000 egz. + dodruk 30 000 egz.

1881. ŚWIENKO Henryk: *Magia w życiu człowieka.* Warszawa. Młodz. Ag. Wyd. 16 °s s. 280, nlb.3, bibliogr. 10 000 egz. – Motywacje.

1882. SZUMAN Leszek: *Astrologiczna charakterystyka typów ludzi w zarysie. Kto z kim? Jacy są nasi partnerzy? Czy znasz swoje dziecko? Jaki dyrektor i podwładny?* [Wyd. II rozsz.]. Poznań. CUW „Różdżkarz". 8° ss. 222, portr. 10 000 egz. – Biblioteka Różdżkarza.

1883. SZUMAN Leszek: *W kręgu znaków zodiaku.* Gorzów. Kraj. Ag. Wyd. oraz Gorzowski Klub Miłośników Fantastyki Naukowej. 8° ss.280. 20 000 egz. + dodruk 41 000 egz. – Fantazja – Nauka – Przyszłość.

1884. SZUMAN Leszek: *Życie po śmierci.* Kraj. Ag. Wyd. oraz Gorzowski Klub Miłośników Fantastyki Naukowej. 8° ss. 231, nlb. 2. 50 000 egz. – Fantazja – Nauka – Przyszłość.

1885. UCHNAST Eugeniusz: *Samoleczenie biostymulacyjnym sprzężeniem z mózgiem B.S.M.* – SILIŃSKI Antoni: *Produkty pszczele i ich wartość dla organizmu ludzkiego.* – *PSYCHOTRONIKA w praktyce.* Oprac. wg Evelyn M. Momahan. – *NIĆ Ariadny.* Oprac. wg L. Safonowa. – *BIOLOGIA budowli.* Oprac wg Ernesta Neuferta. – CHEŁKOWSKI Ignacy: *Podziemne źródła wody punktami niebezpiecznymi dla człowieka.* Wyd. II – I wspólne. Poznań. CUW „Różdżkarz", 8° ss.224. 6 000 egz. – Biblioteka Różdżkarza. T. 6.

1886. WOŁCZEK Olgierd: *Człowiek i Tamci – z Kosmosu.* Wrocław. Ossolineum. 8° ss.256. 50 000 egz. + dodruk 100 000 egz. – Dodruk z rokiem wyd. 1984.

1887. ŻERNICKI Bogusław: *Mózg.* Wrocław. Ossolineum. 8° ss. 168. 10 000 egz. – Najnowsze Osiągnięcia Nauki.

1888. ZNICZ Lucjan: *Goście z kosmosu?* T. III: *Nieznane obiekty latające.* Vol. I: *Pojawienie się i zasięg czasowo-przestrzenny zjawiska.* Gdańsk. Kraj. Ag. Wyd. 8° ss.134, nlb.2. 90 000 egz.

1889. ZNICZ Lucjan: *Goście z kosmosu?* T. I: *Paleoastronautyka.* [Wyd. II]. Gdańsk. Kraj. Ag. Wyd. 8° ss. 229, nlb.5. 60 000 egz.

Futurologia (F):

COOKE R.: *Wyzwanie...* – zob. MS.

1890. HINZ Piotr, TYSZECKI Andrzej: *Obietnice wszechoceanu.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 183, nlb.5. 20 000 egz. – Opowieści 2000 roku.

MARKS A.: *Podróże...* – zob. MS.

1891. PŁAWSKI Waldemar: *Poprawianie Pana Boga.* Warszawa. Młodz. Ag. Wyd. 16° ss.191, nlb.5. 30 000 egz. – F/MS.

1892. PODWYSOCKI Tadeusz: *Największa przygoda ludzkości.* Warszawa. Iskry. 16° ss.261, nlb.3. 20 000 egz.

na razie KONIEC

Przygotował **Jacek Izworski**

Drodzy Czytelnicy!

Po kilku latach regularnego ukazywania się na łamach naszego pisma, bibliografia utworów fantastycznych zostaje zawieszona. Doprowadziliśmy tę bibliografię do roku 1983. Przypomnijmy, że w ostatnim kwartale roku 1982 ukazały się pierwsze numery naszego miesięcznika. Najważniejsze z wydawanych od tego czasu pozycji były u nas recenzowane, komentowane, omawiane. Sądzimy zatem, że nie pozostawiamy miłośników literatury fantastycznej bez wskazówek bibliograficznych i komentarzy.

Zawieszenie dalszego ciągu bibliografii wiąże się przede wszystkim z brakiem pełnych, szczegółowych informacji dotyczących wydania utworów po roku 1983. Autor tego cyklu korzystał z adnotowanej „Literatury Pięknej"; ostatni – jak na razie – rocznik tego wydawnictwa dotyczy pozycji, które ukazały się w 1983 roku.

Czy bibliografia będzie wznowiona? Otóż tak, przewidujemy wznowienie zestawienia obejmującego kolejne lata, ale na razie trudno określić jak długa będzie ta przerwa. Inne też będą już zasady informacji bibliograficznej. Na życzenie wielu Czytelników bibliografia zostanie uproszczona, jej zapis straci na „naukowości", będzie bardziej prosty, przejrzysty, czytelny.

Korzystając z okazji chcielibyśmy serdecznie podziękować naszemu wieloletniemu współpracownikowi, Panu Jackowi Izworskiemu, którego bibliografia stanowi pierwszą tego rodzaju pracę w polskim, powojennym edytorstwie science fiction.

(red.)

Nagrody World Fantasy 1988

Nagrody te zostały rozdzielone podczas World Fantasy Con w Londynie pod koniec października 1988 r. W skład jury wchodzili Mike Ashley, Scott Baker, Robert Hadji, Maxim Jakubowski i Donald A. Wollheim. Oto laureaci:

- najlepsza powieść: Ken Grimwood – „Replay",
- najlepsze opowiadanie: Jonathan Carroll – „Friend's Best Man",
- najlepsza nowela: Ursula K. Le Guin – „Buffalo Gals, Won't You Come Out Tonight",
- najlepsza antologia: „The Architecture of Fear" (Wyd. Cramer and Pautz) oraz David Hartwell – „The Dark Descent",
- najlepszy zbiór opowiadań: Lucius Shepard – „The Jaguar Hunter",
- najlepszy grafik: J.K. Potter,
- „Specjalna Nagroda Profesjonalna": David G. Hartwell (za działalność wydawniczą i redakcyjną).

Wyrażono uznanie dla Everetta F. Bleilera za jego twórczość w zakresie literatury sekundarnej i wydawnictw encyklopedycznych.

Nagrody British Fantasy

- najlepszy grafik: J.K. Potter,
- najlepszy film: „Hellraiser",
- najlepsze opowiadanie: Steve Resnick – „Tem",
- najlepsza powieść: Ramsey Campbell – „Hungry Moon".

Niemiecka Nagroda Literacka

Po nagrodzie literackiej SFCD Gudrun Pausewang otrzymała również Niemiecką Nagrodę Literacką za twórczość dla młodzieży za rok 1988, przyznawaną przez Federalne Ministerstwo Młodzieży, Rodziny, Wychowania i Zdrowia.

Franz Rottensteiner

Jacques-Yves Cousteau jest najsłynniejszym dziś badaczem morskich głębin i jednym z coraz rzadszych już w naszych czasach uczonych- naturalistów, podróżnikiem, podpatrującym przyrodę w tych miejscach, gdzie prawdziwa przyroda jeszcze istnieje. W czasie niedawnej wyprawy na północne morza Kanady Cousteau był świadkiem wydarzenia, które nazwał potem swą „najbardziej wzruszającą przygodą".

Z tamtej strony lustra

Maciej Iłowiecki

Czego pan chce, panie dzięciole?

Wyprawa uczonych francuskich spotkała wielorybie niemowlę, zaplątane w nylonową sieć rybacką. Wielorybek był już bliski śmierci z wyczerpania i głodu. Pewnie by już nie żył, gdyby nie krążąca w pobliżu matka, która – jak opisywał to później Cousteau – *starała się dodać mu otuchy, przemawiając swym potężnym, pięknym głosem.* Ponad dwie godziny trwało uwalnianie z sieci wielorybiego dziecka (nic dziwnego – jeszcze ssące niemowlę ma długość... ośmiu metrów i waży prawie tuzin ton!). Potem aż do zmroku, wielorybica i wielorybek krążyły wokół statku, wyskakiwały z wody, zdawało się, iż dają jakieś znaki. *Płynąc na grzbietach darzyły nas potężnymi oklaskami, bijąc wodę swymi wielkimi płetwami* – pisze Cousteau. Myślę, że najlepiej będzie, kiedy on sam opowie nam o swoich wrażeniach: *Czyż nie można tłumaczyć zachowania tych zwierząt chęcią wyrażenia nam podzięki? Czy byłoby niedorzeczne stwierdzenie, iż odczuwały wdzięczność? Większość dzikich zwierząt, uwolnionych z pułapki ucieka natychmiast, gdy otrząśnie się z szoku. Wieloryby pozostały, pokazując nam językiem gestów (i prawdopodobnie głosem, którego niestety nie rozumiemy), iż są świadome zaciągniętego długu i pragną dzielić z nami swe szczęście.*

Były to chwile wyjątkowe. Zdołaliśmy unieść barierę ignorancji i okrucieństwa, która dzieli rodzaj ludzki od rodzaju zwierzęcego. Przerzuciliśmy kruchy pomost. Pasażerowie maleńkiej planety, zmierzającej ku horyzontom, których nigdy nie będziemy oglądać, zawarliśmy przyjaźń z wielorybem i wielorybkiem. Udzieliliśmy pomocy dwom towarzyszom podróży.

Jacques-Yves Cousteau, który właśnie został wybrany do grona „nieśmiertelnych", czyli znalazł się wśród czterdziestu dożywotnich członków Akademii Francuskiej, zawsze miał zwyczaj mówić to, co myśli, nawet jeśli nie mogło się to podobać jego uczonym kolegom. Tym razem także jego sposób wyrażania się trudno nazwać naukowym. Przyrodnicy zarzuciliby mu z pewnością antropomorfizację, czyli poważne przekroczenie naukowych reguł. Nowożytna nauka uznaje „uczłowieczanie" przyrody za wielki błąd metodologiczny – nie należy przypisywać bytom nieczłowieczym (w tym wypadku zwierzętom) cech lub motywów ludzkich, bo przeszkadza to w naukowym badaniu zjawisk i może przesłonić rzeczywiste mechanizmy takich czy innych zachowań różnych istot. „Uczłowieczanie" jest jednak bardzo starym, może w ogóle najstarszym sposobem patrzenia na świat – tak właśnie, przenosząc na ów świat zewnętrzny własne cechy, obdarzając wszelkie byty jakąś świadomością, ujmowały rzeczywistość umysły pierwotnych ludzi (dziś patrzą tak na przyrodę ostatni „dzicy", a także – zwróćmy na to uwagę – dzieci!). Zatem dla umysłów pierwotnych i dziecinnych jest to sposób „oswajania" rzeczy obcych, niezrozumiałych, wrogich. Jest to przystosowanie do współżycia z przyrodą, czyli z zespołem istot i zjawisk mających „własne interesy", ale odczucia i dążenia podobne do ludzkich.

Oczywiste zatem, że nauka musiała odrzucić taki punkt widzenia: szalejąca burza nie chce przecież uczynić nam krzywdy, wilk nie jest „z natury" zły, wąż nie jest „podstępny i okrutny", a wieloryb nie może czuć wdzięczności...

Nie może? Cóż naprawdę wiemy o tym, co dzieje się w mózgu psa, kiedy czeka na swego przyjaciela – człowieka, albo wita go po jakimś czasie niewidzenia, albo zostaje porzucony przez niegodziwych właścicieli? Czy naprawdę możemy jakimś rodzajem instynktu wyjaśnić zachowanie delfina, ratującego życie tonącemu człowiekowi? Niedawno głośny był przypadek pewnego młodego Australijczyka, którego delfiny w ostatniej chwili dosłownie wyrwały z paszczy rekina i doholowały do brzegu. Poraniony i zszokowany, przeżył cudem – powiedział potem, iż nigdy w życiu nie zdoła się odwdzięczyć delfinom i nie wierzy też, że zwierzęta nie mogą mieć „ludzkich uczuć".

Dzisiaj nie wierzy w to zresztą wielu wybitnych uczonych. Właśnie czysto naukowe doświadczenia z szympansami i gorylami dowiodły, że stworzenia te mają poczucie tożsamości (rozumieją w jakiś sposób swą jednostkową indywidualność, swoje „ja", które jest czymś odrębnym od całej reszty świata). Mają też poczucie swego trwania w czasie, mogą się cieszyć, smucić, rozpaczać, zazdrościć, tęsknić, cierpieć nie tylko z powodu odczuwania głodu, bólu czy strachu, okazywać nieuzasadnione sympatie i antypatie (coś chyba jest w starym przekonaniu, że zwierzęta „wyczuwają" ludzi dobrych, podobnie i złych), także kłamać i wreszcie... zakochiwać się „jak nastolatki". Kilka lat temu pisałem w „Fantastyce" o goryliczce Koko, uczącej się wówczas amerykańskiego języka głuchoniemych (język migów, czyli znaków, pokazywanych palcami i dłońmi). Dziś Koko jest dorosła (ma 18 lat) i potrafi się porozumieć z ludźmi mniej więcej tak, jakby była sześcioletnim, głuchym ludzkim dzieckiem, wyuczonym języka migów. W 1988 r. Koko oświadczyła swej opiekunce, doktor Francine Paterson, że chciałaby mieć własne dziecko. Podsunięto jej pięknego, młodego goryla Michaela, ale Koko z pogardą odrzuciła jego zaloty i dała do zrozumienia opiekunce, że... wolałaby samca rodzaju ludzkiego, na przykład swego opiekuna Rona Cohna. Zaczęła też niedwuznacznie uwodzić odwiedzających ją mężczyzn (sposobem gorylim, ale wystarczająco podobnym do kobiecego). Nie mogła pojąć, kiedy tłumaczono jej, że może mieć dziecko tylko z gorylem, ponieważ sama jest gorylem – ale trzeba przyznać, że nie jest to wyjaśnienie, mogące usatysfakcjonować kogoś zakochanego. A Koko zakochała się w swoim opiekunie: kiedy pojęła, że Ron jej nie chce, wpadła w czarną rozpacz. Była to rozpacz tak silna, że Koko do dziś nie chce wyjść za mąż za któregokolwiek z goryli, zapraszanych do towarzystwa. Przypuszczalnie trzeba będzie zastosować sztuczne zapłodnienie, gdyż byłoby niezwykle cennym doświadczeniem obserwowanie zachowania Koko wobec własnego dziecka. Czy goryliczka uczyłaby swe goryle dziecko języka migów? Pytanie jest uzasadnione, ponieważ Koko usiłuje uczyć migów swą lalkę (układa dłonie lalki w kształt odpowiedniego znaku). Ciekawe, że o ile lalkę traktuje jako „zastępcze gorylątko" (dziewczynki bawiące się lalkami także traktują lalki tak, jak traktowały je same ich matki), o tyle na przykład kotem opiekuje się jak „istotą niższą". Nie oznacza to, żeby lekceważyła jego potrzeby, przeciwnie jest nawet „nadopiekuńcza" – ale na przykład nigdy swego kotka nie usiłowała uczyć języka migów.

Kiedy zginął jej poprzedni kot (w 1984 r.), Koko wpadła w rozpacz. Do dziś na widok jego zdjęcia Koko mówi językiem migów: „płaczę z żalu". Czyli na zdjęciu rozpoznaje konkretnego kota, wie, iż był to jej przyjaciel i zdolna jest długo odczuwać żal po stracie.

Wiele zwierząt potrafi długo odczuwać żal po stracie przyjaciół lub kogoś z własnej rodziny. Stwierdzono to ponad wszelką wątpliwość m.in. u psów, wilków, małp, niedźwiedzi, słoni i nawet u świni. Piszę „nawet", bo jakoś tak się utarło, że nikt nie chce dostrzec w świni czującej, żywej istoty – a świnie właśnie są zwierzętami nadzwyczaj inteligentnymi, mało odpornymi na stresy (czyli szczególnie wrażliwymi na cierpienia fizyczne i psychiczne – tak!) i także... czystymi. Nie chce się takich rzeczy przyjmować do wiadomości, bo mogłoby to mącić spokój – w istocie, los świni jest wyjątkowo okrutny.

Gorylica Koko miała wielkie szczęście, że znalazła się wśród dobrych ludzi. Być może jej opiekunka podświadomie „antropomorfizuje" wychowywane przez siebie zwierzę. Ale co zrobić z faktami? Takim na przykład jak ten, że Koko w czasie rozmowy tworzy nowe znaki–symbole – co oznacza, iż jej gesty nie są tylko zręcznym naśladowaniem, lecz są wyrazem pewnego poziomu świadomości, wyrazem myślenia. Określenie wielkiej, kluchowatej lalki jako „dziecko-słoń" (Koko widziała słonia w zoo) jest rodzajem metafory. Maska – to w języku Koko „kapelusz na oczy", zapalniczka – „zapałka butelkowa" (chodzi chyba o kształt?). Koko położyła sobie kiedyś na głowie klucz i „zamigała" do opiekunki, że ma kapelusz – pomarszczona twarz gorylicy miała przy tym wyraźnie kpiącą minę, małpka „śmiała się bezgłośnie", jak to potem zapisano w „dzienniczku zachowań" (taki zapis prowadzony jest bardzo skrupulatnie dla celów naukowych). Świadczy to o swoistym (choć dziecinnym) poczuciu humoru, małpy człekokształtne są zatem zdolne także do żartów.

Doświadczenia z Koko, a także z innymi małpami (m.in. ze słynnymi szympansicami Washoe i Sarą) dowiodły, że możliwe jest porozumienie ludzi z małpami w dość szerokim zakresie, zaś małpy zdolne są do wyrażania językiem symboli wielu uczuć i emocji, które dotąd przypisywano tylko ludziom. Małpy zdolne są także do myślowych operacji logicznych, takich jak stawianie pytań, zaprzeczanie, porównywanie, a także klasyfikowanie (np. dobór obrazków przedstawiających te same owoce, choć w różnym kształcie, liczbie i w różnych kolorach).

Bardzo znane są próby porozumienia z delfinami, jednak nie osiągnięto tu takich wyników, jakie dały doświadczenia z małpami. Inteligencja

delfinów jest zapewne porównywalna z małpią, ale świat delfinów jest inny, bo odbierany przede wszystkim dźwiękowo (świat ludzi i małp jest przede wszystkim wzrokowy), a ponadto te przedziwne morskie ssaki porozumiewają się sygnałami ponaddźwiękowymi, niesłyszalnymi dla ludzi. Ultradźwięki służą delfinom nie tylko do przekazywania informacji sobie wzajem, ale także do rozpoznania tego, co dzieje się w otoczeniu (w tym sensie właśnie ich rzeczywistość jest dźwiękowa – tak jak na przykład rzeczywistość odbierana przez mrówki jest zapachowa, węchowa). Żeby zaś człowiek w ogóle usłyszał głos delfina, trzeba ośmiokrotnie zmniejszyć częstotliwość delfinich sygnałów. Na razie trwają próby zrozumienia tych sygnałów, czyli przekładu ich na pojęcia dostępne ludziom.

Porozumienie z małpą czy delfinem wydaje się czymś niezwykłym – ale co powiemy na rozmowę z dzięciołem? Jest to rozmowa dość uboga, ale jednak można nauczyć dzięcioła kodu dźwiękowego. Określona liczba stukań (seria uderzeń dziobem) oznacza jakiś rodzaj pożywienia – np. jedno stuknięcie to orzeszek, dwa stuknięcia – świerszcz, trzy – owad, zwany mącznikiem, dwa-przerwa-dwa (seria stuknięć) – chrabąszcz, dwa–przerwa-dwa-przerwa-dwa – konik polny. Ponieważ dzięcioły są indywidualistami, każdy z nich ma swoje ulubione potrawy. Kiedy więc po pewnym czasie skojarzyły liczbę stuknięć z danym pokarmem, zaczęły wystukiwać dziobem swoje życzenia! Stukały w specjalną deseczkę, a czasem w dłoń opiekuna – jeśli w dłoń, czyniły to dużo delikatniej... Doskonale wiedziały co czynią – kiedy po usłyszeniu serii dwa–przerwa–dwa dzięcioł dostawał orzeszek zamiast tłustego chrabąszcza, wyrzucał dar i powtarzał serię stukań, energiczniej i jakby z oburzeniem, że go oszukują.

Małe dzięcioły niedługo po urodzeniu także nauczyły się kodu, bez pomocy ludzi. Nie udało się na razie stwierdzić, czy rodzice uczyli je odpowiednich stukań, czy rzecz polegała na naśladownictwie. W każdym razie badania dowiodły, że ptaki potrafią liczyć lepiej niż małpy człekokształtne, choć innych małpich zdolności logicznych nie mają.

Ponadto pewne gatunki (czy całe rodziny) ptaków są zdecydowanie bardziej inteligentne od innych (samo pojęcie inteligencji nie jest dość precyzyjne – chodzi tu o zdolność do pewnych prostych operacji logicznych na rzeczach konkretnych, odbieranych przez zmysły). Na przykład wybitną inteligencją odznaczają się ptaki krukowate (kruki, wrony, kawki, gawrony, sroki), a także szpaki, papugi i – co nas może zdziwi – gołębie.

Kruki zdołały się nauczyć wymawiania (wykrakiwania?) pewnych słów, czy raczej prostych sygnałów słownych i prosiły w ten sposób o jakiś przysmak (np. KO – kawałki mięsa, GA – ciastko, KOIKO – mysz itd). Kruk o imieniu ROA dokładnie wymawiał to słowo, chcąc zwrócić na siebie uwagę ludzi, kiedy jednak „rozmawiał" z innymi krukami, używał wyłącznie różnych rodzajów charakterystycznego krakania. Zupełnie jakby wiedział, że ludzie krakania i tak nie zrozumieją, ale mogą zrozumieć słowo z ludzkiego języka.

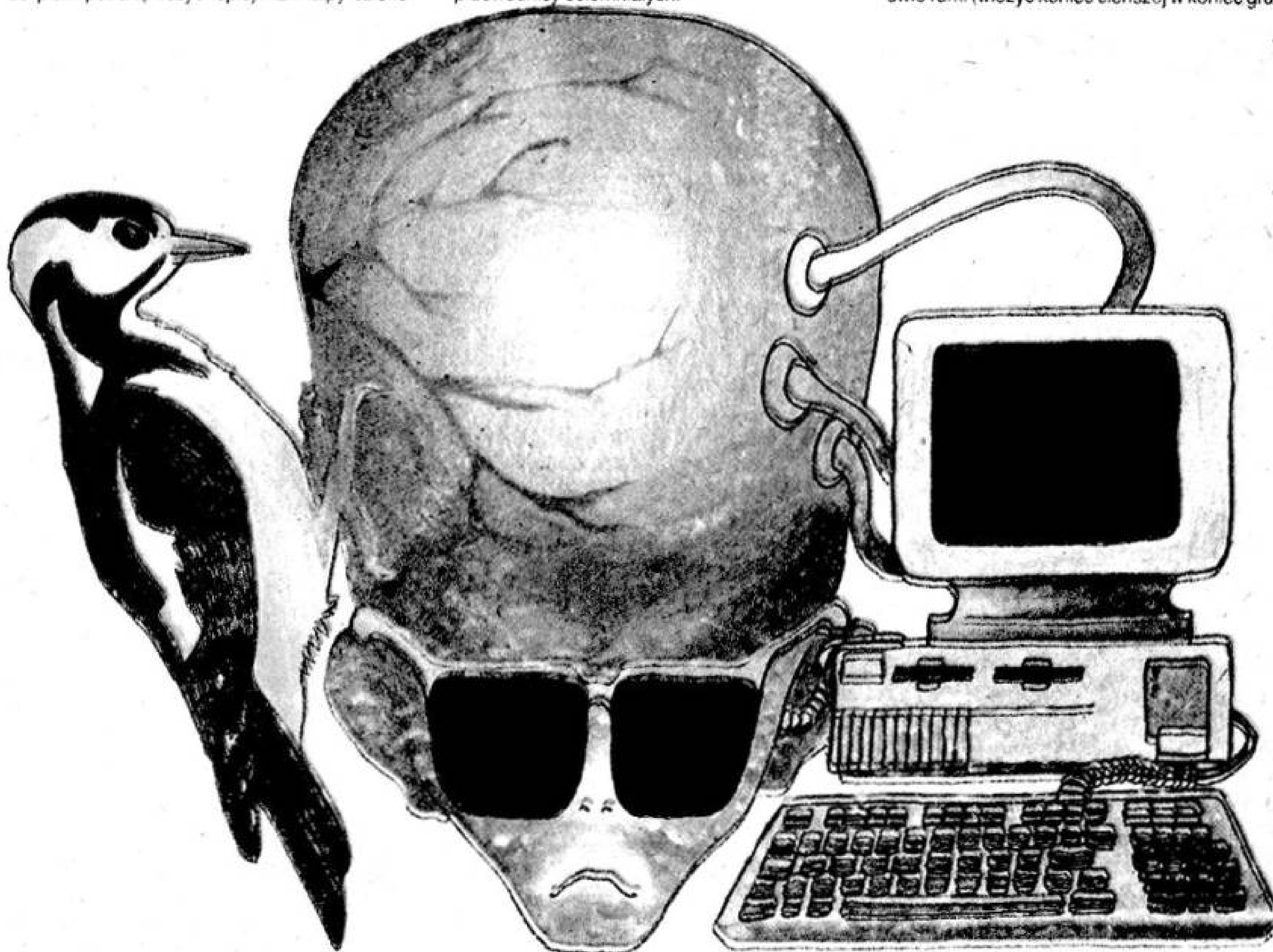
Papugi niezwykle łatwo imitują ludzkie głosy i uczą się wypowiadania całych zdań, choć oczywiście nie rozumieją ich treści. Niemniej papuga może skojarzyć rzeczowniki – nazwy przedmiotów z przedmiotami (kilkanaście), a co więcej – przymiotniki z cechami przedmiotów (kilka; np. nazwy kolorów i nawet kształtów!). Papuga potrafi powiedzieć ludzkim głosem NIE! – nie tylko imitując ten dźwięk, ale kojarząc go z symboliką „niechcenia": wrzeszczy „nie!", kiedy dostaje coś innego niż chciała, albo kiedy cokolwiek sprawia jej nieprzyjemność. Jest to już wymiana znaczących sygnałów, rodzaj rozmowy z ptakiem. Próbuje się – w Stanach Zjednoczonych – nauczyć papugi reagowania słowami na zmianę świateł drogowych czy zauważoną przeszkodę: tak wytresowane papugi niesione w klatce przez niewidomego mówią ludzkim (!) głosem GO (idź) zobaczywszy zielone światło, a STOP – zobaczywszy czerwone lub niespodziewaną przeszkodę. Podobno spisują się równie dobrze jak psy-przewodnicy ociemniałych.

Gołębie można nauczyć rozpoznawania przedmiotów na fotografii, co już jest niezwykłe (bo trzeba mieć zdolność porównania obrazu przedmiotu z samym przedmiotem – jest to zdolność, jak się zdawało, czysto ludzka). Ptaki te jednak można także nauczyć kojarzenia prostych symboli geometrycznych (leksykogramów) z barwami czy też z jakimś rodzajem zachowań.

Niektórzy badacze twierdzą, że wszystko to polega na „bezmyślnym wyuczeniu", inni uważają, że ptaki zdolne są do jakiegoś ptasiego myślenia, do pewnego zakresu abstrakcji. Trudno byłoby wyjaśnić „ślepym instynktem" niezwykły zwyczaj niektórych gatunków: samczyk, starający się o względy wybranki, przynosi jej prezent – piękny kamyczek, źdźbło długiej trawy, gałązkę... Słynny badacz zachowań zwierząt, Konrad Lorenz opisuje niewiarygodną scenę: oto dzika gęś, chcąc uwieść wybranego gąsiora, odgrywa przed nim teatralną scenę strachu przed drapieżnikiem. Gęś (symbolizująca przecież dla ludzi po prostu głupotę, stąd „głupia gęś"...) – zatem gęś odgrywa scenę napadu, jakby prosząc gąsiora, by ją bronił i jakby (czy może wcale nie „jakby", tylko rzeczywiście) łechcąc jego samczą próżność. Gąsior daje się na to złapać – czyż nie uwielbiamy, kiedy kobiety dają nam do zrozumienia, jacy to jesteśmy odważni, silni, wspaniali?

Ptaki-altanniki, żyjące w Australii i na Nowej Gwinei budują w czasie godów zdumiewająco piękne altanki, ozdobione kamykami, muszlami, kwiatami. Niektóre altanniki malują ścianki altany własną śliną, zabarwioną różnymi sokami; mało tego – do malowania używają pędzli, sporządzonych z liści lub kawałków miękkiej kory! Czegóż to się nie robi, chcąc zdobyć wybrankę!

Doszliśmy do narzędzi – i przypominam, że od wieków ludzie byli przekonani, iż właśnie wytwarzanie i używanie narzędzi odróżnia ich zasadniczo od zwierząt. Narzędzia miały odgrywać zasadniczą rolę w „uczłowieczaniu" naszych przodków – i zresztą wielką rolę właśnie odegrały. Tyle że dziś już wiadomo: zwierzęta też używają narzędzi! O tym, że szympans potrafi złożyć dwie rurki (włożyć koniec cieńszej w koniec grub-



Wiktor Żwikiewicz



szej), następnie ustawić kilka skrzynek jedną na drugiej, wejść na nie i sięgnąć przygotowanym kijem po wiszące wysoko banany, wiedziano od dawna. Jeśli zamiast dwóch rurek małpa dostaje rurkę i gruby kij, który do tej rurki nie wchodzi – domyśla się, iż trzeba jeden koniec kija uczynić cieńszym i czyni to, obgryzając ów koniec. Na wolności szympansy bardzo często obłamują długie gałęzie, obrywają liście, ostrzą końce i z taką dzidą polują na termity, grzebiąc w korytarzach termitier. Wszystko to oznacza, że małpy doskonale mogą sobie wyobrazić pewien plan działania i rozumieją związek przyczynowy pomiędzy narzędziem i celem, który dzięki narzędziu zostaje osiągnięty.

Piękne i zgrabne wydry morskie, zwane kałanami pływają zwykle na grzbiecie, kładąc sobie na brzuszku płaski kamień. Długi czas nie wiedziano, po co to robią – okazało się, iż kamienie służą do rozbijania muszli małży. Wydra chwyta muszlę dwiema łapkami i uderza nią o kamień, cały czas zresztą płynąc.

Niektóre ptaki próbują czasem rozbijać dziobami twarde jaja strusi (jeśli znajdą je bez opieki), ale nigdy się to nie udaje nawet olbrzymim orłosępom. Natomiast nieduże „kury faraonów" (ich oficjalna nazwa nie jest najpiękniejsza: ścierwniki białe) chwytają kamień i rzucają go z góry na jajo. Potem spokojnie wypijają zawartość, wtykając dziób przez szczelinę w twardej skorupie.

Niepozorne zięby Darwina z wysp Galapagos wyszukują w drzewach korytarze, zamieszkałe przez larwy owadów. Stukają dziobem w korę i nasłuchują, czy larwa zaczyna się ruszać (podobnie robią dzięcioły). Jeśli coś usłyszą, rozglądają się wokół, lecą na najbliższy kaktus i obrywają kolec (ale wcale nie byle jaki – wybierają starannie, by nie był zbyt gruby, zbyt krótki, zbyt cienki czy zbyt długi!). Następnie grzebią tym kolcem w korytarzu, wyborowanym przez larwę i nabijają na swą dzidę nieszczęsnego owada.

Zięby czasem wyraźnie się bawią – jeden ptaszek ukrywa przed drugim znalezione owady i zerka, jak ten drugi prowadzi swoim kolcem poszukiwania, by nagle „spod dzioba" wyrwać poszukującemu smakowity kąsek. Gdyby zięba umiała się śmiać, to zapewne zaśmiałaby się w tym momencie patrząc na minę towarzysza zabawy.

No cóż, o zdumiewających przykładach używania przez zwierzęta narzędzi można by pisać bardzo długo. Chodziło mi o pokazanie, że narzędzia nie są wynalazkiem ludzi.

Wygląda w ogóle na to, że trudno byłoby znaleźć jakąś właściwość, którą przyzwyczailiśmy się oceniać jako własną, czysto ludzką, a której nie znaleźlibyśmy u zwierząt. Z braku miejsca nie pisałem tu już o przejawach w świecie zwierząt uczuć tak bardzo ludzkich jak na przykład altruizm, solidarność w obliczu niebezpieczeństwa, pomoc słabszym, poczucie humoru a nawet pewne swoiste poczucie... honoru! (Nikt mi nie powie, że pies nie potrafi się obrazić, kiedy w swym ludzkim zadufaniu poniżymy jego psią godność).

Może różnice między światem zwierzęcym i ludzkim polegają jednak na czymś zupełnie innym, zaś to, co uznajemy za różnice, polega raczej na ilości, stopniu ujawniania się, nie zaś na jakości?

Nauka o zachowaniu się zwierząt – etologia – coraz bardziej jakby uczłowiecza naszych „młodszych braci". Wykazuje coraz dobitniej, że w zachowaniu się zwierząt można znaleźć o wiele więcej, niż tylko automatyczne reakcje, odruchy, mechaniczne, „ślepe" instynkty. Z drugiej strony nauki, zajmujące się zachowaniem ludzi, zdają się odnajdywać coraz więcej „korzeni" tego zachowania w naszym zwierzęcym, biologicznym dziedzictwie (socjologia doszła w tym względzie do skrajności, dowodząc, iż właściwie wszystkie „ludzkie" cechy mają swe źródło w genach, w dziedzictwie przekazanym jeszcze ze świata przedludzkiego).

Jak więc jest naprawdę? Czy uważniej przyglądając się zwierzętom rozpoznajemy w nich zalążki swej natury, „podciągamy" je niejako (przyznaję, to określenie także świadczy o ludzkiej pysze, zadufaniu) – podciągamy więc do swego wspaniałego świata? Czy też odwrotnie – „ludzkie" cechy u zwierząt świadczą właśnie o zwierzęcym rodowodzie naszej ludzkiej natury?

A może rzecz polega na istnieniu po prostu rzeczywistej wspólnoty całej biosfery, której niebezpieczne podziały sami przez wieki chcieliśmy utrwalać? Może przyroda JEST jednak o wiele bardziej LUDZKA, my zaś jesteśmy bardziej DZIEĆMI PRZYRODY, niż to się dotąd wydawało? A może w ogóle chodzi tu o duszę, a nie o biologię? Są to sprawy, które każdy powinien przemyśleć. Ja zaś pozostanę z przekonaniem, że mogę liczyć na dowcip szympansa, wdzięczność wieloryba, wielkoduszność słonia i bezinteresowną przyjaźń psa.

Maciej Iłowiecki

■

I znów w Czechosłowacji...

Z wydawnictwem „Smena" w Bratysławie, kierowanym od wielu lat przez niezmiernie życzliwego fantastom i fantastyce – dra Josefa Gerboca, redakcja naszego miesięcznika utrzymywała zawsze serdeczne, przyjacielskie kontakty. To właśnie w Bratysławie redaktorzy „Fantastyki": Adam Hollanek i – piszący te słowa – Andrzej Niewiadowski zrealizowali w 1986 r. umowę na antologię polskiej, powojennej prozy SF, która ukaże się jesienią 1989 r. W Bratysławie wychodzą pierwsze utwory SF polskich fantastów. Wydawnictwo „Smena" gościło przedstawicieli „Fantastyki" już dwukrotnie – ostatni raz wiosną 1988 r. na sesji krytycznej zorganizowanej przy współpracy Słowackiej Akademii Nauk oraz Ośrodka Informacji i Kultury Polskiej. W słowackich pismach literackich ukazały się wywiady z polskimi autorami, przekłady naszych opowiadań. I wreszcie – na jesieni 1988 r. gościł w Polsce zastępca redaktora naczelnego „Smeny" – poeta, krytyk, – Jozef Čertík.

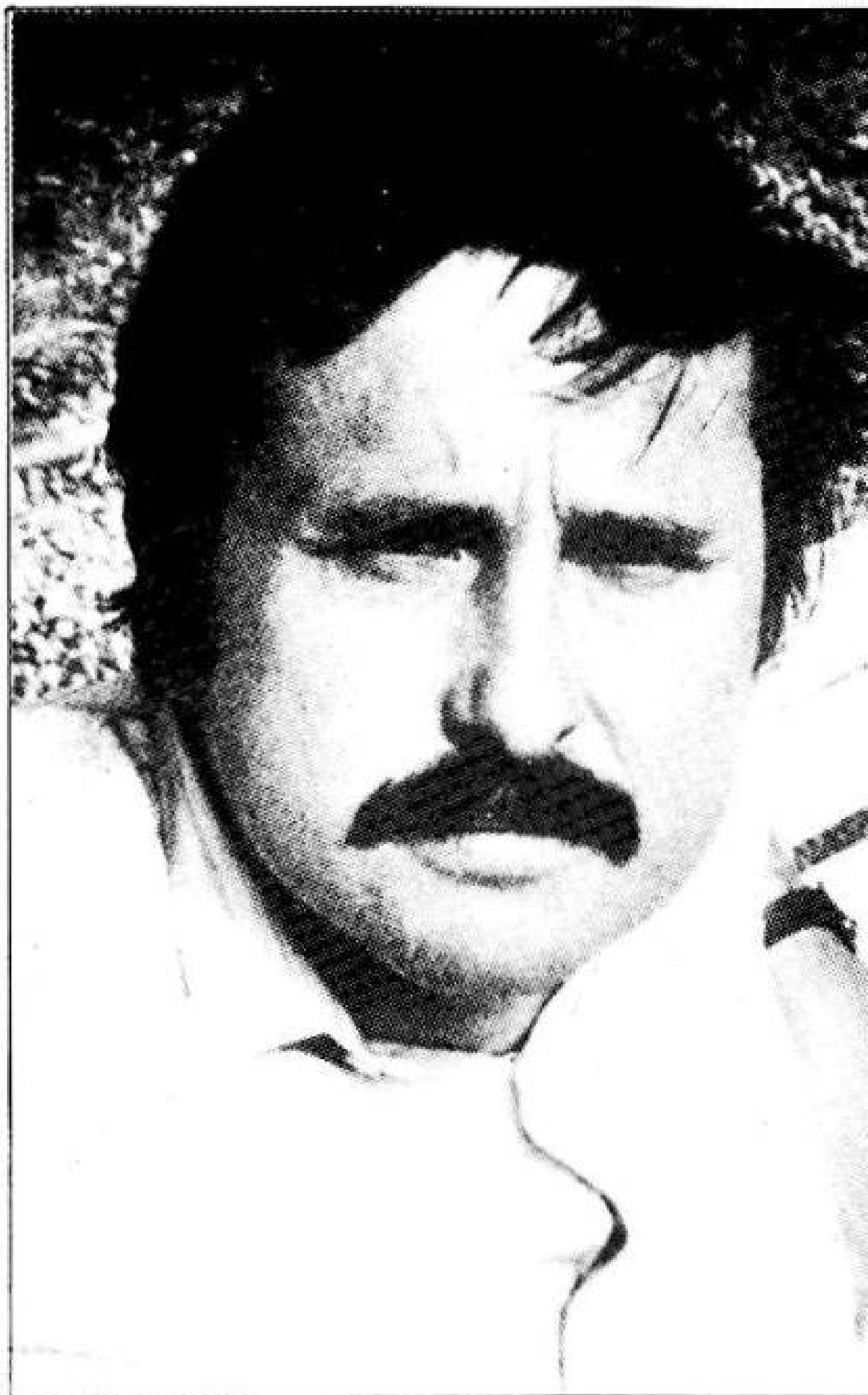
Wyjeżdżając po raz trzeci do przepięknego, malowniczego miasta nad Dunajem nie musiałem zaczynać od początku. Wystarczyło przywołać stare przyjaźnie, znajomości... Podpisałem w Bratysławie wieloletnią umowę o współpracy i wymianie materiałów dziennikarskich między „Smeną" a Warszawskim Wydawnictwem Prasowym. Przywiozłem ogromną, liczącą 380 stron antologię opowiadań słowackich autorów SF z różnych okresów, pokoleń, generacji (książka jest jeszcze w maszynopisie – pierwsza tego rodzaju publikacja w Słowacji, jej tytuł „Sprawy z nieznanych svetov"). Otrzymałem zapewnienie o przyspieszeniu terminu wydania polskich książek. Byłem gościem Słowackiego Związku Literatów, odwiedziłem – zawsze przychylny fantastom – Ośrodek Informacji i Kultury Polskiej kierowany przez panią Danutę Meyzę-Marusiakovą. Zapraszany na spotkania z literatami, krytykami, wydawcami – szczególnie miło wspominam gościnny dom państwa Heleny i Jozefa Čertíków. I choć z redakcją „Smeny" „Fantastyka" współpracuje od lat, dopiero teraz, oprowadzany po okazałym gmachu wydawnictwa zdałem sobie sprawę z jego ogromu. W dziedzinie fantastyki „Smena" jest jeszcze wydawnictwem początkującym, stawia tu pierwsze kroki i dopiero od kilku lat w specjalnym dziale (w którym pracują m.in. redaktorzy: Anna Smikowa i Hvizdoslav Herman) zamieszcza pozycje rodzimej i obcej SF (m.in. teksty W. Kotzwinkle'a, U. Le Guin, I. Nemerego). Ale tak naprawdę oferta wydawnicza „Smeny" jest znacznie bogatsza – edytor SUV ZSM prowadzi aż 11 pism dla młodzieży i 5 redakcji książkowych („literatury dla młodzieży", „polityczno-społecznej", „twórczości prozatorskiej", „przekładowej", „rozrywkowej" i „popularnonaukowej"). Trzeba wspomnieć, że „Smena" wydaje przede wszystkim literaturę dla młodego czytelnika, że taki jest jej profil, kierunek działania, a największe serie edytorskie to „Mlada Tvorba" (założona w 1963 roku) i „Erb" (w roku 1978). Tylko w latach 1979-1981 ukazało się w „Smenie" 65 tytułów, w tym książki tak znanych autorów jak: Jan Simonovič, Ludomir Feldek, Milon Rufus (w edycji „Maj" wyszły przekłady Artura Lundkvista i Klausa Manna). Ale dość statystyki! Warto tylko wspomnieć, że prawie każda pozycja edytorska „Smeny" to prawdziwy rarytas – twarde okładki z obwolutą na kredowym papierze, kolorowe ilustracje – pozazdrościć takich wydań, zwłaszcza poezji, gdzie liczy się nie tylko „tekst", ale i sposób jego opracowania...

W drodze powrotnej do Warszawy zatrzymałem się w Pradze. Gościłem w wydawnictwie „Albatros" i u znakomitego tłumacza polskiej SF – Pavla Weigla, który dla „Albatrosa" zestawił i przetłumaczył w 1988 r. antologię polskich opowiadań SF („Vladcove casu"). W Ośrodku Informacji i Kultury Polskiej w Pradze rozmawiałem z jego dyrektorem panią Teresą Pawlukowską-Szewczyk uzgadniając termin jesiennego spotkania redaktorów „Fantastyki" z mieszkańcami stolicy Czechosłowacji (spotkanie współorganizowałby Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu Karola w Pradze). Gościłem również w domu Jarosława Olszy „człowieka–encykopedii SF", wieloletniego fana, edytora, tłumacza, założyciela klubu SF, niestrudzonego działacza, wydawcy i redaktora almanachu SF „Ikarie". Przeglądałem ten almanach z rosnącym zdumieniem – zaciekawiony jego poziomem edytorskim, szatą graficzną, sposobem doboru materiałów. Jest to chyba jedno z najlepiej redagowanych pism fanowskich w Europie: literatura, film, krytyka, w tym przegląd światowej SF (w ostatnim numerze chilijskiej!). Jarek jest orientalistą, stąd jego zainteresowanie fantastyką Dalekiego Wschodu, kulturą Orientu. Poprosiłem Jarka, żeby o egzotycznych literaturach SF napisał dla naszej „Fantastyki". Co z tego pomysłu wyniknie – zobaczymy...

Andrzej Niewiadowski

Jozef Čertík

przełożył Leszek Engelking



Czym dla mnie jesteś?

Tą, co chciałaby siedmiu
Romeów na tydzień,
albo chociażby jednego,
z którym by wypiła
miłość jak truciznę,
a rano pierwszym westchnieniem
zbudziła go znów
do życia?

Wspomnienie

Miłość?
Dzika róża,
co cię drapnęła
cierniami po twarzy.

A jednak
ten zapach,
ta jasna krew,
która stale przesiąka
przez opatrunek zapomnienia,
ciągle na nowo duszy
podsuwa ciało

Zazdrość

Twoje serce to sień zimna,
zostawiłaś mnie w niej samego,
żebym światło zapalał
i gasił
i zapalał...

Żebym zobaczył
ślady tych,
co tu byli
przede mną,
a i po mnie...

Pytanie

Chodzę
tam gdzieśmy chodzili razem.
Siedzę
tam gdzieśmy razem siedzieli.
Piję
to cośmy razem pili.
Spoglądam
w krzywe lusterko
alkoholu i pytam:

Co możesz robić w tej chwili,
czy też jesteś ze mną,
kiedy jesteś
sama?

Powrót z imienin

Autobus się spóźnia;
nie będziesz w domu
przed północą.
Minuta zbawia
tylko tych dwoje
tam, za oknem,
koło filaru mostu,
tylko tych dwoje,
co toną
w miłości jak w wodzie,
a wynurzą się tylko po to,
żeby
nabrać powietrza.

Która godzina?

Mleko w folii,
porcjowany salceson,
ludzie w blokach z wielkiej płyty.

Świat się zmienił,
może ten stary,
co tak uporczywie ściska ci rękę,
wcale nie chce wiedzieć,
która godzina

– może chce się tylko przekonać,
czy jesteś jeszcze
człowiekiem.

Wiersze z tomu „Voľným okom" (Slovenský spisovateľ, Bratysława 1988).

Jozef ČERTÍK urodził się 28 sierpnia 1950 r. w Sebedraži. Studiował dziennikarstwo, pracował w redakcji literackiej radia w Bratysławie. Od wielu lat jest kierownikiem redakcji literatury współczesnej w bratysławskim wydawnictwie „Smena", zastępcą redaktora naczelnego tego wydawnictwa. Swoje zbiory poezji publikował w edycjach „Romboidu" i „Smeny". Jest również autorem licznych przekładów, krytykiem literackim. Kieruje redakcją wydawnictw fantastyczno–naukowych w „Smenie".